Z NASZEJ NIWY.

Druk P. Laskauera i W. Babickiego. Warszawa. Śto-Krzyska 11.

Adolf Dygasiński.

Z NASZEJ NIWY.

NOWELLE.

MACIEK FUŁA. — ZNAJDKA. — GŁÓD I SUMIENIE. — WRÓBLE. — ŻEL. — PAN REFERENT. — W PARAFII ŚW. HUBERTA.

WARSZAWA.
Nakładem Księgarni
A. G. DUBOWSKIEGO.
30, Chmielna 30.
1900.

1419/35

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Марта 1899 года.

MACIEK FUŁA.

Kochanemu

PROSPEROWI DZIEKOŃSKIEMU

przyjaciel

60

ofiaruje.

któż tam może z całą pewnością wyjaśnić, dlaczego Macieja Borunia, stróża dworskiego w Wybranowicach, przezwano Maćkiem Fułą?

Podanie miejscowe głosi, jakoby przed laty Boruń spadł z dachu dworu, gdzie go kominiarz używał za pomocnika. Szczęśliwym trafem, nie poniósł żadnego szwanku na ciele, i kiedy nadzwyczajnie przerażony spadaniem, podniósł się z ziemi, wydał z siebie po trzykroć dziwny głos: «Fu, fu, fu!» — coś w rodzaju dmuchania na gorące. Otóż stąd podobno pochodzi przezwisko Fuła, które naszego Maćka gniewało i obrażało w najwyższym stopniu. Można go było sponiewierać słowami, zwymyślać od ostatnich, zelżyć — on nic. Dopiero, jeżeli mu kto powiedział: «Oj, ty Fuło!» — wtedy chłop popadał w straszny gniew i kilkakroć, rozjątrzony, rwał się nawet do bicia.

Ta właśnie pochopność jego do obrazy, do wybuchów szalonych, stanowiła główną zachętę dla różnych mieszkańców Wybranowic, ażeby jak najczęściej drażnić Maćka. Jednego razu Lichacki, ekonom, zamiast «Fuło,» powiedział mu «Fajfuło,» co doprowadziło stróża do takiej wście-

kłości, że, nie mogąc się zemścić na ekonomie, zabił kamieniem kurę i polanem drzewa niemiłosiernie skatował psa podwórzowego, Brysia. Za kurę wytłukły go dziewki i o mało mu oczu nie wydrapały; za Brysia dostał od kuchcika patelnią po łbie i gębie.

Wogóle Fuła nie sypiał na różach, pędził żywot w smutkach, dolegliwościach. Nawet na łonie rodziny nie znajdował wytchnienia po ciężkiej pracy, pociechy po doznanych zawodach i strapieniach. Żona jego, Jaga, znana złośnica i kłótnica, lekceważyła go nadzwyczajnie, a przytem surowo karciła pięścią, warzęchą, miotłą, ożogiem. Częstokroć poskrobał się tylko w bolące miejsca na ciele i głodny, sponiewierany w chałupie, szedł do roboty. Jedynie z sobą samym rozmawiał o dolegliwościach życia, a streszczał to w niewielu słowach:

— Bodaj was siarczyste!

Cała czeladź dworska, współtowarzysze służby, bez wyjątku płci, drwili, naigrawali się z niego, nie dawali mu nigdy dobrego słowa.

Nizki, chudy, nadzwyczajnie brudny, obdarty, ociężale łaził na stopach, pokrytych błyszczącym lakierem błota. Włosy, nietknięte przez grzebień, sprawiały wrażenie kupy gliny, dobrze wysuszonej na słońcu. Palce u rąk, tu i owdzie pozbawione paznokci, kulisto pozakończane, obrzmiałe w stawach, były podobne do dziwolążnych kaktusów sfery równikowej. Gdyby kto chciał obnażyć

Maćka, przestraszyłby się mnóstwem sińców, guzów i blizn, które ten człowiek odebrał w zapasach z życiem.

Nie powinno to nikogo zadziwiać, że Fuła nigdy żadnej piosnki sobie nie zaśpiewał i złość go brała, jeśli ktoś śpiewał albo gwizdał:

— A bodaj cię morowe! — mówił wtedy.

Zwierzchnicy jego, ilu ich tam było, uważali stróża za popychadło, zwalali nań wszelką robotę, a każdy łajał, co się zmieści. Spełniał tak liczne obowiązki, że od rana do wieczora był w ciągłej niepewności, do jakiej pracy ma się naprzód zabrać. Tu kucharz, wielki gwałtownik, wrzeszczy jak opętany:

— Drwa rąbać!... Psiapara! stróż taki! śniadania, obiadu, kolacyi dla państwa nie mam przy czem gotować!

Jednocześnie klucznica, osa-baba, ciągle wydaje rozkazy, żeby sieczki narznąć, trawy nakosić dla krów i cieląt. «Bodaj was siarczyste!» Znowu chwila—lokaj pędzi ze dworu, klnie, na czem świat stoi: «Maciek, zjadłeś sto par dyabłów!... Durniu jeden, słyszysz! jaśnie pani ci każe co żywo na luzaku dymać po listy na pocztę!» — «Choroba! Bodaj was siarczyste!»

No, a tu ze wszystkich najsurowszy, najzaciętszy wróg Maćka, ekonom, aż się pieni i kijem wygraża. Stróż dworski z obowiązku swego powinien obsługiwać pana ekonoma, nastawić mu na czas samowar, oczyścić ubranie, buty, nie

mówiąc tam już o sprzątaniu i zamiataniu izby, którą od dwóch miesięcy zawaliły kupy śmieci. «Siarczyste!»

Najgorsze te wszystkie święta uroczyste, co to na dwa albo i na trzy dni Maciek musi drew narąbać, sieczki narznąć, trawy nakosić — obrządzić tyle gąb ludzkich i bydlęcych. A zima? Jezus Marya!... Drew, szczap do tylu pieców narąb i w tylu piecach napal! Człowiek się kurczy, kożucha nie ma, a drugich ogrzewać musi... «Bodaj was morowe!»

Żeby się to chociaż odciąć umiał, to możeby mu czasem pofolgowali. Którędy?...

Co tylko drapnął z chałupy, gdzie go sekutnica Jaga sfukała, wytrzaskała po gębie, a tu już wpada nań z kijem ekonom: łup-cup! Ekonom skończył, kucharz zaczyna, potem klucznica, lokaje, kuchciki, dziewki... Przecie z takimi trudno się ciągać po sądach: dopiekaliby człowiekowi jeszcze bardziej. Dostałeś w gębę — miej rozum, spolitykuj i rób swoje, na kawałek chleba pracuj!

Skarżył się raz przed Jagą, że go ekonom srodze poturbował:

— Siarczyste! wątrobę we mnie odbił, czy co takiego! Zabiorę się kiedy i w świat pójdę.

— To u ciebie, gałganie jakiś, kobieta i dziecko rodzone w niczem?... Przed ołtarzem Boga Najwyższego składałeś mi przysięgę na wierność małżeńską, a teraz śmiałbyś mię niebogę rzucić?...

Umiesz to ty poszanować, jak należy, uczciwą kobietę? W świat mu się iść zachciewa... ooo, alegant! A idź, idź, zatracony urwipołciu! Przecie nie będę płakała po tobie, niemrawcze... Szczęśliwa droga! Leć sobie, kiedy chcesz, na złamanie karku! Mnie zaś co wiąże do takiego garusa?... Żebyś się ty, obiesiu, raz jeden tylko dobrze przyjrzał sobie samemu i zobaczył, do czegoś jest podobny! Przez swoją własną rzetelność żyję z tobą, ty, ty, paskudniku, fuło!... Drugaby nie pozwoliła przystąpić do siebie takiemu gnojkowi!

Rozlegały się krzyki Jagi po całych czworakach, a żony różnych służących dworskich powychylały głowy za drzwi swoich izb, aby lepiej słyszeć, co się dzieje.

— Oho, nie na samych krzykach się tu skończy! — myślały ciekawe sąsiadki, pewne, że Fulina lada chwila chwyci w zapale kij albo drapakę i wyjedzie na męża.

Baba precz pytlowała językiem, podniecała się własną mową, coraz ostrzej powstawała na Maćka, który uszy położył po sobie i milczał. Niewiele już brakowało, ażeby od słów przyszło do czynu, jak się tego kazały spodziewać iskrami buchające niebieskie oczy Jagi i policzki całe w płomieniach. Rozżarta baba zbliżała się właśnie do swej ofiary, a potężne ręce, zakasane po łokcie, widocznie wyrażały gotowość pochwycenia Maćka za łeb kołtuniasty, kiedy nagle w okienku, zaledwie przepuszczającem promienie słońca, ukazała

się wąsata, brodata a sroga twarz pana ekonoma i zagrzmiał głos jego straszliwy:

— Zjadłeś sto par dyabłów, cymbale jeden!... To ty, łajdaku, zamiast być na podwórzu na każde moje zawołanie, w chałupie sobie siedzisz i z babą rajcujesz?

Baba w tej chwili umilkła, a Maciek zerwał się na równe nogi i pędem uderzył w drzwi izby, wybiegł na podwórze, gdzie ekonom fukał nań jeszcze w dalszym ciągu:

— Gułaju jakiś, nicponiu jeden, dalej, zbieraj nogi, dymaj co tchu pod brodła i rozpędź świnie, co tam bobrują!... I czegóż się namyślasz, kondlu?... Jeszcześ tutaj? Eee, śpiesz mi się, złodziejski portrecie, bo ci zaraz kijem napędzę ochoty!

Dopiero Fuła z kopyta ruszył, po drodze chwycił obgrubny palcat i popędził ku stogom słomy, gdzie w samej rzeczy gromada trzody chlewnej dopuszczała się spustoszenia. Poza dworskimi budynkami stało coś pięć takich stogów słomy, wymłóconej z ziarna. Stróż, szczęśliwy, że uszedł rąk Jagi, rączo, z zapałem poskoczył między świnie, które pogrążyły swe łby w brogach, a tyły podały na zewnątrz, i jął je nielitościwie z całej siły grzmocić. Połamał kij na twardych grzbietach, a niewiele wskórał, gdyż uparta nierogacizna, odpędzona od jednego stogu, biegła czemprędzej do drugiego. «Bodaj was siarczyste!» — pomrukiwał Maciek. Znalazł sobie teraz pod bro-

dłem potężny kołek z twardego drzewa i hajże z nim na świnie. Dopadł do pierwszej lepszej sztuki — łomot raz, łomot drugi: świnia w kwik, powlokła nogi za sobą, przysiadła na tyle i kwiczy w niebogłosy. Fuła popatrzył na swą ofiarę: «Siarczyste!» Przetrącił wieprzka karbowniczki, przez co znacznie ochłódł jego zapał. Baba będzie «pomstowała,» nigdy mu tego nie przebaczy. «A cóżem ja krzyw? — myślał sobie — przecie mi okumon kazał...» Ta myśl dodała stróżowi odwagi; znowu się rzucił na świnie, żerujące przy następnym stogu. Walił kołem, co się zmieści, ciągle w nadziei, że on sam «nic nie krzyw, skoro okumon kazał.» Naraz od silnego ciosu zatoczyła się niewielka świnka, napiętnowana czarnemi łatkami, i kwikiem poczęła wtórować wieprzkowi karbowniczki. «Morowe!...» Już teraz nic nie pomoże, że okumon kazał: stróż przetrącił nogę swojej własnej śwince, czego mu Jaga nigdy nie przebaczy. Opadły Maćkowi ręce, zaniechał walki z nierogacizną i patrzył, patrzył za świnką, która chwiejnym krokiem, żałośnie pokwikując: «ą-fit, ą-fit,» zdążała do domu, jak gdyby ze skargą na swą ciężką krzywdę.

«Siarczyste! Może lepiej dopaść, dobić bestyę, zakopać, żeby Jaga nie wiedziała, co się stało.»

Tak myślał Fuła i kto wie, czy ze strachu przed żoną nie byłby się dopuścił świnkobójstwa.

«Czy to raz zginie we wsi jaka sztuka gapziny?... Ukradli, i koniec.»

Wtem od strony stodół ukazała się wyniosła postać pana Lichackiego, ekonoma, z fuzyą pod pachą, z białym wyżłem przy nodze. A tu świnie, jak bobrowały, tak bobrują w stogach.

«Bodaj was morowe!...» Dreszcze zimne przeszyły Maćka, który sobie z góry już wyobrażał, jak go to ekonom w kark «trzaśnie,» o ziemię grzmotnie, nogami skopie. Wgramolił się co tchu na wierzch brodła, wygrzebał sobie tam jamę i w niej jak kret dał nura.

Nadszedł ekonom, upatruje — nigdzie ani śladu Fuły; tylko wieprzek karbowniczki słabym już teraz głosem stęka: «of, of,» a inne świnie, mlaszcząc, żerują około brodeł. Nikt w całych Wybranowicach nie umiał tak rzetelnie nakląć, nawymyślać, jak pan Lichacki.

— Maciek, psubracie! Maciek, złodzieju z pod ciemnej gwiazdy!... Gdzież się zaś podział ten fuła?

Daremnie klął, wrzeszczał.

Stróż myślał: «Nie głupim ja ci się odezwać!» Koniec końców, ekonom dał karnemu wyżłowi rozkaz:

— Bekas, pyf świnie! Huź-go, huź!

Pies na to tylko czekał. W oka mgnieniu rzucił się na gromadę szkodników z namiętnością wyżła rasowego: szarpał za uszy, za ogony, macał zębami po udach, po brzuchach, i tak całe stado gnał przed sobą przez pole, czego Maciek w żaden sposób nie mógł dokazać. Ażeby Bekasowi dodać

tem większej ostrogi, Lichacki wypalił z obu luf w powietrze, co sprawiło wielki popłoch nie tylko w stadzie nierogacizny, ale i wśród bab w Wybranowicach. Zrobił się gwałt ogromny.

— Okumon do świń naszych strzela!—wołano na wszystkie strony i baby gromadnie wyruszały na ratunek ukochanej gadziny. Naturalnie, wina okaleczenia obojga świń, popełniona przez Maćka Fułę, spadła wyłącznie na Lichackiego, który przecież nie napróżno dwa razy strzelił. Oj, złorzeczonoż mu za oczy! Atoli zagrzebany w słomie Maciek nic a nic o tem wszystkiem nie wiedział i teraz już nie mógł się zasłaniać:

«Ja nie krzyw, okumon mi kazał!»

Cóż, że kazał, kiedy musiał sam świnie odpędzać od brodeł? «Bodaj ich siarczyste!»

Zawzięta karbowniczka, srogi ekonom i ta Jaga z piekła rodem — straszliwa grupa! — tak udręczyli umysł Fuły, przesuwając się nieustannie w groźnych postawach przed oczyma jego duszy, że nareszcie zasnął. I we śnie trapiły go przerażające widma, darły za łeb, dusiły za gardło okropne mary, wytworzone przez lękliwy, zafukany umysł chłopa. Kiedy się ocknął i podniósł do góry głowę, widział niebo oblane czerwienią świtania i ostatnie gwiazdki, mdłym blaskiem połyskujące. Z wysokości brodła spostrzegał dwór, stodoły, czworaki, domek, w którym mieszkał ekonom, budy dla psów naokoło lamusu. Myśli,

które mu się teraz snuły po głowie, były mniej więcej takie:

«O, Jaga pewnie klnie, wydziwia! A niechta!... Musiała się już wczoraj setnie ściąć z karbowniczką o tego potrąconego wieprzka... Kto też psy wczoraj na noc z łańcuchów pospuszczał i dziś powiąże?... Ciekawym, kto ekonomowi buty wyczyści, albo do kuchni drew narąbie, z listami na pocztę pojedzie i inne takie?... Siarczyste! Miałbym ja bobu, żebym się pokazał!»

Skrobał się to w głowę za uchem, to znowu drapał pazurami po plecach, ziewnął przeciągle raz, drugi, i nareszcie zlazł z brodła.

«Oj, źle człowiekowi w tych Wybranowicach! Kajindziej musi jest lepiej...» — pomyślał i puścił się ścieżką ku wsi Zagajowu. Ale z daleka tylko popatrzył na tę wieś i polami, łąkami, poszedł do wsi Zagórza, a stamtąd jeszcze dalej i dalej.

«Siarczyste! nie oprę się, aż za dziesiątą granicą! Co mnie zaś wiąże w Wybranowicach?»

Kto go tam wie, jak się po drodze żywił i gdzie przepadł bez najmniejszego śladu?

Przez cały tydzień oczekiwano we dworze jego powrotu, a potem przyjęto innego stróża. Teraz wszyscy mówili:

«Nowy stróż ani się umył do Maćka Fuły! Oo, tamten był chłop robotny!»

Jaga musiała się na łeb na szyję wynosić z dworskich czworaków, ustąpić mieszkania nowemu stróżowi i jego rodzinie.

«Choć i z ladajakim chłopem, zawdy lżej babie wyżyć, niż samej.»

Osiadła na wsi w jednej gospodarskiej chałupie jako komornica, a musiała odtąd dzień w dzień chodzić po zarobkach, ażeby wyżywić siebie i dziecko. Przez jakiś czas wymyślała przed ludźmi, wyklinała ogromnie Maćka; jeno nic jej to nie pomagało.

Dopiero ktoś jej powiedział:

— Ej, dajcie pokój, samiście go przecież z domu i z Wybranowic wyżarli! Do czego to podobne przeklinać człowieka, który jest już może teraz na sądzie boskim?... Toć Fuła mógł się z desperacyi utopić albo powiesić!

Nie wyrzekała od tego czasu na męża, a nawet odkładała z zarobków coraz to kilka groszy, chciała dać na mszę świętą, jeżeliby dusza Maćka potrzebowała przypadkiem jakiego ratunku.

Minęło z górą trzy miesiące od czasu, jak przepadł stróż dworski. Zaczęła się zima i właśnie spadły były pierwsze śniegi, kiedy pod ten czas ktoś podpalił stogi słomy i wszystkie zgorzały do szczętu, ile że się zerwał srogi wicher, który pożarowi dodał mocy. Zaczęli ludzie z tego powodu robić różne domysły:

«Co komu mogły takie brodła słomy zawadzać?... Gdyby zgorzały na przykład stodoły, stajnie, obory, dwór, no, to — ma się rozumieć — przez zemstę; ale brodła wymłóconej słomy?... Jaka tam dla dziedzica szkoda!»

Obradowali tak, a nikt nie umiał podać rzetelnej przyczyny owego pożaru. Tylko dopiero Onufer, jeden stary parobek, rataj taki, który służył we dworze przy wołach, mądrze to wszystko sobie «wykarkulował» i ludziom jasno wyłożył.

— Pamiętacie wy — powiada — ono strzelanie pod brodłami, co to po niem wieprzek karbowniczki i świnka Fuliny zostały kalekami?

— Ma się wiedzieć, pamiętamy! Któżby zaś nie pamiętał? Jeno cóż to ma do rzeczy?... Toć przecie od tamtego strzelania brodła nie zgorzały! Ho, ho, kiedy to tam było!

— A może i zgorzały — zawołał Onufer, chytrze mrugając oczyma.—Bo jeśli na przykład chodziło komu o to, żeby owe brodła poszły z dymem?... Nu, więc podkurzył, i koniec!

— Chybaby taki człowiek miał zawziątek do dworu... Tyla dlaczego podpalił marne brodła słomy, kiej mógł jaki godny budynek?

— Dlatego, że ogień zawraz słomą zatarł także rzecz jedną, o której się ludzie teraz nie dowiedzą!

— Ej, gadanie! Jaką tam rzecz miał zatrzeć?

— Hm, żebym do mądrych głów mówił, jużby mię zrozumiały! Widzicie, gdybym ja, nie przymierzający, zabił człowieka i dla niepoznaki skrył trupa w brodle słomy, tobym się zawdy lękał, żeby taka moja sprawka na wierzch kiedy nie wyszła, jako kryminał za to czeka, kaj-

danki... Ale jakby brodła słomy zgorzały, niktby się tam już i nieboszczyka nie domacał.

— Bójcież się Boga, Onuferku! co wy powiadacie!

— Rzetelnie, szczerze mówię! Kto głupi, ten nie rozumie, co ja mówię.

— Wy niby dokumentujecie, że w brodle słomy schował ktoś zabitego?... Czy to tu, w Wybranowicach, zabili kogo ostatnimi czasy?

— Oj, wy mazgaje, mazgaje! A gdzież się z pomiędzy nas podział stróż dworski, ten Maciek Fuła?

— Fuła? Fuła?... Odbieżał ponoś baby, dziecka i w świat sobie nicpoń poleciał.

— Juści, w świat poleciał!... Rychtyk, Fuła był na to podobny! Niezdara taki żonyby odbieżał.

— Czemu zaś nie? Jaga okrutnie zła osa, dogryzała chłopu, że już lepiej nie trza: w całutkiej wsi każdemu wiadome rzeczy.

— Dogryzała z prawa swego! Pan Jezus mu ją dał za babę... O dokuczaniu Jagi to pamiętacie, a zapomnieliście, co z Fułą wyrabiał okumon, który, wiadomo, umie doskwierzyć! Ja zaś nic, jeno wręcz pytam: kaj się podział Maciek Fuła?... Widzicie, nikt z was nie wie! Pamiętajcie sobie, że Fuła przepadł bez śladu zaraz po tem okumońskiem strzelaniu!

— O, rany boskie! Chcecie niby, Onuferku, powiedzieć, że go Lichacki zastrzelił i trupa w słomie zagrzebał, a potem brodło słomy sam pod-

palił!... Święta prawda! Wszystko się galanto wiąże, schodzi.

— No, no, tylko wy mi nie podsuwajcie, żem ja to powiedział! Sami wyraźnie powiedzieliście: zastrzelił, skrył w słomie, podpalił... Żeby się tu kto nie ważył podawać mię w sądzie za świadka! Ten niech świadczy, kto mówił: zastrzelił, skrył, podpalił!

— Tak, tak, Bartosik fornal powiedział! — zawołało kilka głosów.

— Jako żywo, nie powiedziałem! — wypierał się Bartosik.

— Łżesz, boś powiedział! Wszyscy słyszeli — fuknął Onufer.

— Ee, ty paliwodo, stary wykrętaczu, sam oto nałżesz, napytlujesz pyskiem, a potem w drugich wmawiasz!

— Mam na to świadków, żeś ty powiedział!

— Słuchaj-no, ty mydłku, wolarzu, nie stawiaj się tak!... Z fornalem żartów niema!

— Ho, ho!... Budę mi na rzepie spalisz! Lepszych durniów widziałem i...

Jeszcze Onufer nie skończył, a już od Bartosika oberwał taki policzek, że mu czapka ze łba na ziemię spadła. Teraz rataj poskoczył do fornala, chwycił go lewą ręką za gardło, a prawą po łbie grzmocił. Bijatyka, wrzawa ogromna na podwórzu sprowadziła tu Lichackiego, który począł batogiem łupić kolejno to Bartosika, to Onuferka, dopóki się nie puścili.

— O co im poszło? — wybadywał świadków Lichacki i bardzo się zaciekawił, kiedy któremuś z parobków od niechcenia z ust wypadło:

— Toć rychtyk o pana okumona!

Podczas ściślejszego śledztwa Onufer zeznał, że Bartosik oskarżał ekonoma o zastrzelenie Maćka Fuły, ukrycie trupa w słomie, a następnie o podpalenie brodeł. Z kolei Bartosik wytoczenie całego tego oskarżenia przypisywał Onufrowi, a obecni temu zajściu świadczyli już za jednym, już za drugim, stosownie do sympatyi. Lichacki bardzo to wziął do serca, że podwładni ośmielają się takie czyny mu przypisywać, ostro zgromił rataja i fornala, a co najgorsza, wypowiedział im służbę we dworze.

— Gałgany jedne, nicponie, poszli wont, kiedy kawałka chleba nie umiecie szanować! Stu takich durniów dostanę na wasze miejsca.

Dyabelnie spadły im nosy na kwintę i Bartosik przeklinał Onufra, jako sprawcę swego nieszczęścia, Onufer znowu przed każdym, kogo spotkał, oskarżał i czernił Bartosika. Obaj, uwolnieni ze służby, mieli dosyć wolnego czasu, aby się wzajemnie drażnić, podjurzać.

Swoją drogą w całej wsi gruchnęła wieść, że ekonom zastrzelił Fułę, ukrył w brodle, a potem brodła podpalił. Tylko o tem wszyscy teraz rozmawiali. Jaga z bekiem i ogromną lamentacyą obiegała chałupy i budziła w Wybranowicach powszechne współczucie dla siebie,—oburzenie, nie-

nawiść dla Lichackiego. Doszło do tego, że już nikt nie wątpił o morderstwie, dokonanem na Maćku przez ekonoma.

Wśród takiego nastroju umysłów Onufer i Bartosik, miotani wzajemną zawziętością, znowu jednego dnia skoczyli do siebie, wzięli się za czuby. Tym razem nie skończyło się na policzkach, które stanowią tylko obrazę honorową. Onufer bowiem zrobił Bartosikowi dziurę, a Bartosik potrącił Onufra i jakoby odbił w nim wątrobę. Zakrwawieni, poranieni przeciwnicy co tchu podążyli do miasta, gdzie każdy z nich pozyskał od lekarza świadectwo na swoje rany, a potem obaj wnieśli do sądu skargi, które im napisał jeden i ten sam pisarz, a na świadków powołano różnych ludzi z Wybranowic.

Mniejsza o to, jak się skończyła sprawa Onufra i Bartosika. Nas tu głównie obchodzi okoliczność, że wszyscy świadkowie, a także rataj i fornal, zapamiętale występowali przeciwko ekonomowi. Z tego powodu zawikłano Lichackiego w bardzo przykry proces karny o zabójstwo Fuły i podpalenie brogów słomy. Zarządzono śledztwo na gruncie, gdzie wśród perzyn słomy znaleziono istotnie jakieś kości, a o niektórych z nich rzeczoznawcy orzekli, że mogą pochodzić z ludzkiego szkieletu. Przytem zgodność w zestawieniu okoliczności, w zeznaniach żony i licznych wiarogodnych ludzi, świadczyła nieubłaganie przeciw ekonomowi, który też, jako morderca, dostał się

do więzienia. Sarkała na to Jaga, ponieważ się spodziewała otrzymać za zabitego męża wynagrodzenie pieniężne, a tu Lichacki był goły, jak święty turecki.

Minęło półtora roku czasu. Ludzie zapomnieli o Maćku Fule i o jego mordercy. Bartosik i Onufer, dawno już pojednani, znowu służyli we dworze pod nowym ekonomem. Do Jagi — że to była kobieta zdrowa i robotna — zalecał się jakiś parobek i wyrażał codziennie wzrastającą chęć, ażeby wdowie zastąpić nieboszczyka Maćka. Baba przyciągała do siebie na różne sposoby owego zalotnika, co się rwał tak ochoczo do obowiązków wołu roboczego. Obojgu pilno było do tej żeniaczki i nareszcie postanowili dać na zapowiedzi.

Było to w niedzielę po sumie. Wybranowice roiły się ludem, powracającym z kościoła do domów. Niektórzy w gromadkach przystawali po drodze, aby pogwarzyć, inni siadali na przyżbach, na płotach, jeszcze inni wstępowali do karczmy, przed którą było także rojno i gwarno.

W tym czasie właśnie szedł sobie drogą jakiś obcy człowiek, ubrany w surdut, spodnie na butach, kaszkiet, a co każdego głównie uderzało — świecąca dewizka od zegarka wisiała mu na brzuchu. Bardzo starannie wygolony, wystrzyżony, w kołnierzykach od białej koszuli, z laską w ręce, wyglądał na «miastowego» raczej, niż na chłopa.

Ha, przez Wybranowice idzie przecie gościniec do miasta i do fabryki cukru, to nic dziwnego,

że różni tacy przechodzą!... Drugi może po dniu i przepatruje, żeby w nocy psotę jaką ludziom uczynić, a najgorsi tacy surdutowi...

Ale ten przechodzień czegoś się wszystkim ogromnie przyglądał, jakby znajomym. Szedł «fórt» drogą, a co kogo spotkał, brał się za daszek kaszkieta i mówił:

— Niech będzie pochwalony!

Wiadomo, u takich jest w modzie, żeby za wymówieniem boskiego słowa albo przed świętą figurą nigdy uczciwie nie zdjąć czapki. Niejeden nawet, kiedy robi znak krzyża świętego, wygląda rychtycznie, jakby sobie muchy z gęby spędzał. Nieznajomy, jak raz, spotkał na drodze Onuferka i Bartosika, którzy się teraz, po tamtych gniewach, ogromnie bratali, szli po przyjacielsku obok siebie i rozmawiali o pierwszej zapowiedzi, co przez nią dzisiaj wdowa Jaga Fulina i kawaler Jasiek Bytoń spadali z ambony.

— Mierzi ją, szelmę, wdowieństwo! Bez chłopa wytrzymać nie może — mówił Bartosik.

— Nie dziwota, że ona za chłopem goni: będzie z bachorami zżerała, co chłop zarobi! Ale ten Jasiek głupi, zawziął się do baby, jak żyd do tańca! — odrzekł Onufer.

Na te słowa właśnie zbliża się do nich nieznajomy i powiada:

— Moi ludzie, co tu u was nowego słychać?

— Jakto, u nas?... Czego zaś panu porzeba? — pyta Onufer, uważając sobie z owej

świecącej dewizki od zegarka, że takiemu chyba «panować» wypada.

On zaś ciągle im mówi przez «wy.»

— Moiściewy, chciałbym się oto dowiedzieć, czy tu w Wybranowicach jest teraz tak, jak było dawniej...

— Któż może wiedzieć, o jakie odmiany panu chodzi... Różnie się pozmieniało.

— Na ten przykład, czy też tu są jeszcze rządy Lichackiego?

— Lichackiego?... Ani dymu, ani popiołu z jego rządów!...

Onufer chciał coś jeszcze powiedzieć, ale go Bartosik w bok szturchnął, dając do zrozumienia, że z obcym zawsze lepiej mieć się na ostrożności: Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

I już potem tak z nim rozmawiali, jak z kobyłą w błocie — ni to, ni owo.

Nie dowierzaj nikomu, a nikt cię nie zdradzi.

Dopiero ów nieznajomy pojął widać, że ich trudno za język pociągnąć, i tak się odzywa:

— Przypatrzcie mi się jeno dobrze, toć ja swojak z Wybranowic!

— Kajsik znam, tyla nie baczę, kaj... Pewnikiem powinowaty, albo przyjaciel pana Lichackiego, który też stąd pochodził, syn kucharza dworskiego?

— Oj, ludzie, a gdzież wy macie oczy? Przez yle lat służyłem z nimi i nie pamiętają!

— Rany boskie! dyć to Maciek Fuła, stróż dworski! — wykrzyknął Bartosik, uważnie oglądając przybysza. Człowieku, to ty żyjesz?

— Juści żyję, skorom jeszcze nie umarł!

— Psiapara jeden, tak ci się wystrychnął, przekabacił na ciaracha, żem mu aż «panować» musiał!... Bodajże cię! — zawołał Onufer.

Uściskali się teraz, dali sobie gęby, a Bartosik powiada:

— Jezu Nazareński, co też to za harmider będzie we wsi! Toć ciebie tu, człowieku, wszyscy opłakali, nabożeństwa poszły za twoją duszę; różnych zaś ludzi ciągali po sądach i anibyś się domyślał, co za gwałtowanie było!... Psiakość, a on sobie w najlepsze żyje! Juści powinni chyba zwolnić teraz, wypuścić z kryminału.

— Przestańże barłożyć, skończ te bajdy! — wtrącił Onufer. — Nie widzisz, że człowiek zdrożony? Cóż mu mamy tak zaraz z kopyta łeb kotłować? Skoro już jest między nami, to on się tu wywie o wszystkiem po kolejce.

Fuła widocznie chciał sobie dodać większej powagi, wyjął z kieszonki srebrny zegarek, — patrzał, która godzina, i pomrukiwał:

— Hm, Lichacki z Wybranowic wyfrunął! Bodaj go siarczyste!... Musi teraz służba przy dworze lżejsza?

Schował zegarek, wyjął czerwoną chustkę, obtarł nią nos, obdarzył rataja i fornala papiero-

sami, sam także zakurzył, i puszczając kółka dymu, spytał:

— No, a co też tu mówiła Jaga, kiej zmiarkowała, że mnie niema?

Obaj chłopi spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jak gdyby jeden drugiego zapytywał wzrokiem:

— Czy mu powiedzieć o zapowiedziach jej z Jaśkiem Bytoniem, czy dać pokój?

Onufer, że to ogromny spryt miał w głowie, od razu wywinął koziołka i zagadnął:

— Macieju, opowiedzcie nam też, jak się to stało, żeście wyszli oto na takiego, co i z miny i z przyodziewku, wyrżnij kacie, szlachcic?

Przez «wy» mu teraz mówił, tykać coś nie śmiał—pewnie z przyczyny tego zegarka, chustki do nosa, papierosów. Fuła jeszcze bardziej podrósł, kiedy spostrzegł, że się coraz nowi ludzie dokoła niego cisną, a kto tylko przystąpi, zapytuje z ogromną ciekawością:

— Skądże się tu wziął ten obcy, pan jakiś? Czego on chce?

Dopiero Bartosik szczyci się przed każdym i na pytania odpowiada:

— Ja go pierwszy poznałem, słyszycie... ja!... Przecie to nasz Maciek Fuła! Z tamtego świata wrócił do Wybranowic! Popatrzcie-no, jaki chwat!

A ludzie się dziwią, porozdziawiali gęby, powytrzeszczali oczy, opatrują człowieka na wszystkie strony, jak gdyby go zjeść chcieli.

— Ooo, rety! Maciek Fuła, alegant taki! To on ma być niby ten sam, który zawdy jedno mawiał: Bodaj was siarczyste!... Święta prawda, rychtyk takutenieczki nasz Fuła! Jeno skąd na nim szlacheckie stroje?

Nic dziwnego, że Maciek zambitniał, pachniały mu honory, uważał się teraz za główną osobę w Wybranowicach, pomiędzy swoimi. Był to niby ten, a taki zupełnie inny Fuła. Kiedy go ludzie zarzucali pytaniami, on sobie poprawił kaszkiet na głowie, jedną ręką bok podparł, drugą się wspierał na lasce i tak przemówił:

— Krótko i węzłowato wam powiem o sobie, moi ludzie. Źle mi tu było w Wybranowicach: lada kto sklął, sponiewierał człowieka... siarczyste! Wziąłem i poszedłem do dalekiego kraju: Dąbrowa się nazywa, huta taka, co w niej pieniądze tylko i żelazo, rozumiecie? Tam człowiekowi za każdy krok rublami sypią, jest za co zjeść, wypić, użyć sobie, ooo! Nie tak, jak w Wybranowicach... siarczyste!

Stuknął laską o ziemię i zapytuje, gdzie Jaga mieszka. Kiedy mu powiedzieli, że w takiej a takiej chałupie, puścił się zaraz w tamtą stronę i z nim szła cała gromada narodu. Ciekawość ogromna, co będzie.

— Juści po pierwszej zapowiedzi Jaga się pewnikiem raczy z Jaśkiem Bytoniem — szepnął Onufer Bartosikowi na ucho.

— Na powitanie gotów się Maciek z babą poczubić.

Ciżba ludu przystanęła z daleka, a Fuła poszedł do żony. Wchodzi, patrzy — Jaga siedzi z kawalerem, trzymają się za szyję. Nie poznali go wcale. On nie zmilczał, od razu się zaperzył i z góry krzyknął:

— Cóż to znowu nowego?... Kto śmie włazić w moje gniazdo?

I po swojemu zaklął strasznie od siarczystych. Jaga struchlała, pomyślała sobie pewnie:

— Chyba duch nieboszczyka Maćka!

Kawaler jej jeszcze bardziej stchórzył i upatrywał tylko chwili sposobnej, żeby we drzwi buchnąć. Fuła idzie prosto do Jagi, a strasznie źle mu z oczu patrzy.

— Takaś to ty matka dzieciom? — powiada.— Siarczyste! Czym ja ciebie, szelmo, po to pojął, żebyś się z parobkami ściskała?

Mówiąc te słowa, lunął ją laską przez plecy, aż się przegięła; powtórzył—i kiedy spostrzegł, że baba ani mru-mru, dopiero ją zaczął laską grzać na dobre. Wyglądał, jakby nie tamten dawny Fuła, ona jak gdyby zupełnie inna Jaga. Miał jeszcze ogromną ochotę dać odprawę Jaśkowi; ale parobek, widząc, co się dzieje, wziął nogi za pas i drapnął; narobił z siebie śmiechu ludziom, wystającym na drodze:

— I zapowiedź twoja wyszła i błogosławieństwo małżeńskie dostałeś! — wołali.

Od tego czasu przezwali go w Wybranowicach Jaśkiem Zapowiednikiem, co mu pozostało już na całe życie. Z przyczyny zalotów do Jagi, niektórzy nazywali go także Jagarzem.

Było teraz ludziom markotno, że Lichacki, jako człowiek niewinny, wyjdzie z więzienia i najniezawodniej będzie się chciał zemścić za swoją krzywdę. Szczególniej też dużo strachu się najedli Onufer i Bartosik, którzy pierwsi narobili gwałtu w Wybranowicach. Tymczasem dzisiejszy Lichacki był tak podobny do tamtego, jak niebo do ziemi. Zrobił się z niego człowiek spokojniuteńki, dobry jak owieczka: nie klął, nie wymyślał, nie dokuczał nikomu.

Maciek znowu przyjął we dworze służbę, był stróżem jak dawniej, a miał teraz ogromne łaski u ekonoma. Ludzie też przestali nim pomiatać, zamawiali do niego «Macieju» i nikt mu nigdy nie wymyślał już od «fułów.» Ale największa zmiana zaszła w postępowaniu Jagi. Zupełnie jak gdyby kto ręką odjął złość od tej kobiety. Dawniej bez żadnej przyczyny z góry wsiadała na chłopa i często gęsto przylepiła mu co nawet, teraz mowy nie było o takich zajściach domowych.

Zmienił się także i Maciek; roboty swoje odrabiał spokojnie jedną po drugiej, a rzadko kiedy już przeklinał:

«Siarczyste!»

Jednego dnia spotkał się na podwórzu z Onuferkiem i powiada:

— Czy uważacie, że teraz w Wybranowicach całkiem co innego?... Przedtem człowiek nie miał u nikogo miru, miejsca sobie na wytchnięcie nie mogłem znaleźć...

— Ha, dopóty psa biją, dopóki się nie postawi i zębów nie pokaże! — odparł Onufer. — Daliście ludziom naukę i przez to w Wybranowicach są zmiany.

— Jakto, ja?... Przyśniło wam się chyba, Onuferku!

— Lichacki dopiero za waszą sprawą dowiedział się, że za rozbijanie, gwałtowanie, przeklinanie ludzi czeka go pokuta. Jaga dostała pamiętne, poznała, co znaczy chłop w chałupie, i nauczyła się raz na zawsze moresu. No, a reszta zobaczyła przecie, jako nie można poniewierać takiego człowieka, który z próżnemi rękoma wyszedł z domu, a wrócił w surducie, w kaszkiecie i przy zegarku... pokazał rozum w głowie.

ZNAJDKA.

POWIEŚĆ.

czasach pamiętnego ostracyzmu pruskiego przybyła raz do Siekaczowa wypędzona rodzina chłopska Czubalów, której głową był Maciej Czubala, chłop rosły jak dąb, w wieku lat czterdziestu pięciu. Kowal z zawodu, utracił prawą rękę przy jakiejś fabryce pruskiej i teraz z niemałą biedą posługiwał się lewicą.

Rodzina ta liczyła sześcioro członków, z których każde umiało jako tako czytać i pisać.

Jakoś po południu przybyli do siekaczowskiego dworu, stanęli sobie tam w ganku i zażądali rozmowy z dziedzicem.

Pan Anastazy Skubiński, właściciel Siekaczowa, niebawem wyszedł do wygnańców, a chociaż go już naprzód uprzedzono, jacy to są ludzie, jednak rzucił pytanie:

— Coście wy za jedni i czego ode mnie chcecie?

Jednocześnie pan dziedzic z wielkiem zajęciem przyglądał się wysmukłej jak topolka, o modrych, figlarnych oczach dziewczynie, należącej do gromadki wygnańców.

A był to dobrze już szpakowaty, ale — jak to mówią — nabity, z dziarską miną, tęgi i czerstwy

stary kawaler, zdający się stwierdzać owo przysłowie:

«W starym piecu dyabeł pali.»

Podczas gdy modrooka dziewucha, śmieszka widać, na spojrzenia dziedzica odpowiadała uśmiechami i naiwnem chowaniem głowy za plecy innych, Maciej wystąpił z odpowiedzią i przemawiał w te słowa:

— Wielmożny panie dziedzicu, przyszliśmy tu spragnieni roboty i chleba! Każdy dwór roboty potrzebuje, a chlebem za nią płaci; więc możeby wielmożny dziedzic uczynił z nami jaką zgodę, co mu wyjdzie na pożytek. Mam oto chłopaka; choć młodziak, na szesnasty rok mu idzie, dycht już taki duży jak i ja i mocny, ile że ma obie ręce. A niech-no pan dziedzic spojrzy na te dwie dziewki, ale to dziewy daj Boże zdrowie, okrutne robotnice! Jedna rodzoniuteńka córka moja; a ta druga... znajdka taka, od małości w domu u mnie chowana... głupie to-to, zęby cięgiem szczerzy, jeno robotna. Baba moja, co prawda, nie narobi siła, na zdrowiu czegoś upadła, bole ma w sobie, ani do gęby nic, choćby jej czyste mięso dawał; czasem jabłka, czasem cukru jej się zachciewa: przerwanie pono, czyli też z frebry... Za to ojciec mój, niby on starowina, a dziad zawzięty; kiej się do woza przypnie, jak amen w pacierzu, uradzi... oj joj! Ja sam, kowal, nie chwalący się, kiedy tą jedną lewą młot chwycę, to mi jeno furczy...

Po takiem przedstawieniu się, Czubalowie osiedli w Siekaczowie, na co — zdaniem pani ekonomowej — najgłówniej wpłynęły modre oczy znajdki Uliny.

— Założyłabym się o duże pieniądze, że to jest dziewczyna nic dobrego — mówiła ekonomowa, która spełniała przy dworze obowiązki szafarki i uważała sobie za punkt honoru, aby gorliwie czuwać nad postępowaniem dziedzica. — Bardzo dobry człowiek, tylko z lada kim gotów się spętać, gdyby nie ja...

Przybysze opowiadali ludziom przeróżne rzeczy o narodzie pruskim, aż dziwno było słuchać. W karczmie, nie w karczmie, przez długi czas obrzucano Macieja pytaniami, jakie są zwyczaje, obyczaje i rządy pruskie, a Maciej zwykle jedno powtarzał:

— Ten Bismark, bodaj on skamieniał, skapiał!

Nawet pan ekonom, Chudziewicz, parę razy zaczepiał Macieja i zapytywał:

— Powiedzcie mi, mój kowalu, jak też wygląda taki Bismark?

— Łysoń, proszę pana, okrutny łysoń i taki grubas, przysadkowaty, nie przymierzając... nasz pan dziedzic.

Chudziewicz w swoich rozmyślaniach politycznych bardzo często utożsamiał dziedzica z Bismarkiem i sam do siebie mówił:

— Oho, to także Bismark! wie on, jak trawa rośnie!

Dopraszali się nieraz ludzie:

— Kowalu, opowiadajcie co o Niemcach!

I zawsze rezolutny Maciej coraz coś nowego przyłożył do skarbnicy wiedzy etnograficznej Siekaczowian.

— Ee — powiada, — te Niemczaki nic, jeno «bijer» i «śpek,» a tak się jakoś nijako modlą... Psianoga nie uklęknie, tylo założy palec na palec i gada, mruczy... to ma być ich pacierz... Taka luterska wiara.

W samej rzeczy, cała rodzina Czubalów była ogromnie pracowita; ludzie w Siekaczowie nigdy takiej robotności nie widzieli. Szczególniej zaś pod tym względem celowała owa znajdka Ulina, która krzyż Pański w domu znosiła od schorzałej Maciejowej i jej córki Wikty. W chałupie opiekunów przezywano ją «siuberek,» co ma znaczyć: podrzutek. Ale znajdka i tak miała zawsze dobry humor. Nieraz spopychana, wytrzaskana, zwymyślana, ze łzami w oczach wychodziła za chałupę, aby się wypłakać, wysapać, a po jakiejś chwili wracała do izby wesoła i, gdyby na to przyszło, gotowa była śmiać się do rozpuku.

— Dziewczysko takie niepamiętne... Mów do niej, wszystko jak na psa przyłatał! — wydziwiała marudna Maciejowa; a Wikta Czubalanka była jeszcze gorsza, gdyż ją korciło, że za Uliną parobcy przepadają.

— Onaby się z każdym zadawała, dość żeby na nią spojrzał... Gotowa się tu jeszcze wyszy-

kować i wstydu nam narobić... zwyczajnie latawica!

Przychodzi raz Maciej do domu na obiad, a tu właśnie żona jego i córka wzięły znajdkę w takie obroty, że dziewucha aż piszczy... Zawsze się za nią ujmował i teraz także fuknął z gniewem; dopiero baby wypuściły z rąk zmiętoszoną Ulinę. Jakoś się bardzo wtedy rozżaliła i wręcz powiada:

— Co ja tu komu mam być solą w oku?

Z temi słowy, szlochając, pocałowała w rękę tak Macieja, jak Maciejową.

— Ślicznie wam dziękuję za opiekę i wszystko najlepsze, com od was miała; ale niewytrzymanie moje dłuższe w tym domu... Chcą mię oto we dworze przyjąć za dziewkę do sprzątania pokojów; niech się dzieje wola boża, pójdę służyć! Czas na mnie nie być popychadłem.

— Widzicie, ludzie! do dworu chce! pilno jej, żeby się zepsuła! — krzyknęła ze złością kowalka, a Wikta już usta otwarła, żeby swoje powiedzieć.

Maciej spojrzał po babach i ucichły, a on tak mówił:

— Słuchaj-no, Ulina, ja ci kawałka chleba nie żałuję, ale i służby nie odradzam! Na twojem miejscu sam poszedłbym służyć. Jeno wiesz ty, co jest służba we dworze? Dziedzicowi może więcej chodzi o psie figle, niż o służbę, a tyś sierota, niebożę! Zrozumiałaś mię ty, co ja myślę o tej dworskiej służbie?

— Odrobinę zrozumiałam — rzekła i znowu pocałowała w rękę kowala i kowalkę.

— No, to pamiętajże sobie, żeby służenie było służeniem! Bądź o siebie starowna w dzień i w nocy; bo przy takim dworze, gdzie pani niema, łatwo popaść w grzech i nieszczęście!...

— O Jezus! gdziebym znowu miała!... Co wy też mówicie!

I przyjęła we dworze służbę pokojówki.

Może w jaki tydzień potem przybiegła z niepokojem do Maciejowej i tak się przed nią żaliła:

— Boję się czegoś okrutnie tego dworu.

— Głupiaś! — odrzekła kowalka. — Czego się człek boi, tego się strachem nie obroni. Dziewuchy takie ślepiate, jak ty, do śmiechu jeno ciągną, a tu zapusty po zapustach schodzą i one chłopów nie dostają.

— Jakże ja też, nieszczęśliwa, mam na takiego pana brzydko spoglądać!... Toć ja chleb jego jadam.

— Ee, firko jakaś! Na robotę swoją wytrzeszczaj oto gały, nie na dziedzica, a on pewnie nie pomyśli nic złego! Do samej roboty się zgodziłaś, to pilnuj i basta!

Wzruszona Ulina pocałowała Maciejową w rękę i odeszła, a w kilka dni potem znowu się zjawiła u kowalki.

— I cóż? Jakże ci tam służba idzie? — zapytuje Maciejowa.

— Oo, służba idzie składnie, doskonale; włożyłam się do każdego sprzątania, jeno... żeby tylko ten pan dziedzic chciał sobie dać na spokój! Strasznie jakiś taki... obiecuje mi kupić szaty, trzewiki... Jak Węgier przyjdzie z towarem, mówi mi: To sobie, Ulisiu, wybierz, co sama zechcesz!

— Ho, ho! I czegóż mu ty zaś tak wpadłaś w oko? Bo chyba nie z osobliwej urody?

— Ekonomka mi o nim opowiada takie straszne rzeczy, że, choćby nawet kochanie było, toby się go człowiekowi odechciało... o rety!

— A cóż ona takiego mówi?

— «Wiesz ty,» powiada, «pan dziedzic gorszy jest od Tatara!» Mówię wam rzetelnie, że mi przez to całkiem obmierzła służba we dworze i wszystko.

Ulina zaczęła teraz szlochać, sapać, a oczy nieustannie ocierała fartuszkiem.

— Dlaczegóż się ty mażesz, głupico jedna? O to ci idzie, że dziedzic nie za tobą samą jedną goni?

— Moiście-wy, żebyście jeno wiedzieli wszystko, tobyście też pewnikiem zapłakali nade mną!

— Nie miałabym nic lepszego do roboty!... Miasto tych szlochów, lepiej oto wezwij sobie na pomoc Anioła-Stróża i miej przy tem dobrą wolę obstać, a pewnikiem włosek ci z głowy nie spadnie.

— Toć mię tam we dworze ekonomka już tak stróżuje, dozoruje, że nie trza lepiej! Kroku

jednego zrobić nie mogę bez jej wiedzy: bo gdzie się ruszę, ona mię wszędzie podpatrzy. Drugi raz znowu bierze mię akuratnie w obroty i dopiero precz roztrząsa sumienie. «I mądrzej,» powiada, «rób tak a tak, tego i tego nie rób!» Klekoce mi razwraz nad głową, rozumu chce napędzić... utrapienie moje! Musi zmądrzałam cobądź przez to, tyla mi i tak porady waszej potrzeba... Jakże wy zaś myślicie? może cisnąć do licha tę służbę?... Cisnęłabym ją już dawno, jeno wam się na kark zwalić nie myślę.

— Przestańże, Ulina, bo mię już ostatnie złości biorą na całe to gadanie! Cóż z ciebie kiedy będzie za kobieta? Zaradności, widzę, masz w sobie mniej niż drugie bydlę... Nie przymierzając, choćby ta moja krowa, bodzicha: jak trza, to ona łeb na dół, rogi na przód i już; no, a drugi raz dziecina, lada dwulatek, gałązką na stanie ją zapędzi. Przecież też i ja za młodu wysługiwałam się po dworach, jakich jeszcze dworach! Ale umiałam zawdy stawiać się należycie dziedzicowi; jak nie, tom znowu folgowała... Widzisz, ludzie mię nie zjedli, korona mi z głowy nie spadła i wyszłam za swego Maćka, jestem gospodynią, matką dzieciom.

— Rzetelnie mówicie! — odrzekła znajdka, ucałowała ręce Maciejowej i powróciła pocieszona do dworu.

Przeszedł czas jakiś. Ulina znowu zawitała do chaty swojej opiekunki, a była wesoła, swo-

bodna, jak nigdy przedtem. Zapytana przez kowalkę, jak jej się teraz we dworze powodzi, odpowiedziała śmiało i rezolutnie:

— Niczego, moiście-wy, niczego! Pan dziedzic zwolniał, zrobił się delikatny, aż miło.

— Z czegóż ty jego delikatność widzisz? — pyta Maciejowa, a podejrzliwem okiem spogląda na dziewczynę.

— Jakże nie mam widzieć, kiedy teraz nigdy koło mnie nie przejdzie, żeby mi dobrego słowa nie dał, albo czego w rękę nie wetknął? Ogromnie zlepszał, jeno za to ekonomka zgorszała... Niewytrzymanie ludzkie, taka z niej okrutnie zła osa!

— Pewnie ona ma jakowąś przyczynę tej złości — rzekła Maciejowa głosem surowym, który zmroził wesołość dziewczyny.

Potem stara chwyciła znajdkę za rękaw koszuli i mówiła z powagą:

— Ulina, wyznaj mi tu szczerze, jak na spowiedzi: przez co dziedzic stał się taki dobry dla ciebie? Już to tam coś być musi...

— O, święty Panie, cóż wy sobie zaś myślicie! A niechże mię rany boskie bronią! Szczerze przed wami wyznaję, powiadam bez żadnej ogródki, jak co jest... Zrobił się, mówię, dobry, spokojniusieńki, trusia, już mię nigdy a nigdy nie napastuje, tylko zawdy przemawia «moja Ulisiu,» a od czasu do czasu wścibi w rękę gruszkę, czyli też ciastko takie cukrzone. Z soboty na niedzielę dał mi kieliszek słodziuśkiego likieru... ja tam nie

wiem, jak się to nazywa... Żeby nie owa ekonomka, dobrze byłoby, nicby mi nie brakowało.

— Popatrz-no mi prosto w same oczy! Mnie się jakoś nie zdaje, żeby tobie dziedzic tak bez niczego rozdawał gruszki, ciastka, likiery! Czemuż on mnie nie daje?

Znajdka spojrzała w piwne, surowe i złe oczy kowalki; ale nie mogła widać znieść przenikliwego spojrzenia starej i spuściła wzrok ku ziemi, a całą jej twarz zalał rumieniec, który w oczach opiekunki stanowił wyrazisty dowód winy.

— Ty... jedna! — wrzasnęła jak jędza Maciejowa, a oczy jej wywróciły się białkami.—Potom cię wychowała, ażebyś...

I w tejże chwili uraczyła swoją wychowankę takim tęgim policzkiem, że kościste palce schorowanej wiedźmy odcisnęły się na różowej twarzyczce dziewczyny; płatków świeżo rozkwitłej róży nie można szpetniej skazić.

Znajdka, gorzko łkając, ukryła głowę w obu dłoniach i na kolana padła przed swą opiekunką.

— Jezus, Marya, Józefie święty! — zawołała i nie mogła już śród łkania ani słowa więcej powiedzieć.

Tymczasem Czubalina, ogromnie przejęta rolą sprawiedliwej sędziny, która ma obowiązek karcić przestępstwa moralne, dawała naukę upokorzonej dziewczynie:

— Ja muszę przed Bogiem i ludźmi odpowiadać za twoje postępki, jakoś wyszła z mojego

domu. Powiedz sprawiedliwie, czyś ty kiedy ze mnie albo z moich dzieci miała zły przykład!... Gadaj, zatracona! Beczysz, kwiczysz teraz, kiedy już późno... Doczekałam się tęgiej pociechy z ciebie, szturmaku! Mój Boże, mam teraz zapłatę za moje kocołowanie, za wszystko! Litowałam się nieraz nad tem, jak nad czem dobrem, a tu bić, skórę rznąć należało. Wstyd jeść muszę za swoje dobre serce!... Choć, prawdę mówiąc, czasem mię coś tknęło i przeczuwałam, że z takiego «siuberka» nie może być nic dobrego. Ha, nie dziwota! Urodziło się to-to bez kościoła, bez niczego, i Pan Bóg wytyka teraz bisurmaństwo.

Pewnie byłaby długo jeszcze tak prawiła, gdyby nie nadszedł Maciej. Stanął on w progu izby, popatrzył chwilkę na klęczącą Ulinę, na ogromnie czegoś rozżartą babę i spytał krótko:

— A to znowu co nowego?

Dopiero kowalka dała folgę językowi.

— Bój się Boga, człowieku! aniś się spodziewał, co ci za przysmak to dziewuszysko zgotuje!

Kowal wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, co te wszystkie krzyki znaczą, i rzecze:

— Ulina, czegóż ty głupia znowu klęczysz? Wstawaj zaraz, przecie tu nie kościół!

Porwała się znajdka jak oparzona i co tchu pocałowała Macieja w rękę. On spojrzał na nią ostro i powiada:

— Coś ty przeskrobała?

Ta nic nie mówi, patrzy w ziemię, a kowalka znowu rozpuszcza język i zaczyna pytlować.

Słuchał jej cierpliwie, póki się nie wypłakała; potem w te słowa pyta:

— Ulina, czy to wszystko, co słyszę, ma być prawda?

Załkała znajdka i w ogromnem rozżaleniu zaledwie mogła wybełkotać:

— Nie, moiście-wy, nie!

— Widzicie, moi ludzie! w żywe oczy się zapiera! Co z taką bezczelną zrobić?

Musiał kowal znowu czekać, ażeby jedna przestała gadać, druga płakać. Skończyły nareszcie, uspokoiły się cokolwiek. Zwraca się potem do znajdki i powiada:

— Jestem ci jak ojciec córce; rzetelną prawdę przede mną zeznaj!

Dziewucha się rozrzewniła i nawpół z płaczem odrzekła:

— Kiedy już na to przyszło, że mię tu spotkał taki posądek, powiem wszystko, nic nie ukryję... Bóg widzi niewinność moją.

— No, nie kocmołuch jakiś! — zawołała kowalka.—Ona ciągle niewinnością chce jeszcze ćmić ludziom oczy.

Ale Maciejowi zbrakło już widać cierpliwości— spojrzał ostro na żonę i zmilczała, a wtedy Ulina jęła opowiadać już śmielej:

— Miałam ja ciężkie tarapaty z tym panem dziedzicem; druga pewnieby nie wytrzymała, wy-

rzekłaby się i służby i wszystkiego. Zawziął się na mnie osobliwie: ani on mi pokojów pozamiatać, ani żadnego porządku zrobić na czas nie dawał... A ekonomka znowu okrutnie na mnie nastaje i ciągle mi nad głową trzeszczy: «Gdzieś była? Coś robiła?...» Trudno mi opowiadać było o wszystkiem, więc się składam, jak mogę, a ta nic nie wierzy, jeno swoje powtarza: «Łżesz, nieprawda!» Myślałam, że oszaleję w takich tarapatach. Dopiero jednego razu idę ja do pokojów sprzątać, a tu wchodzi pan dziedzic... i nic, jeno mię gwałtem chce całować. Struchlałam cała... Nieszczęście moje ostatnie... myślę sobie, a drżę ze strachu jak osika, szczotki do zamiatania utrzymać w ręku nie mogę. Westchnęłam sobie do Boga, obsunęłam mu się z rąk jakoś, zapłakałam z całego serca, upadłam przed nim na kolana, złożyłam ręce jak do pacierza i skamłam: «Wielmożny dziedzicu, zlituj się nade mną i nie czyń mi krzywdy, niebodze! Czym ja też kiedy co złego zrobiła, żeby mię los taki miał spotkać!...» Już ja tam sama dobrze teraz nie pamiętam, com mu wtedy powiedziała, tyla się wzruszył musi, czy co takiego... Dość na tem, że upamiętanie mu jakieś przyszło do głowy... całkiem inny człowiek. Zrobił parę kroków w tył, popatrzył na mnie, a to najgłówniej dziwne, że wyjął z kieszeni dziesięć rubli, podaje mi i rzecze: «Bądź-że zawsze taką uczciwą dziewczyną, jak teraz oto!» Od tego czasu, mówię wam, odmiana: grzeczny i stateczny

człowiek się zrobił. Ekonomka, co prawda, jeszcze srożej mi dopieka, jeno to sobie już mało ważę... Nijako mi tam opowiadać o takich rzeczach; ale skorom wpadła w posądek, to muszę.

— I czegóż ty chcesz od niej? — pyta kowal, zwracając się do żony.—Za nic wytrzaskałaś dziewuchę po gębie, a ona rzetelnie gada.

Ulina wcale już nie pamiętała o swojej krzywdzie, obcałowała ręce opiekunów i, pośpiewując po drodze, szczerząc zęby do spotkanych parobków, pobiegła w kierunku dworu.

— Ulina, ho, ho! To cała szelma, chytra dziewka, wszystkichby tu we dworze umiała sprzedać! Do tego stopnia opętała pana dziedzica, że człowiek zupełnie stracił rozum i już w niczem ma nawet osoby lepiej urodzone, dobrze wychowane.

W te słowa przemawiała pani ekonomowa do swojej ulubionej Dorotki, która służyła we dworze za dziewkę do krów i do kuchni, a przedewszystkiem była pokojówką.

— Kiedy pani co powie, to już koniecznie jest akuratna prawda — odrzekła Dorotka, schlebiając szafarce. — Nasz pan teraz dla wszystkich ochłódł.

— Poczekaj, kochanko, niech się tam nowa miotła trochę podstarzeje! Ja mu już zamydlone oczy i tak dobrze przetarłam; a jakem Chudziewiczowa, tak się tej dziewki muszę z dworu pozbyć.

I ekonomowa wyszukiwała różnych tortur, aby udręczać nienawistną znajdkę, pędziła ją nieustannie z jednej roboty do drugiej tak, że dziewczyna nie miała czasu odetchnąć. Nie obeszło się też bez krzyków, wymyślań, szturchańców, chociaż Ulina była bardzo uległa i ręce ekonomki obcałowywała z taką samą pokorą, jak Macieja i Maciejowej. Surowość Chudziewiczowej względem znajdki wynikała jedynie z podejrzeń, które są podobno źródłem wszelkich prześladowań w rodzaju ludzkim. Ekonomka nie znała istoty stosunku swej podwładnej do dziedzica, a jednak, nie mając najmniejszego dowodu «czarne na białem,» powtarzała nieustannie:

— Gdzie ten dziedzic ma oczy?

Oprócz tego — także na podstawie podejrzeń — żywiła niewzruszone przekonanie, że Ulina w chwilach poufałego samnasam z dziedzicem najniezawodniej szyje buty jej, jako swej zwierzchniczce. Z jednej strony więc gorliwość o wysokie względy moralne, z drugiej popęd samozachowawczy kierowały postępowaniem szafarki w Siekaczowie.

Miała ona obowiązek codziennie, około dziewiątej wieczorem, odbywać z dziedzicem narady, i na takich posiedzeniach przedstawiała swoje wnioski co do zarządu kuchnią, oborą, kurnikiem, a wysłuchiwała uwag pana Anastazego. Jak się zdaje, zamierzała z początku ująć go sobie czemś, niemającem żadnego związku z czynnościami

szafarki, gdyż przybywała na owe posiedzenia wyświeżona i stroiła zalotne minki. Skubiński jednak zwracał na to tak mało uwagi, że zwykle pod koniec narad zasypiał w krześle snem sprawiedliwego. Zawiedziona, usiłowała potem wywrzeć nań wpływ, przedstawiając się jako «osoba wyższego urodzenia i lepszego wychowania:»

— Przecież nieboszczyk Boczulski z Kawęczyna był rodzonym moim wujem; wychowałam się na jego rękach.

Ale pan dziedzic i pod tym względem okazywał mało wrażliwości. Chociaż Chudziewiczowa w największym zapale deklamowała pochwały swego rodu, on obojętnie zaczynał ziewać, kiwać się i nareszcie chrapać. Robiła mu wówczas dyg, wygłaszała «dobrej nocy panu dziedzicowi» i wychodziła z szelestem, ażeby zbudzić śpiocha, który tak lekceważąco zasypiał wobec rodzonej siostrzenicy nieboszczyka Boczulskiego z Kawęczyna.

— To drwal, chłopisko bez najmniejszego poloru! Jak on się nieprzyzwoicie rozwala w mojej obecności! — mówiła nieraz do męża, który odpowiadał:

— Jego spanie i rozwalanie się wcale mi nie szkodzi... Żeby tylko człowiekowi po piętach nie deptał, o!...

W ostatnich czasach dała szafarce dużo do myślenia ta okoliczność, że Skubiński już niejednokrotnie rzucił jej ni stąd ni zowąd pytanie:

— No, a jakże tam Ulina?

Tu chodzi o rozstrzygnięcie, czy jutro na obiad ma być gęś pieczona, nadziana jabłkami, czy na zimno w galarecie, a dziedzic, zamiast coś postanowić, pyta:

— Jakże też tam ta Ulina?

— Ulina? — odrzecze z udanem zdziwieniem ekonomka. — Zwyczajnie, próżniak dziewczysko, ostatni wałkoń! Gdyby nie ja, gotowa nic w domu nie robić... Właśnie chciałam panu dziedzicowi przedstawić, żeby Dorotkę znowu obrócić na pokojówkę, a Ulina... prawie na takie popychadło przy kuchni, w krowiarni.

Oczekiwała odpowiedzi; ale pan Anastazy wyciągnął kłodziaste nożyska przed siebie i zaczął ustami tak pykać, jak gdyby palił fajkę: już zasypiał.

Innym razem byłaby dygnęła i odeszła; cóż, kiedy właśnie miała teraz wątpliwość, czy jutro podać na stół gęś pieczoną, czy w galarecie.

— Kobieta dobrego urodzenia, muszę wystawać przed tym śpiącym bałwanem!

Ta myśl nadzwyczajnie wzburzyła Chudziewiczową i przyklapanym na pięcie pantoflem narobiła takiego łoskotu, że Skubiński podniósł ociężałe powieki, jakimś strasznym wzrokiem, właściwym człowiekowi nagle przebudzonemu, spojrzał na szafarkę i potem głosem ponurym, jakimś grobowym, wybąkał:

— Heeę?...

Przeraziło ją nadzwyczajnie to istnie zbójeckie spojrzenie i ten głos straszliwy. Z bijącem sercem dygnęła natychmiast i wybiegła. Kiedy już nieco ochłonęła z przestrachu, uprzytomniła sobie całą rozmowę z panem Anastazym i doszła do niezłomnego przekonania, że dziedzic najniezawodniej obraził się na nią za owo niekorzystne zdanie, wypowiedziane o znajdce.

— Moi państwo, akurat tego tylko brakuje, żebym ja za taką szelmę, wycieruchę ostatniego stopnia, dostawała cięgi! — pomyślała sobie klucznica, miotana owemi wzruszeniami, śród których serce niewieście ogromnie łaknie, aby się koniecznie przed kimś zwierzyć, wylać.

Mąż jej już od godziny spał w najlepsze; ale, choćby nawet czuwał, nie znalazłaby u niego pożądanego spółczucia. Jak dalece bowiem dusza Chudziewicza była niedostępna dla delikatniejszych wzruszeń, łatwo się przekonać już z tego, że Skubiński niejednokrotnie wręcz mu powiedział:

— Wiesz co, w całej Europie niema równego tobie cymbała!

A on chował to do kieszeni, zupełnie jak gdyby nie słyszał. I rzadko kiedy pan ekonom siekaczowski napomknął coś tam żonie o «różnych gorzkich pigułkach, które musi nieraz połykać w służbie u skrobigarnka, nieumiejącego ocenić porządnego człowieka.»

Otóż, właściwie mówiąc, w całem otoczeniu jedyną duszą, najbliżej spowinowaconą z Chudzie-

wiczową, była Dorotka, dziewczyna wypadła z łask dziedzica i z powodu Uliny zepchnięta na stanowisko podrzędniejsze. Miała zaś szafarka izbę taką, gdzie najchętniej przebywała — coś w rodzaju archiwum, czy kancelaryi szafarnej. Tutaj to po kątach, w różnych pudłach, koszykach, wysiadywały napuszone kwoki, cierpliwie oczekujące rozkoszy macierzyńskich. Popod ścianami stały prasy, wytłaczające twaróg na sery, z których w podstawione miski ściekała zielonawa serwatka, ulubiony nektar żniwiarzy podczas upałów letnich. Zawieszone u belek w słomianych siatkach dosychały tu liczne serki krowie, a na nich czerniły się roje much niezliczonych. W oknie pomiędzy doniczkami kwiatów widziałeś mnóstwo słoików z różnobarwnemi konfiturami, butelki z sokami, a i ogromny słój, pełen mydlin, gdzie krocie much grób znalazły, z wierzchu zaś narastały coraz nowe ich warstwy. Było tam wszędzie nadzwyczajnie brudno, lepko i jakieś bardzo przykre wonie napełniały powietrze. Ha, bo okna owej szafarni nigdy nie otwierano, ponieważ—zdaniem ekonomki — złodzieje w Siekaczowie tego tylko wyczekiwali; co więcej, przeciągi świeżego powietrza groziły jakoby wielkiem niebezpieczeństwem jajom, wysiadywanym przez kwoki.

Trzeba wiedzieć, że do opisanej izby wchodziło się przez kuchnię, gdzie letnią porą przy drzwiach otwartych odbywały nocleg dziewki dworskie i psy, pokotem rozłożone na ziemi.

Silnie wstrząśnięta zachowaniem się dziedzica, spragniona, aby gorycze duszy wylać przed Dorotką, Chudziewiczowa z kluczem w ręku pośpiesznie biegła do szafarni. Widocznie w napływie uczuć zapomniała o taborze nocujących psów i dziewek, i naraz ugrzęzły jej jakoś nogi w kudłach psa Obala, znanego kuchennego pieczeniarza i szkodnika; potknęła się fatalnie, padła jak długa. Zgiełk, sprawiony przez upadek szafarki, wywołał pospolite ruszenie między psami, które zrywały się teraz ze wszystkich stron i, przeskakując w susach przez śpiące dziewki, zmykały ku drzwiom w ogromnym popłochu.

Ocknęła się pierwsza Ulina, i to z bólu, ponieważ głowa ekonomki z wielkim rozmachem trzasnęła o jej głowę — spotkał się młot z kowadłem i odskoczył. Dopiero w całej kuchni krzyki, jęki, hałasy, rwetes — niech Bóg broni!— Nareszcie udało się Marcinowej, kucharce, zapalić światło w tem strasznem zamieszaniu. Patrzą, a tu dziewki zbladłe, powystraszane, w jednych koszulinach stoją i aż się trzęsą ze strachu. Któż tam mógł wiedzieć w ciemnościach nocnych, co się takiego stało?... Musiało być coś osobliwego, nadzwyczajnego, skoro psy dostały lęku i pouciekały. Chudziewiczowa oto trzyma się oburącz za głowę, a żałosnym głosem postękuje «eeę, eeę!»

Znajdka znowu przyłożyła sobie rękę do czoła, drży, dygoce i mówi:

— O najsłodsze imię Jezus! a cóż mię też tak okrutnie zwaliło w głowę!...

Mało kto zważał tam na Ulinę; wszystkie dziewki garną się do ekonomki, wypytują, czego tak jęczy. Ona spojrzała tylko i, kiedy wzrok jej padł na znajdkę, rzekła z wielką zawziętością:

— Widzicie wy tego potwora? Toć ona mi ciągle nogę podstawia! Zachciewa jej się rządzić w Siekaczowie...

— Nogę podstawia! — powtórzyła z oburzeniem Bryśka, dziewucha pyzata i pękata, zwana dziewką ekonomską; Chudziewiczowie bowiem byli na dworskim stole i dwór im do obsługi wyznaczał także jedną ze swoich służących.

Szafarka nic już nie mówiła, tylko splunęła z pogardą, skinęła na Dorotkę i zamknęła się z nią w szafarni, gdzie prawie do białego dnia rozprawiała wyłącznie o pokojówce i o jej nadzwyczajnie szkodliwym wpływie na pana dziedzica.

— Tak go przekabaciła na swój sposób, że się zrobił zupełnie inny człowiek!

Nazajutrz cała służba w siekaczowskim dworze wierzyła niezłomnie, jakoby Ulina podżegała pana Anastazego do krzywdzenia ludzi. Jeżeli kto dostał po karku, to — według powszechnego mniemania — nie dziedzic, tylko znajdka była winna. Ma się rozumieć, dziewczyna znosiła teraz ogromne prześladowanie, ponieważ każdy sobie wyobrażał, że jest jej ofiarą.

Gdyby tylko ludzie w Siekaczowie z całą pewnością wiedzieli, że Ulina istotnie oddziaływała na Skubińskiego, to przecież każdy usiłowałby pozyskać jej względy, ażeby tą drogą wedrzeć się i w łaski dziedzica. Atoli mgła niepewności osłaniała stosunki dziewczyny i przeto dręczono ją: — tak się zawsze obdziera ze skóry bliźniego. Już i wieś warła na znajdkę, a kowalka na pewnej podstawie mogła teraz robić mężowi wyrzuty:

— Widzisz, ujmowałeś się za tą klapą... masz!

Śród takich okoliczności przyciężko było Ulinie pokazywać się między ludźmi, a przecież w niedziele i święta musiała na nabożeństwo chodzić do kościoła. Nieraz idzie, tu walą w dzwony, pienia nabożne z świątyni rozlegają się daleko, a baby z różańcami w ręku palcami ją wytykają i bez ogródek głośno mówią:

— Skądże ona zaś bierze na takie stroje?... Kocmołuch jeden! Niedawno toto obdarte, sponiewierane, skądsiś przylazło, a teraz oto z paradą występuje, niczem córka gospodarska... Czemuż się tak samo nie stroi Dorotka albo Bryśka? Przecież i one też są dworskie dziewki!

Szła jak na ścięcie między babami, dziewkami, parobkami, i wyraźnie słyszała, że jej każdy precz przypinał jakąś łatkę. A Ulina, co prawda, lubiła się stroić: zawsze na niej bieluchna koszula, gorsecik w śliczne desenie, bramowany złocistemi

centkami, piękna wstążka zapleciona w warkoczu, paciorki okazałe na szyi — miło było popatrzeć... Cóż, kiedy się ludzie na nią zawzięli!... O, dobrze nieraz najadła się wstydu, a sama nie wiedziała, za co ją to wszystko spotyka.

— Musi od urodzenia wisi nad drugim człowiekiem grzech jakiś... — ubolewała raz przed Bryśką, ogromnie głupią i niezdarną dziewuchą.

Ale Bryśka nigdy nie rozumiała, co ludzie do niej mówią, nie mogła się zdobyć na swoje własne zdanie, tylko powtarzała cudze słowa i dodawała od siebie:

— Oj joj!

Tak i teraz odrzekła znajdce:

— Grzech jakiś... oj joj!

Tak się rzeczy miały, kiedy do Siekaczowa przyjechał krewniak Chudziewiczowej, może dwudziestoletni młodzieniec, Leoś, jak go ekonomka poufale nazywała. Ciągle mówił o sobie:

— Jestem z miasta Łodzi.

Wiercipięta ten, w kapeluszu z piórkiem, wywijający laseczką, ogromnie przedrwiwał ludzi w Siekaczowie i nie oszczędzał nawet samego dziedzica, a nieustannie powtarzał: «Co dla mnie znaczy taki Siekaczów w porównaniu z miastem Łodzią?... W mieście Łodzi żyje sobie człowiek porządnie.»—Zawsze to miasto Łódź było u niego na ustach, a chociaż mu się w Siekaczowie nic nie podobało, jednakże strzelał oczyma za Uliną

Dziewczyna krokiem się ruszyć nie mogła, żeby Leosia nie spotkała, a zawsze w podrygach, w uśmiechach, z komplimentami.

Sama Ulina bez wątpienia dodawała mu ochoty, ponieważ miała ten niedorzeczny zwyczaj śmiać się, jak tylko ktoś spojrzał jej w oczy. Można było myśleć, że to robi przez zalotność, o ona była niewinną śmieszką i od czasu do czasu musiała się należycie wyśmiać — czyste dziecko. Biedactwo — zwykle potem łzami i szlochaniem dobrze płaciła za takie śmiechy.

Ów młody, że to krewniak ekonomki, więc się ogromnie rozpościerał w Siekaczowie, miał tam wolny przystęp do każdego kącika. Łaził po ogrodzie, wyjadał truskawki, maliny, a jeżeli Skubińskiego nie było w domu, bez żadnej ceremonii plondrował w pokojach, i Ulina nigdzie nie miała przed nim spokoju. Kiedy ją spotkał, zaraz uchylał kapelusika, kłaniał się bardzo grzecznie, zapytywał:

— Jakże zdrowie pani?

Zawsze się zanosiła od śmiechu z powodu tego witania: — niby ją panią nazywał. Powiada raz do Bryśki:

— Wiesz ty, toć on mię panią mianuje!

— Panią?... Oj joj!

I dopiero śmiały się obie do rozpuku. Ale już bez miary chichotała wtedy, kiedy Leoś zaczął z nią prowadzić rozmowę o miłości.

— Czy pani kogo już kochała? — pyta jej, a ona aż łzy w oczach ma ze śmiechu.

Wielka zabawa i pociecha z takiego mitręgi!

Jednego razu oświadczył się wyraźnie, powiedział jej te słowa:

— Bardzo panią kocham i czekam tylko na wzajemność!

— Któż zaś panu Leosiowi przeszkadza czekać? — odrzekła i ogromnie się śmiała, nie rozumiejąc, co znaczy wzajemność.

Jeszcze śmieszniejsze dla niej było pytanie:

— Czy pani kiedy o mnie myślała?

Wyśmiała się i dała mu odpowiedź:

— Nie miałabym też co robić!

Wiedzieli to wszystko ludzie i ogromnie ich zadziwiało, że «taki galanty panicz» zakochał się w ladajakiej dziewczynie.

— Przecie ta dziewka nie jest godna, żeby on spojrzał na nią!

Ekonomka też zauważyła swoją drogą owe umizgi Leosia, wzięła go na osobność i opowiedziała mu, jako znajdka Ulina jest ostatniego rzędu nicpotem. Chciała go widać zupełnie do niej zrazić.

Przecież to wszystko nic a nic nie pomogło: wiercipięta z miasta Łodzi nie dawał dziewczynie spokoju. Urosły stąd nowe złości i jeszcze większa zawziętość Chudziewiczowej względem znajdki.

— No, nie szelma cała, nie łajdaczka ostatnia ta Ulina! Bałamuci znowu oto młodego człowieka, wodzi go za sobą! — wykrzykiwała publicznie szafarka.

Do uszu kowalki, ma się rozumieć, dochodziły teraz wieści, spotwarzające dziewczynę do tego stopnia, że biedaczka nie mogła myśleć o odwiedzeniu swoich opiekunów. Maciejowa bowiem częstokroć dawała się słyszeć:

— Niech mi się ta flondra na oczy nie pokazuje!... Warkocz jej utnę, łeb ogolę, smołą obmażę.

Powtarzano znajdce te słowa kowalki, i to z niemałem zadowoleniem wewnętrznem, a tak prześladowana czuła, że jej się grunt z pod nóg usuwa.

Skubiński jednakże w każdym razie, i to chcąc nie chcąc, stanowił dla Uliny mocną tarczę. Powaga dziedzica, z którym «niema żartów,» obawa jego niełaski, albo i pięści, jako tako trzymały jeszcze na wodzy zapędy licznych nieprzyjaciół pokojówki. Cóż, kiedy pan Anastazy w rozmaitych interesach majątkowych musiał częstokroć na jakiś czas wyjeżdżać z Siekaczowa. Rozluźniały się wtedy węzły karności, każdy mniemał, że jest czemś innem, niż jest istotnie, i nienawiść dla Uliny, ciągle podsycana przez ekonomkę, buchała ogromnym płomieniem. Obelgi, niezasłużone policzki, kopnięcia, szturchańce gęsto spadały na domniemaną ulubienicę dziedzica, sprawczynię

wszystkich nieszczęść, jakie tylko nawiedzały czeladź w stosunku z dworem. Tak się znęcano nad dziewczyną, że nie przestawała wówczas łez ocierać z oczu. Jedna Bryśka zachowywała się obojętnie; ona także była celem prześladowania — głównie parobków — z powodu niezdarności i braku urody.

— Suswał, pęcel, ociepka! — oto stałe przydomki Bryśki, nadawane jej przez fornali, na co ekonomska dziewka także stale odpowiadała:

— Oj joj!...

Właśnie teraz wypadł był taki wyjazd dziedzica z domu, i Chudziewicz wyobrażał sobie, że nieobecność pana ogromnie go podnosi w godności: «zaczął się wtrącać do takich rzeczy, które zupełnie do niego nie należały» — jak to bardzo trafnie powiedziała sama Chudziewiczowa. Do zagrabiania potrawów na łące zabrakło mu ludzi i, jak oparzony, wpadł do kuchni z batogiem, krzyknął na dziewki:

— Próżniaki jedne! wałęsacie się tu bez potrzeby! Brać mi grabie i jazda na łąkę! Raz w życiu poznajcie, co znaczy robota!

Usłyszała ten rozkaz pani ekonomowa, wybiegła co tchu z szafarni, ostro zmierzyła okiem małżonka i od razu wsiadła na niego:

— Cóż ty, waryacie, myślisz?... Może chcesz, żebym ja sobie ręce urabiała, jak prosta dziewka?

Zmyła mu należycie głowę, nie pozwoliła zabierać żadnej dziewki do roboty na łące. Wtem

przychodzi jej myśl zrobienia mężowi niby też to ustępstwa i wskazuje mu Ulinę:

— Ooo, tę próżniaczkę zapędź do roboty. Z kąta w kąt łazi, wywczasu jej się zachciewa... Będziesz miał zasługę przed Panem Bogiem.

Chudziewiczowi nie trzeba było dwa razy takich rzeczy mówić i od razu fuknął na znajdkę:

— Eee, ty marmuzelo, machaj mi zaraz z grabiami na łąkę!

Dopieroż dla całej służby uciecha, kiedy pokojowa dziewczyna, ładnie przyodziana, wyruszyła z grabiami do roboty.

— Wierzchówka delikatna, pod siodełkiem chadzała, a teraz ją do dyszla zaprzęgli!... Poznaj, co to są za smaki w twardej robocie.

Ulina umiała pracować; ale drwiny takie, wydziwiania, zupełnie ją stropiły i grabie ledwie mogła utrzymać.

— Deszcz wisi, śpieszta się, zagrabiaj!—wykrzykiwał nieustannie Chudziewicz, a wrzaskul z niego był ogromny; cobądź mówił, na okolicę ludzie słyszeli: zupełnie jakby ryczał.

Spostrzega on teraz, że znajdka siano precz poza sobą zostawia, i od razu na nią z góry:

— Hej, ty tam, alegantko, baletnico!... Tak się to zagrabia, skrobaczko jedna? — i harapem śmigał po kłakach siana, aż w górę wzlatywały. — Gdzież ty, niezdaro, masz oczy?... Chodzi leniwa, jak z ciasta ugnieciona, suwa się jak na dziągwach... Myślisz, że jagódki po lesie zbierasz?

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna

Zwijaj mi się raźno, żebym ci nie potrzebował dawać nauki!

Kiedy ekonom na innych w taki sposób powstawał, wszyscy przy robocie byli cicho, ale że to na Ulinę, więc każdy od siebie jeszcze jej coś przyciął:

— Przecie ona nie przyuczona chodzić, jeno siedzieć albo leżeć... Nogami ani rękami taka nie narobi — odzywa się jakaś stara baba, a za nią znowu inna mówi:

— W pokoju oto niech ją pan ekonom posadzi i da jej «arbaty» albo kawy, to ona zarasiczki pokaże, co umie.

— Eee, na balu jakim onaby się setnie zwijała, nie tu, na łące! — rzecze stary chłop, dziad niezdara, któremu robota szła daleko gorzej niż Ulinie.

Wszyscy warli na znajdkę, każdy musiał dołożyć swoje. Dziesięć razy cięższa robota nie byłaby jej tak umęczyła, jak owe urągowiska ludzkie.

Tymczasem ekonomka już sobie ułożyła, że Dorotka zastąpi Ulinę w robieniu porządków pokojowych, przynajmniej przez czas, póki pan dziedzic nie wróci do domu.

— No, a potem zobaczymy!

Musiała więc znajdka nazajutrz znowu iść do roboty: kopić i stożyć zgrabiony potraw. Także przy tej robocie przechodziła z małemi odmianami prawie to samo, co wczoraj. Chudziewicz jeszcze

bardziej na nią fukał i zgrzytał, a pod wieczór podciął dziewczynę po łydkach harapnikiem — tak sobie z żartów, — że aż krwawe pręgi zostały na nogach.

Wracając do domu z łąki, popłakiwała z tego powodu — musiało ją boleć; ale tylko ona jedna ból czuła, inne robotnice chórem śpiewały.

Tegoż samego dnia po południu odjechał Leoś do miasta Łodzi, gdyż, jak powiadał, uprzykrzył mu się Siekaczów. Nagadał Ulinie tyle o swojem kochaniu, a nawet się z nią nie pożegnał: pewnie spostrzegł, że takiej nie można kochać, którą wszyscy pomiatają.

Było już dobrze po północy, kiedy nadjechał do domu Skubiński i niebawem przysłał nocnego stróża, ażeby oboje Chudziewiczowie stawili się we dworze. Kręciła nosem pani ekonomka, mruczała na to, że dziedzic nie zna względów, należnych kobiecie «lepszego urodzenia i wychowania,» sarkała, że się musi poniżać dla kawałka chleba; ale, koniec końców, poszła razem z mężem. Zaraz na wstępie spotkało ich ostro wypowiedziane powitanie:

— Pięknieście tu, widzę, gospodarowali! Do krocset par dyabłów! z domu się człowiek ruszyć nie może!

Ci z przerażeniem słuchają, o co takiego chodzi, a on wiedzie ich do pokoju, w którym zwykle przesiadywał, pokazuje zamki wyłamane w biurku i powiada:

— Czy wy wiecie, czem to pachnie?

Państwo Chudziewiczowie okropnie wytrzeszczyli oczy i wydali okrzyk przerażenia. Dopiero po niejakiej chwili ekonomka przemówiła pierwsza:

— Gotowam przysiądz, że to jest sprawka tej szelmy Uliny!

— Bestye! Od czego ja was trzymam, taką parę darmozjadów? — wołał pan Anastazy i strasznie zjadliwym wzrokiem przeszywał szafarkę, która skamieniała.

Mimo zgnębienia, Chudziewicz wygłosił na swą obronę zdanie:

— Domowego złodzieja nikt się nie ustrzeże.

— Jesteś bałwan, cymbał! — ryknął teraz Skubiński, doprowadzony przez tę uwagę do ostateczności. — To ja mam przy domu utrzymywać, opłacać złodziei i takich jak ty osłów?... Przeszło na tysiąc rubli mam szkody; skradziono mi rzeczy pamiątkowe, których wartość przewyższa nawet tę sumę... I ty, mości Chudziewiczu, może myślisz, że ja to puszczę płazem? O, nie, nie! Wszystkie sądy poruszę, do kryminału was poodaję, a własność swoją odzyskać muszę.

Skubiński tupał nogami, walił pięścią w stół, szalał. Gwałt nadzwyczajny w siekaczowskim dworze. Ekonom jeszcze tej samej nocy musiał zawezwać sołtysa i łącznie z nim zarządził skrupulatną rewizyę u wszystkich służących, a także

u różnych osób we wsi, mających stosunki z służbą dworską. Ponieważ podejrzenie padało przedewszystkiem na znajdkę, przeto przetrząśnięto starannie i dom Macieja Czubali, opiekuna dziewczyny, co nadzwyczajnie ubodło miłość własną kowala. Podobnie jak dziedzic z powodu straty materyalnej, tak Maciej ze względu na krzywdę, wyrządzoną jego uczciwości przez podejrzenie o kradzież, wpadł w szał gniewu i strasznie teraz złorzeczył Ulinie:

— Czym ja się też kiedy spodziewał, żeby mię ludzie uważali za złodzieja, albo za takiego, co kradzione rzeczy przechowuje?... Przygarnąłem do siebie biedactwo, chowałem jakby rodzone dziecko, a to, widzę, szelma ostatnia, łajdak z pod ciemnej gwiazdy!

Kowalka dogadywała mężowi teraz:

— Dobrze ci tak, głupi Maćku! Zawsześ trzymał stronę tego szelmostwa... masz! Ja cię nic a nic nie żałuję!...

Rewizya nie wykryła wprawdzie skradzionych z biurka kosztowności, ale w skrzynce Uliny znaleziono nowiuteńki papierek dziesięciorublowy, troskliwie owinięty w szmatkę i głęboko zachowany. Zapytana, skąd ma te pieniądze, nie dała żadnej odpowiedzi, a przytem zapłoniła się cała i spuściła oczy: — dowód oczywisty, że dziesięć rubli musiały pochodzić z jakiegoś nieczystego źródła. Oprócz tego, w skrzynce znajdki wykryto kilkanaście cukierków, jakieś ciastko,

parę pięknych gruszek — i nikt nie powątpiewał, że dziewczyna kradła we dworze wszystko, co jej pod rękę wpadło — «od łyczka do rzemyczka,» jak się wyraził Chudziewicz.

Skubiński nie spał, czekał na rezultaty poszukiwań i był w nadzwyczajnie złym humorze, kiedy do niego już rano przybył ekonom z miną tryumfalną, uszczęśliwiony swemi odkryciami.

— Panie dziedzicu, mamy ptaszka! — zawołał na wstępie.

— Jakto! znalazły się skradzione rzeczy? Gdzież one są?

— Nie znalazły się jeszcze, ale po nitce do kłębka dojdziemy! Złodziejka się wcale nie zapiera... Kazałem ją tymczasem zamknąć w kozie i, podług mnie, parę batów wystarczy, ażeby wszystko wyśpiewała. Sądów na to nie potrzeba.

— Któraż to taka?

— Ulina, pokojówka, ta ciapa, co trzech zliczyć niby nie umie, a gładko kradnie.

— Masz jakie dowody?

— Całą furę dowodów wykryłem, panie dziedzicu!

Teraz Chudziewicz ze wszystkimi szczegółami począł opowiadać przebieg poszukiwań w skrzynce Uliny, kładąc niezmierny nacisk na owe dziesięć rubli, cukierki, ciastko i gruszki.

Pan Anastazy z zajęciem słuchał i twarz mu się jakoś dziwnie przeciągnęła. Wyciągnął

nogi przed siebie, wsparł głowę na łokciu, przebierał palcami w czuprynie i nareszcie rzekł:

— Żeś jest cymbałem *in summo gradu,* wiem o tem od dawna; ale nigdy się nie spodziewałem, żebyś był takim osłem!

Słowa te, wypowiedziane cierpko, z przekąsem, spadły na ekonoma właśnie w chwili, kiedy wyjął z kieszeni *corpus delicti* — dziesięć rubli, cukierki, ciastko, parę gruszek, i wszystko to układał na stole przed dziedzicem.

— Zabierz te dowody swojej głupoty, zwróć je natychmiast niewinnie przez ciebie podejrzeniami skrzywdzonej dziewczynie, którą powinienbyś nawet przeprosić!... No, ale trudno wymagać od baraniej głowy, aby się zdobyła na czyn sprawiedliwości!

— Proszę pana dziedzica, kiedy wszystko przemawia za tem, że Ulina... — wyjąkał Chudziewicz, zdziwiony i przerażony ostrą mową Skubińskiego.

— A ja ci powiadam, że nic nie przemawia; ale taki jak ty osieł gotów jest dowodzić, że ja sam skradłem swoje własne rzeczy!

Mówiąc to, podrażniony dziedzic wykonał ręką ruch zniecierpliwienia, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Wynoś się już do dyabła!

Ekonom zrozumiał widać skinienie i zabierał się do odwrotu, kiedy pan Anastazy niespodziewanie go zagadnął:

— Czy tu jest jeszcze w Siekaczowie ten wiercipięta, który podobno z Łodzi przyjechał?

— Wczoraj po południu odjechał do stacyi kolei żelaznej...

— Aha! Muszę ci powiedzieć otwarcie, że, podług mnie, nie żadna Ulina, tylko wasz krewniak dobrał się do mojego biurka; wszystko za tem przemawia.

— Oh, panie dziedzicu, takie podejrzenie!...

— Tylko żadnych czułości!... Jedź natychmiast za nim w pogoń i odbierz rzeczy skradzione!

Chudziewicz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dziedzic spojrzał na niego groźnie i nie dopuścił dalszej rozmowy. Szafarka zemdlała, gdy jej mąż oznajmił, że dziedzic znajdkę za niewinną, a Leosia poczytał za złodzieja. Jak się pokazało później, Skubiński opierał swój sąd o Leosiu głównie na zeznaniach stróża, którego już był wybadał przedtem i dowiedział się, że fircyk «z miasta Łodzi» od dawna przepatrywał we dworze, oczekując na chwilę odpowiednią do popełnienia kradzieży.

— Ludzkie pojęcie przechodzi, jakie uprzedzenie ma do mnie ten nasz dziedzic! — powtarzała pani ekonomowa, mocno dotknięta obwinieniem swego krewniaka.

Tu się Chudziewicz wybiera w pogoń za Leosiem, tu szafarka w ciągłych żalach i naradach z Dorotką, a Ulina precz jeszcze siedzi

w kozie. Wprawdzie ją dziedzic uniewinnił, nie wydał jednak wyraźnego rozkazu uwolnienia z pod zamknięcia. Odjechał już ekonom, główny wykonawca woli pańskiej, i nikt we dworze nie pomyślał o pokutującej pod kluczem znajdce. Nadeszła nareszcie pora obiadu; pan Anastazy spostrzegł, że go obsługuje Dorotka, i zapytał ją:

— Skądże się tu wzięłaś? Gdzie jest Ulina?

— A no, odsiaduje w kozie!

Ta odpowiedź ogromnie coś wzburzyła dziedzica, który zaklął od siarczystych i zagrzmiał jak trąba sądu ostatecznego:

— Niech mi się tu natychmiast stawi szafarka!

Wybladła ze strachu dziewka co tchu pędziła do Chudziewiczowej z rozkazem pana i dodała od siebie, że mu się «okrutnie ślepie iskrzą i wąsiska jeżą.»

Ciarki przeszły ekonomkę i prawie nieprzytomna stanęła przed srogiem obliczem dziedzica. Jadł właśnie zupę i na widok przybyłej nie doniósł łyżki do miejsca przeznaczenia. Z otwartemi usty, w których połyskiwały dwa rzędy białych zębów, wpatrzył się straszliwie wytrzeszczonemi oczyma w drżącą Chudziewiczową.

— Co to, Ulina w kozie?... Do dyabła! tałałajstwo! Na cztery wiatry toto porozpędzam! — mówił bardzo prędko, wargi mu drgały, język jak gdyby skakał.

— To nie ja... Mąż mój... sołtys... O Boże!... Przecież kradzież... poznajdowali u niej takie rzeczy...—bełkotała ekonomowa, a pan Anastazy w odpowiedzi grzmotnął w stół pięścią z całej siły, aż nakrycie podskoczyło do góry i z wielkim zgiełkiem rozleciało się po posadzce.

— Łajdaki jedne, e-tego!—ryknął Skubiński i znowu trzasnął w stół pięścią.

— Matko Boska Jasnogórska! — jęknęła szafarka, a strach przypiął jej teraz do nóg skrzydła i zemknęła.

Niezawodnie i tak z godzina czasu przeszła, zanim Ulinę wyzwolono z więzienia, od którego Chudziewicz rzekomo zabrał klucz z sobą. Ofiara tylu zawiści, zbiedzona, sponiewierana i głodna znajdka wydobyła się wreszcie na wolność. Gdzie tylko spojrzała teraz, otaczały ją twarze złośliwie uśmiechnięte, albo nienawiścią pałające: nigdzie najmniejszego spółczucia. Poszła do kuchni, usiadła sobie w kącie i zalała się łzami; a nawet ta głupia Bryśka nie śmiała się do niej zbliżyć, aby nie ściągnąć na siebie niechęci. Naprzód kucharka ją upomniała:

— Beki ci nic nie pomogą... Tyle ludzi za ciebie jedną niesprawiedliwie cierpi... Pasy drzeć z takiej!

Zbliżyła się do niej Dorotka i z piekielnym uśmiechem na ustach zagadnęła:

— Jeszcze ci źle na świecie?... Ciastka, cukierki jadasz, pieniądze w skrzyni zbijasz... Któraż to druga dziewka może?

— Żadna poczciwa nie udoła, jeno myjak taki, gałganica! — odezwała się z pogardą kucharka i splunęła przed siebie.

Przechodził mimo któryś z parobków i umyślnie nastąpił znajdce na nogę, a kiedy się porwała i syknęła z bólu, pobudziło to wszystkich do szalonego śmiechu. Kto tylko chciał, pastwił się nad Uliną.

Chudziewiczowa też raz za razem przechodziła przez kuchnię, chociaż nie było potrzeby, a ciągle wygłaszała różne dokuczliwe uwagi:

— Podłej kobiecie zawsze przyjdzie na zły koniec, żeby się schowała nawet za dziesięciu dziedziców, nie za jednego!

— Jak ma być dobrze w Siekaczowie, kiedy złodziejki i łajdaczki miru używają, a poczciwa, cnotliwa kobieta wypłakać się spokojnie nie może...

Nie mogła na żaden sposób wytrzymać w kuchni. Gdyby tu dłużej pozostawała, Bóg wie, do czegoby doszło — taka zawziętość rosła. Wybiegła w pole, szła miedzami, płakała nieustannie i od ocierania łez fartuch jej wyglądał jak szmata w praniu. Za polami ciągnął się bór siekaczowski, a za tym borem — bór drugi i trzeci.

W jakiś czaś Bryśka wyszła z kuchni i oglądała, co się stało z Uliną. Przyłożyła rękę do oczu, patrzyła pod zachodzące słońce — widziała, że znajdka idzie coraz dalej, dalej, a ciągle migał ten fartuch, którym biedaczka łzy swoje gorzkie ocierała. Zginęła, przepadła w borach.

Nikt do tego czasu nie wie, skąd się na świecie wzięła, nikt — gdzie się podziała.

Minęły lata i w Siekaczowie zapomniano o znajdce Ulinie. Tylko dziewczęta i stare baby, zbierające po lesie grzyby i jagody, opowiadają, że w boru słychać czasami płacz, lament, a niejednej też pokazała się jakaś dziewczyna, która mokrym od łez fartuchem oczy ocierała.

Ludzie umieją w rzeczywistości prześladować, a w legendzie piętnować prześladowanie...

GŁÓD I SUMIENIE.

NOWELLA.

Za święty Stanisław — odpust w Zębocinie. W piękny majowy dzień mnóstwo ludu ciągnęło na tę uroczystość. Niebo zdawało się roić od pieśni skowrończych, a ziemia uroczyście wyglądała w szatach wiosny, ta piękna ziemia proszowska, bogata w pszenicę, łąki i wierzby. Odświętnie strojne tłumy wieśniaków zaległy gościniec na całej rozciągłości od Stągniowic ku Proszowicom, poprzez Jakubowice, Zagrody. Przy takiej pogodzie pielgrzymkę odpustową głównie pieszo odbywano. Gromadki ludzi, które wychodziły z zapadłego wąwozu pod Jakubowicami, jedna po drugiej ciągle przystawały na górce pod krzyżem. Stąd ukazywano sobie palcami gaik olszynowy, jedyne miejsce zacienione na tem uroczem porzeczu Szreniawy, istnem morzu zieloności, połyskującem tu i owdzie złotem kaczyńców, albo ciemno-błękitną wstęgą rzeki.

«To Cicha Woda!» — powtarzali pątnicy, gdyż taką nazwę nosił gaik olszynowy od jeziora, które tam było — i wspominali, że nad Cichą Wodą w zimie popełniono głośne a tajemnicze morderstwo na Szymonie Gromnicy, bogatym gospodarzu z Jakubowic.

Ten chłop zamożny był nadzwyczajnie chciwy, kradł nocą snopy z pól dworskich, zabierał z łąki siano, ścinał w lasach drzewo — byle pomnażać nieustannie swój majątek. Właśnie raz nocą ściął był wielką olchę nad brzegami Cichej Wody i już ją sobie na wóz włożył, aby zawieźć do domu, kiedy z zasadzki ktoś do niego strzelił. Ugodzony w piersi kulą, widać żył jeszcze, i zabójca rozpłatał mu głowę tą samą siekierą, którą Gromnica przed chwilą zwalił olchę. Policya robiła bardzo energiczne poszukiwania, przeprowadzono ścisłe śledztwo, uwięziono nawet różnych poszlakowanych, jak Grzegorza Słomkę, zięcia nieboszczyka; ale zupełnie nic nie wykryto. Ludzie, jak zwykle bywa w takich razach, posądzali o morderstwo już tego, już owego; jednak rzeczywisty zabójca pozostawał w tajemnicy, którą mogłyby zdradzić chyba tylko drzewa i jezioro Cichej Wody.

Między wielu pobożnymi na odpust do Zębocina wybrał się także ów Grzegórz Słomka, zięć Gromnicy i spadkobierca majątku po zamordowanym, człowiek powszechnie kochany w Jakubowicach, jeden z tych, o których się mówi: «dobra dusza.» Szedł on samowtór z Maćkiem Podymą, biednym wyrobnikiem, chłopem mizernym, nikłym, wyglądającym jak «siedmioro nieszczęścia;» nigdy o nim nie mówiono: «człowiek, chłop,» tylko: «człowieczyna, chłopina.» «Gdyby takiego gęś nogą dobrze grzebnęła, już po Maćku—

czyste wióro.» A robotny był, obrotny! «Chyba jedne żyły mają w nim świarność i zdatność do roboty.»

Służył był w Kościelcu za gajowego, za łącznego w Zagrodach, w Cudzynowicach za fornala, a zawsze «coś takiego zmalował i zawsze się wydało.» Otwarcie mówiąc, Podyma miał smołę w ręku: «wziąć lubił, nie umiał schować.» Wprawdzie nigdy przenigdy nie odebrano od niego najmniejszej rzeczy skradzionej, ale oliwa zawsze na wierzch wyszła i Maćka uważano za złodzieja. Opowiadano w Jakubowicach, że ten chłopina na spowiedzi wielkanocnej wszystko do cna rzetelnie przed księdzem wyznawał. Cóż z tego, kiedy w chałupie u Podymy była piszcząca nędza i Maciek nigdy nie był w stanie wynagrodzić poszkodowanego właściciela. On ukradł, a dzieci zjadły to w chlebie — oj, te dzieci! Zepsuł sobie na nic opinię w świecie, miał jak najgorsze świadectwa służbowe i nareszcie nikt go nie chciał przyjąć do służby. Przerzucił się do miasta i w Działoszycach nosił żydom do domów wodę, a skończył służbę na tem, że ukradł beczkę, wiaderka i nosze. Dowiedział się potem na spowiedzi, jako nawet żydów okradać nie należy. Obarczony grzechami przeciw siódmemu przykazaniu i skruszony w duszy, wrócił do wsi rodzinnej, gdzie jako wyrobnik osiadł na komornem. Chadzał dzień w dzień na zarobek, a miał na kogo robić—dzieci, oj, te dzieci!... Końca, miary nie było chrzcinom

u Podymy: rok w rok — prorok; maleństwo sypało się jak mrowie, a każde przychodziło na świat z gotową gębusią i brzuszkiem. «Przez te raki, pędraki, człek cięgiem musi grzeszyć!» — Coś tuzin było żywych, połowa tego — zmarłych. «Trza obcym brać, żeby swoje wykarmić — psie mięso takie życie!» — Obfitość dziatwy ciążyła Maćkowi na sercu i czyniła go markotnym w trudnej walce obowiązków ojca z zadaniami człowieka-chrześcijanina. «Skąd chcesz, bierz, a żywić toto musisz, kiedy się na życie urodziło, a Pan Jezus zmarcia nie daje!» — Z natury mrukowaty, Podyma lubił jednak uskarżać się na swą niedolę i przy każdej danej sposobności biadał, utyskiwał bez końca. Widocznie skargi takie przynosiły mu jakąś ulgę, skoro w rozmowie nieustannie do nich powracał: może przez obowiązki ojca usiłował usprawiedliwić swoje postępki.

Idąc teraz właśnie na odpust, Maciek od razu wpadł na ulubiony przedmiot i w słowach zaprawionych goryczą użalał się na losy przed Słomką.

— Trafunkiem—mówił—wszystko na świecie idzie. Kiej się baba uda, ma człowiek z niej pomoc, wyrękę; druga nic, jeno zawadza, leży w chałupie, nie przymierzając jak barłóg... Ręka czasem aż świerzbi! Szczerze powiadam, obmierzło mi życie przy tej mojej Jewce... Zeszła się oto bieda z biedą i dopiero we dwie narobiły nędzy, a ty chłopie, nieboraku, dźwigaj!

— Ej, nie wygaduj darmośnie na babę! Z ciebie też przecie nie-cukier... Czego zaś jeszcze chcieć od kobiety? Dzieci przychowuje, chałupy pilnuje, koło gadziny chodzi.

— Jaka tam gadzina! Prosiątko, trzy kury... cała obrada... Krowa była, to poszła do ludzi... Mogę ja co utrzymać przy takiej psiarni? Dwoje, troje tego drobiazgu, niechby nareszcie czworo, pięcioro... dobrze! Ale ona, psia kość, naparta do dzieci; jak się zawzięła, to roczku jednego nie wytrzyma bez dziecka... Żywże toto, odziewaj! Jezusiczek i tak jeszcze na mnie łaskaw, że niektóre do swej chwały pozabierał.

— Maciek, co z ciebie za katolik? Człowieku, jak możesz wyklinać i od psiarni przezywać rodzone dzieci, w kościele chrzczone?... Słuchaj-no, ty ciężko grzeszysz!

— Juści grzeszę, wiem... Niech-ta! Grzeszyłem już ciężej, to i lżej mogę — odrzekł Podyma z westchnieniem i w milczeniu szedł dalej, zapatrzony w ziemię.

Wyszli z wąwozu, stanęli pod krzyżem, ubranym w dzwoneczki i w różne narzędzia męki Zbawiciela. Przed tygodniem właśnie Słomka swoim kosztem kazał tę figurę odnowić, odmalować i u dołu nazwisko swoje białemi literami napisać. Obaj obnażyli teraz głowy, przeżegnali się znakiem krzyża świętego. Wzruszane przez wietrzyk dzwonki wydawały w górze dźwięk, przypominający jęki, które zdawały się dolatywać tutaj

skądś od łąk, od Cichej Wody. Z czapką w ręce, z otwartemi usty, stał Podyma u stóp krzyża, wsłuchany w dźwięki owe. Nagle spojrzał w kierunku Cichej Wody, a oczy jego i rysy twarzy wyrażały jakiś przestrach. Spostrzegł to Słomka, machinalnie popchnął na przód towarzysza i rzekł głosem, wyrażającym niepokój:

— Dalej-że! Mamy setny kawał drogi.

Podyma, pchnięty, ruszył z miejsca i szybko potoczył się na przód, jakby mu pilno było uciec z pod krzyża. Skwapliwie biegł za nim, dysząc, towarzysz, a kiedy się już zrównali, Słomka przemówił pierwszy:

— I czego zaś tak gonisz? Niema strachu, żeby się spóźnić na sumę.

— Gonię, bo muszę, bo mię pędzi... Na skraj świata uciekłbym... ooo, źle!

— Przestań-że choć raz stękać! Jeśli ci o tę krowę chodzi, moja w tem głowa, żeby krowa była... Ma się wiedzieć, przy takiej kupie dzieci gwałtem potrzebny garnuszek mleka. Krowa będzie...

— Krowa krową, a dla grzesznego sumienia spowiedź pilniejsza.

— Spowiedź? Spowiedź? — pytał Słomka, któremu się twarz jakoś dziwnie przedłużyła, a usta skrzywiły, jak gdyby mu kto pieprzu posypał na język.

Wnet jednakże odzyskał równowagę umysłu i rzekł do Maćka tonem wyrzutu:

— Widzisz, sponiewierałeś po próżnu własną kobietę, dzieci i teraz cię korci sumienie. Inni też mają żony i dzieci, a nie przeklinają. Czy to ma być koniecznie wina twojej Jewki, że wam się dziecka tak sypią?...

— Może moja? — odwarknął pośpiesznie Maciek. — Inni się żenią, to prawda, jeno im dzieci w miarę przychodzą. Ty podług swojej zamożystości mógłbyś przecie być daleko dzietniejszy ode mnie, a masz jedną jedyną dziecinę...

— Głupia baba obstoi za kilkoro dzieci, a może nawet z taką większy kłopot, niż z dziećmi... Żebyś ty wiedział, co za chęci tej mojej Hance przychodzą do głowy! — mówił Słomka, usiłując przekonać Podymę, że na świecie nikomu nie jest zbyt dobrze. — Herbaty, kawy z cukrem jej się zachciewa, jak drugiej szlachciance...

— Bo wie, że cię stać na to! Mojaby mię niczem nie wzruszyła.

— Uparła się któregoś dnia i musiałem do miasta jechać, żeby jej sprowadzić cytrynę.

— A jabym swojej dał dziesięć cytryn, żeby choć o połowę mniej dzieci było! — odrzekł Maciek, w goryczy swej zadowolony przynajmniej o tyle, że zdołał wykazać Słomce brak zasady do utyskiwań na niedolę. — Hance mogłoby się zachcieć nawet wina... Masz się też na co żalić! Ja bo mam lekarstwo na babskie zachcenia: nie dać, i koniec! Umrzeć nie umrze z tego, a choćby i...

— Co ma umrzeć! Zakotłuje ci jacy łeb i człek łazi, jakby wypił szaleju albo matonogu... Kiedy mi baba pocznie nad głową skrzeczyć, mantyczyć, to się omal w ziemię nie zagrzebię.

— Broni ci kto zapowiedzieć jej: «stul gębę?» Chłop ma prawo.

— Ja jej słówko, ona mi dziesięć... A nie, to w kwiki i dopiero dziecko za nią, aż człowieka dyabli biorą.

Maciek, wciągnięty w tę rozmowę, zapalał się coraz bardziej i dowodził, że on jeden na świecie jest najnieszczęśliwszym człowiekiem.

— Tobie — mówił z naciskiem — tylko ptasiego mleka brakuje w bycie takim... Psia kość, słyszane rzeczy, żeby się komu dwa razy bliźnięta urodziły? Na mnie padło!...

Słomka widocznie pragnął utrzymywać Maćka w jednym nastroju duchowym, nie popuszczał raz obranego wątku rozmowy i zostawiał towarzyszowi szerokie pole do biadań na dolegliwości życia, do wylewów goryczy. Podymę ogromnie korciło, jak może ktośbądź przyrównywać nawet swoje małe strapienia do jego wielkiej nędzy. Miał niewzruszone przekonanie, że on jeden na świecie posiada przywilej nieszczęścia, był z tego — rzec można — dumny i oburzał się, kiedy Słomka uszczuplał rozmiary jego niedoli, zestawiając z nią swoje marne kłopoty.

— Bliźnięta, nie bliźnięta, zawdyć to dzieci, błogosławieństwo boskie—prawił Grzegórz tonem kaznodziei.

— Albo i kara boska! — żachnął się niecierpliwie Maciek. — Na głód się zanosi, kiej urodzaj na dzieci, a ojciec pamiętliwy o swój drobiazg musi potem grzeszyć... kraść, albo i gorzej... Praca nie starczy!

Spostrzegł Grzegórz, że Maciek usposabia się melancholicznie, zaczyna uczuwać zgryzotę sumienia, i natychmiast zmienił ton głosu, a także przedmiot rozmowy: od dzieci przerzucił się nagle do żony.

— Twoja Jewka — mówił dobrodusznie, po przyjacielsku — babina domowita; ooo, moja... to ziółko! Nic, jeno taniec psia noga ma w głowie! Żeby jej na grzebieniu zagrać, zarazik poskoczy jak fruczka! W domu taka nie usiedzi, tyla nasłuchuje, czy gdzie niema jakiej kapeli, i już...

— Gładka na gębie, śmieszka, przylepka czysta, to co dziwnego, że lubi fertać się, kręcić? Moja ledwie nogi za sobą powłóczy, i choćby jej tam nie wiem jak zagrali, nie drgnie niezdara... Trza należycie dać w kark, żeby się na nogi zerwała; a przecie babsko... nie przymierzając obora.

— Budowna baba, patrzy na okrutną gospodynię!

— Napróbowałem się dosyć tych smaków, w gardle mi stoją... Dryblaśna, a wałkoń ostatni,

darmozjad! Żaden kij nie da rady, kiedy o robotę idzie.

— Pewnikiem zmogła ją ta dzietliwość. Juści takie małe wyssały kobietę lepiej, niżeli pijawki.

— Ją wyssały? — zapytał popędliwie Maciek. przystając na drodze, i spojrzał tak zjadliwem okiem na towarzysza, że go zmieszał. — Mnie wyssało to psiarstwo!

Z temi słowy ruszył na przód i wyobrażał sobie, że go dzieci opadły i ssą na wszystkie strony. Był zły, sapał.

Słomka uważał sobie teraz za obowiązek przerwać milczenie i rzekł:

— Dla siebie samego masz babę... źle ci? Oj, stękałbyś dopiero, gdyby ci ją parobcy wytrząsali po weselach, albo i gorzej!

Mówiąc to, Grzegórz westchnął.

— Eee, gadanie! Oczu w głowie nie miałby taki, coby sobie Jewkę upodobał. Drapaka stara, a swoją drogą dzieci jak przybywa, tak przybywa... Wolałbym już nawet, żeby jej się gzić zachciało!

— Bo to prawda! Pewnikiem przesadziłbyś przez kij babę, jakby na ten przykład sama szła w oczy takiemu pisarzowi od wójta.

— Kij człowieka może popędzić, ale nie zlepszy. Mam na sobie najlepsze doświadczenie, ile że nieboszczyk mój pan ojciec dzień w dzień mi skórę suszył... i cóż wykołatał? Był nicpoń, został nicpoń... Jedna spowiedź może człowieka

poprawić... rozumiesz? Spowiedź szczera, taka, żeby wyznać wszyściutko, o czem Bóg wie, a ludzie nie wiedzą... Spowiedź święta tylko czyści człowieka z grzechów śmiertelnych... wiedz o tem!

— Skoro Pan Bóg zna twoje grzechy, to ludziom co do tego? Zbawienia dusznego nie dadzą ci ludzie, a mogą dokuczyć, narobić srogiej cierpoty...

— Niech dokuczą! Wiadomo, że za grzechy pokuta być musi.

Przez chwilę, idąc obok siebie, obaj zachowywali milczenie. Naraz Maciek przystanął, szarpnął Słomkę za połę sukmany i powiada:

— Ja wiem, dlaczego ty idziesz ze mną dziś na odpust! Boisz się, żebym nie odbył spowiedzi... Od kilku dni jak cień mię pilnujesz, a nie wiesz, że im częściej cię widzę, tem większą czuję potrzebę spowiedzi. Słuchaj, Grzesiu, wyspowiadajmy się razem obaj przy świętym Stanisławie! Pono spowiedź w dniu takim może zmyć grzechy za lat pięćdziesiąt... że to niby święty męczennik...

Podyma przemawiał teraz głosem uroczystym, wzruszonym, a przy ostatnich słowach zdjął czapkę i oczy wzniósł w niebo.

Słomka zzieleniał prawie, wytrzeszczył oczy i mruknął pod nosem:

— Nie mam się z czego spowiadać! Żyję jak Bóg przykazał.

— O uczynki chodzi, nie o życie.

— Przeciem nikogo nie zabił, nie okradł, nie podpalił.

— A i tak dusza twoja może być grzeszna na równi z moją.

— Ho, ho! — zawołał Słomka, urażony niejako z powodu porównania.

— Pan Bóg, myślisz, zważa na to, żeś jest starszym w bractwie i ławnikiem w gminie? Choćbyś został sołtysem, wójtem, też ci nie pomoże...

— Dyabli wiedzą, czego się ty mnie czepiasz!

— Wiesz ty akuratnie, bratku! Deptasz mi oto po piętach, bo skóra drży na tobie, a nie tyle się boisz Boga, ile ludzkiej sprawiedliwości... kajdanków, ooo!

Słomka straszliwie łypnął białkami oczu na towarzysza i rzekł cierpko, z przymuszonym uśmiechem:

— Drwię sobie z tego, kiej mi tacy jak ty wygrażają.

— Nie wygrażam, tyla przypominam, żeś się do grzechu też poczuwać winien. Tyś mię przecie skusił... zapomniałeś?

— Możem i odrobinę kusił; ale mogłeś się nie dać skusić! Musu nie było.

— Uważam sobie to dobrze, wiem, że mój grzech jest większy... Rękę swoją własną przyłożyłem... Oj, bodajbym obu rąk nie miał! Bodajby mię matka na świat nie wydała! Bodajby

się była ziemia pode mną zapadła tamtej nocy! Bodajby ciebie siarczyste pioruny spaliły, zanim się wziąłeś wodzić mię na pokuszenie!... Ty zbóju, ty psubracie, ty, ty, ty, ty!...

Zaciął się Podyma, twarz mu drgała, oczy świeciły się straszliwie, a obie pięści zacisnął i zgrzytnął zębami. Grzegórz z przerażeniem spoglądał na tego małego, sczerniałego, obdartego, wynędzniałego chłopinę, który zdawał się podskakiwać po drodze. Teraz milczenie trwało czas dłuższy. Maciek uspokoił się tymczasem i, jak gdyby żałował swego wybuchu, westchnął kilka razy, a nareszcie przemówił:

— Oj, żeby nie ta bieda, nie byłoby i grzechów na świecie!

— Stało się i już nie odstanie! — rzekł Słomka głosem cichym, a przytem obejrzał się naokoło.

Znowu milczeli, wchodząc pod górę.

— Bóg jeden wie, za coś mię sklął, sponiewierał — powiedział Grzegórz.

— Kiej w człowieku żałość wzbierze, musi to z siebie jakbądź wylać...

— I na drugiego, co nic nie krzyw, wyzwierzyć swoją markotność.

— Ty mię nie przekonasz, żeś nie krzyw; tyla chcesz, żebym ja sam tę krew wziął na siebie... Nie mogę. Jak Boga przy skonaniu łaknę, nie mogę! — mówił Podyma głosem błagalnym, tak, jakby płacz w gardle mowę mu tamował.

— Przecie sam jeden poszedłeś tam w olszynki, do Cichej Wody; ja się nie ruszyłem z chałupy... A któż mierzył? kto wystrzelił? Kto potem?...

— Jakbym był nie miał strzelby — przerwał pośpiesznie Maciek, — nie strzelałbym! Tyś mi z Kielc przywiózł tę strzelbę i proch i kulki...

— Wziąłeś za strzał dwadzieścia pięć rubli!— powiedział Słomka z naciskiem. — Mnie przez głowę nawet nie przeszło namawiać cię, żebyś potem starego siekierą dobił...

— Ciiicho! — syknął Podyma, skurczył się, przygarbił jakoś, szedł zgnębiony.

Upokorzonego towarzysza Słomka chciał teraz pocieszyć; położył mu poufale dłoń na ramieniu i rzekł tonem przyjacielskim:

— O tę tam krowę bądź spokojny! Dopóki będę żył, nie pozwolę, abyś głód marł z babą i drobiazgiem... Poznasz, żem przyjaciel nie od parady.

— Krowa dla dziecek... krowa! — poszepnął Maciek, jak przez sen, i w milczeniu puścił wodze myślom.

Wydawało mu się, że siedzi w swojej chałupie na ławie, a dzieci go opadły, ssą, niby pijawki. Ni stąd ni zowąd na środku izby staje krowa z grubym łbem, pełnemi wymiony, z cicha porykuje, bez mała prosi, żeby ją wydoić. «Bydlę poczciwości.» Jewka co tchu siada na małym stołeczku, doi Smolichę i ciepłe jeszcze mleko wy-

lewa na miskę, a wszystek drobiazg opuszcza ojca, rzuca się do mleka. «Pary jedne, jak toto ćwiczy!» Krowa ciągle stoi na środku izby, ogonem miele, oblizuje się językiem, porykuje i ciągle ma pełne wymiona.

Maciek uśmiechnął się do tego ponętnego obrazu, czuł wyraźnie, że go dzieci ssać przestały, i od niechcenia szepnął:

— Juści człowiekowi z krową zawdy lżej!

Odetchnął, jak gdyby mu wielki kamień spadł z piersi, i w dalszym ciągu zachwycał się dziećmi, które pochłaniały mleko. Cieszyło go to, że trójlatek Franek, ulubieniec jego, prześciga łyżką resztę rodzeństwa. «Marcha jeden, do wszystkiego ma zdatność!»

Wtem od Zębocina huknęły dzwony, wzywające wiernych na sumę. W czystem powietrzu pogodnego dnia majowego te dźwięki zdawały się jęczeć takt w takt z myślami Podymy, który wyraźnie słyszał w uszach teraz już odgłos chlipania mleka przez dzieci, już bicie dzwonów kościelnych. Chlipanie dzieci starszych brzmiało grubiej — «chlup, chlup,» a odpowiadały mu dźwięki dzwonów wielkich — «buum, buum.» Młodsze dzieci wydawały odgłos — «chlip, chlip,» a wtórowały im dzwony mniejsze — «bim, bim.»

— Byłoby wcale dobrze, żeby tak człowiek nie miał jeszcze grzechów i zgryzoty sumienia! — pomyślał Maciek i z pogodniejszym już wyrazem twarzy zwrócił się do towarzysza, mówiąc: —

Grzesiu, okrutną chęć mam wyspowiadać się dzisiaj, zostawić w Zębocinie swoje grzechy!

— Co cię zaś tak do spowiedzi pili? Przecie niedawniusieńko odbyłeś spowiedź wielkanocną... Do czego podobne naprzykrzać się razwraz Panu Bogu! Toć nawet w przykazaniach stoi «około wielkanocy» i koniec.

— Przed swoim własnym jegomością nijako wyznawać grzech niektóry...

— No, to poczekaj do odpustu w Kościelcu, albo w Brzesku. Odbędziesz sobie spowiedź za dalszą granicą, a tymczasem się utrze trochę, ludzie zapomną... Pilności żadnej niema.

— W nocy oka zmrużyć nie mogę, grzechy mi przeszkadzają w spaniu...

— Bieda przeszkadza, ja ci powiadam! Wytchniesz, kiej raz krowa stanie w chałupie, zapomożesz się cokolwiek.

— Musi wytchnę...

Tegoroczny odpust w Zębocinie udał się przewybornie: tłok pątników całą wieś zaległ. Naokoło karczmy, przed rozpoczęciem nabożeństwa — taka ciżba ludu, jak gdyby powracano z najlepszego jarmarku po żniwach. Od Igołomii, od Barana, od Słomnik, Skalbmierza, napływali ludzie. Wnętrze gospody aż wrzało, a gorzałka miała doskonały odbyt. Bicie dzwonów, wzywające wiernych na sumę, opróżniło cokolwiek szynkownię; ale i tak pozostało tu dosyć gości, z których jedni użyli już nabożeństwa na mszy porannej,

a inni postanowili doczekać się nieszporów, ponieważ o przedostaniu się do kościoła teraz mowy nie było.

Mieszczki z Proszowic, Brzeska, Koszyc, Skalbmierza, bardzo dbają o swoje sztywne, wykrochmalone i należycie odprasowane spódnice; nie po to się one dziś wystroiły, aby z ciżby «chamów, bydła chłopskiego» — jak mówiły — miały wyjść brudne i zmiętoszone. Pozasiadały przeto na ławach matki, żony, córki mieszczaństwa okolicznego i, wykrygowane, pozorowały w rozmowie, jak mogły, swą nieobecność na sumie odpustowej. «W takim tłoku różnej hołoty więcej obrazy boskiej niż nabożeństwa» — mówiła jedna za drugą, choć w samej rzeczy chodziło tylko o spódnice. Przytem panie owe pozwalały sobie szydzić, żartować z przesuwających się po izbie karczemnej bab i chłopów.

Nasi dwaj pątnicy z Jakubowic przy biciu dzwonów weszli do Zębocina, a Podymę kołysały w dodatku jeszcze miłe nadzieje polepszenia doli z chwilą, kiedy mleczna Smolicha zawita w progi jego chałupy. Umysłowi Maćka jak raz przed karczmą nastręczyła się filozoficzna uwaga: «Pan Jezus okrutnie mądrze ten świat urządził... Jedno bydlę może człowiekowi dać szczęście.» Zupełnie pogrążony w zamyśleniu, nie uważał jakoś, że Słomka wprowadził go do karczmy i od razu zawiódł prosto przed szynkwas. Wypili z miejsca po blaszance i dopiero się ocknął

Podyma, splunął ze wstrętem przed siebie, wołając:

— Potrzeba mi też to było! Na czczo wyszedłem z domu, żeby iść do spowiedzi, i spaskudziłem se gębę...

Miał tak pocieszną minę, że siedzące za stołem mieszczki wybuchnęły głośnym śmiechem: «cha, cha, cha!»

Podyma odwrócił głowę, ażeby spojrzeć na śmieszki, a widząc, że te paradnie wystrojone mieszczanki najwyraźniej z niego szydzą, zmieszał się, zawstydził z razu. Niebawem jednak minęło chwilowe pomieszanie i serce Maćka zapłonęło gniewem. Odskoczył w dwóch susach od szynkwasu, wytrzeszczył swoje krecie oczka, stanął rozżarty naprzeciw kobiet i głosem skrzeczącym zawołał:

— Widzicie, jakie mi kokochy, kokokoko!...

W ogromnej złości nie mógł wyrazu dokończyć, zakrztusił się nad tem «kokoko!»

Jeszcze większy śmiech powstał, gdyż nikły, zbiedzony chłopina wyglądał bardzo pocieszne w swem oburzeniu. Zaperzony taki, poruszał wargami, językiem, i pewnie byłby zamaszyście plunął między rozchichotane baby; ale miał jakąś oschłość w ustach, brakowało mu śliny. I dobrze się stało, gdyż właśnie powstał z ławy rzeźnik proszowski, ogromny chłopisko z krwawemi oczyma — smok, nie człowiek. Ten wyciągał już do Maćka ol-

brzymią łapę, kiedy jak raz Słomka stanął w środku i jął przemawiać do rozsądku stron obu:

— Panie obywatelu — mówił grzecznie a cichutko do rzeźnika, — przecież ten zdechlaczek, chrabąszcz mizerny, jest niespełna rozumu! Jak mi Bóg miły, grzech byłby kłaść nań rękę taką... Biedne toto, słabiutkie, niedojadek i od małości brakuje mu piątej klepki w głowie, zajączki takie ma... ooo!

Z temi słowy Grzegórz wskazywał palcem na swoje czoło, dając do zrozumienia, że jego towarzysz cierpi jakoby na obłęd umysłowy.

— No, a przytem czy to pięknie, żeby człowiek taki stateczny, jak pan obywatel, wdawał się w bijatykę z prostym chłopem na odpuście i podczas sumy w kościele?

Mieszczki słyszały mądrą mowę człowieka i zaczęły także uspokajać rzeźnika, zażegnywać awanturę:

— Dać spokój, panie Sampiński, siadać! Akurat teraz procesya i monstrancyę ksiądz obnosi naokoło kościoła.

Tak mówiła najgładsza z owych mieszczanek, pociągając rzeźnika za rękaw kapoty.

Obywatel ustąpił, siadł na ławie, odchrząknął z takim hałasem, jak gdyby kto z całej siły drzwi zatrzasnął, i rzecze basem:

— Zmiażdżyłbym na serdelek, albobym z niego zrobił hycla i psom rzucił!

Słomka zaś bierze znowu Podymę za rękę, odwraca go co tchu, a w ucho mu kładzie nauki:

— Oj, ty gamajdo, tego nie baczysz sobie, że tagi dragon konia zgniótłby w garści! Mnie podziękuj, że ci jeno ociupinę bobu napędził... A miało ci też o co chodzić? Wielkie rzeczy... niech się głupice wyśmieją! Kulfon, wydrwigrosz, chłopu nie spardonuje... wiadome rzeczy.

Żachał się nibyto Maciek; ale przecież doskonale rozumiał, że aniby «zipnął» w ręku Sampińskiego, i pozwolił się teraz, jak jagnię, zawieść prosto do szynkwasu. Mogły się tam mieszczki jeszcze wyśmiewać, naigrawać; on nic — jakby nie słyszał.

— Proszę tej z kroplami, co to na bolenie!— rzekł do szynkarza Grzegórz, mocno wzruszony tem całem zajściem.

Podyma czuł w sobie potrzebę gorzałki i bez wahania raźno łyknął drugą blaszankę.

— Niechże-ta, niechże-ta! — mówił, spluwając. — Kiej mi spowiedź święta przepadła, to się aby napiję...

Głodnego chłopa w lot gorzałka rozebrała; naprzód zaczął podrygać, przytupywać, pośpiewywać:

— Teraz mi jegomość powiédz,
Czy nie jesteś z Jakubowic?...

Potem przycupnął w kącie szynkowni i kipiał, ale od czasu do czasu przerywał drzemkę i chrapliwym głosem śpiewał znowu:

— Wyleciała dusza z ciała...
Nie wiedziała, kaj paść miała;
Na łączce se zapłakała...

Oparł nareszcie głowę o ścianę i chrapnął, a teraz miał już tyle śliny w ustach, że mu ciekła. Grzegórz tymczasem chodził po karczmie, wdawał się w rozmowę i coraz to dał komuś do poznania, że jest opiekunem, dobrodziejem śpiącego Maćka Podymy.

— Nie wymawiając, pcha się w chudziaka, jak w dziurawy worek, grosz gotowy, a teraz właśnie oto i krowę, żeby mu dziecka nie pomarły z głodu...

— Krowę mu daliście? — spytał Kuba Rzepik, biedny wyrobnik z Zagród, któremu się aż oczy zaświeciły na myśl, że można w podarunku dostać krowę.— Toście rzetelny dobrodziej! Jabym nogi mył, ręce całował.

Słomka machnął ręką, co miało znaczyć: «Robię dobrze i nie dbam o wdzięczność.»

Mieszczki z podziwem spoglądały na hojnego chłopa, który biednym krowy rozdaje, a Rzepik mu się przymilał.

Nadchodzili do szynkowni i znajomi Grzegorza, basowali bogaczowi, a na boku opowiadali półgłosem:

— Dwie chorągwie sprawił do kościoła, mękę Pańską postawił przy gościńcu!... Musi grzechy teścia, nieboszczyka Gromnicy... Panie, świeć jego duszy... chce okupić. Ho, ho! takiemu dobrze!

Nawet hardy rzeźnik rzucił teraz Słomce kilka pytań. Kto się umie przed ludźmi postawić, łatwo zyska sławę.

Podchmielony Maciek w najlepsze przesypiał sumę. Skończyło się nabożeństwo główne, ludzie poczęli zapychać gospodę, robić tu bez mała taki sam ścisk, jaki był przed chwilą w świątyni. Dopieroż poszły żywe rozmowy o tem i owem. Obok śpiącego Podymy zebrała się spora gromadka ludzi, a między nimi rej wodził Walek Kulas z Łaganowa, stary żołnierz, który połowę życia na różnych wojnach strawił. Szło o treść dzisiejszego kazania. Kaznodzieja, proboszcz z Pałecznicy, wymownie przedstawił żywot świętego Stanisława, a jak się zdaje, słuchaczów najgłówniej uderzyły: cud wskrzeszenia Piotrowina i śmierć świątobliwego biskupa. Otóż Kulas wyrwał się ze zdaniem, że w czasach dzisiejszych nikt już świętym nie może zostać i niema cudów wskrzeszania zmarłych, a dzieją się tylko same zabójstwa. W umyśle wojaka tkwiły zapewne obrazy licznych bitew i tysięcy ludzi, którzy zginęli od kuli, miecza, a nikt nie zmartwychwstał. Inny chłop, Mateusz Sadło, gospodarz z Zagród i rodzony brat ojca Wiktora, Bernardyna z Pińczowa, dowodził, że dzisiejsi ludzie są istotnie gorsi od dawniejszych i niegodni oglądania cudów; ale cuda się dzieją, chociaż ich ludzie nie widzą.

— Weźmy na przykład takiego nicponia — mówił Sadło z oburzeniem, wskazując palcem

Maćka, który się już przebudzał i jedno oko otwarł: — przyszedł nibyto na odpust, a urżnął się i w karczmie, widzę, przespał sumę!

Mówiąc to, grzmotnął pięścią w dno beczki, stojącej pod ścianą.

Huk taki i słowa gromkie Mateusza do reszty rozbudziły Podymę. Przetarł oczy; słyszał, że ludzie mówią o kazaniu, i rzekł, jak gdyby sam do siebie:

— Rany boskie! przyszedłem na odpust, a ugrzęzłem w karczmie!... Wszystkiemu temu Grześ winien...

— Eeee, bratku, lucyper ciebie strzeże, nie żaden Grześ! — zawołał Sadło. — Boże słowo nie w smak idzie, jeno gorzała...

— Oj, rzetelna prawda, że ten Grześ czysty lucyper-kusiciel! — rzekł Maciek, ziewnął i powstał na nogi.

— A ty, parszywcze zatracony! — krzyknął zapalczywie Rzępik, który się tu przed chwilą zbliżył. — Słyszycie wy ludzie! ten pokraka dobrodzieja swego do lucypera przyrównywa?... Pieniądze od niego brał, krowę dostał i za to wszystko powiada: «Grześ czysty lucyper-kusiciel!...» Rób-że tu ludziom dobrze! Tfu!...

Wszyscy obecni z pogardą spoglądali teraz na Podymę; a on sam oniemiał, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem chłop z Zagród, nieswojak, dowiedział się o jego tajemniczym stosunku ze Słomką, o czem nawet w Jakubowicach

nikt nie wiedział. Zakorciło go to ogromnie, że mu wyrzucają dobrodziejstwa Słomki, nie mógł wytrzymać i, choć zgnębiony, odbąknął głosem niepewnym:

— Ludzie mi nigdy jeszcze nic nie dali!

— Sam sobie wziąłeś!... Znamy cię, ptaszku! Podyma od tego się nazywa, że wszystko podejmie, co mu pod rękę popadnie — powiedział karbowy z Jakubowic, który właśnie co tylko wszedł do karczmy.

— Aaa, to on Podyma?... Rychtyk, Podyma, ten sam, służył w naszym dworze za gajowego! — zawołał chłop z Kościelca. — Nabroił skurczypała i wygnali go na cztery wiatry...

Dopieroż Rzępik przypomniał sobie, że Podyma służył w Zagrodach za łącznego i tu zyskał sławę «złodzieja koronnego.» Grad słów obelżywych sypał się zewsząd na Maćka, a Sadło zrobił mądrą uwagę, że na odpusty przychodzą tacy ludzie po to tylko, aby skorzystać z tłoku, z pobożności ludzkiej i zajrzeć do cudzej kieszeni.

Rzucony na pastwę mściwości społecznej, uczuł Podyma marność swoją, zmalał we własnem przekonaniu, zgłupiał jakoś i — taki sponiewierany — usiadł na samym brzeżku ławy: chciał się skryć przed gromadą stojących i chodzących prześladowców. Spuścił głowę, spoglądał w ziemię i zdawało mu się, że jest podobny do brudnej, zaplutej podłogi szynkowni. Widział buty chłopskie, wysmarowane słoniną, obległe pyłem, i myślał:

«O mój Jezusiczku! ja, robak marny, jestem przy tych ludziach gorzej niż przydeptana podeszwa u buta!» — Tak sobie myśli, a tu słyszy, że Kulas i Sadło powrócili w dalszym ciągu do rozpraw o kazaniu odpustowem. «Mój Boże, przespałem sumę całuską, niechże choć aby dowiem się teraz od tych pobożnych ludzi, o czem było kazanie!... Pewnikiem o pijakach, albo złodziejach...» I chcąc wynagrodzić swoją nieobecność na sumie, uważnie nastawił uszy do słuchania na to, co właśnie mówił Sadło:

— Kiej Panu Bogu trza, zawdy może umarłego wskrzesić i wskrzesi! Piotrowin przez to zmartwychwstał, jako chodziło o sprawiedliwego świadka przed sądem... A któż wam powiedział, że skoro Pan Bóg znowu zapotrzebuje wyświetlić choćby na przykład takie zabójstwo, jak owo nad Cichą Wodą, to i dziś nie powoła świadka z tamtego świata?

— Może powołać, może! — przytakiwali różni chłopi.

Podyma drgnął, zaroił się niespokojnie na ławie, jak gdyby go kto szydłem kolnął. Słomka zaś w drugim końcu szynku zagadał się z ludźmi, na śmierć zapomniał o swoim towarzyszu i nic a nic nie wiedział o jego przygodach. Wtem otwarły się szeroko drzwi gospody i ujrzano na progu tłum dziadów, którzy, nie poprzestając na jałmużnie, zebranej w czasie nabożeństwa pod kościołem, nawiedzili teraz karczmę. Ślepi, kulawi,

garbaci, dziwnie połamani żebracy ustawili się rzędem popod ścianą i tu z odkrytemi głowami, oparci na kijach, inni na klęczkach, poczęli nawpół głośno odszeptywać pacierze. Wnet wystąpił do nich Grzegórz, obchodził ich kolejno, a każdemu wcisnął w rękę trojaka. — «Niechże ci, gospodarzu, Bóg Najwyższy stokrotnie odpłaci, wynagrodzi błogosławieństwem w tem i przyszłem życiu!» — jęczącym głosem wołali żebracy, a przytem wywracali oczy, wznosili do góry ręce. Tu dziady zanoszą do nieba modły za Słomkę, a tam znowu inni wysławiają go, wynoszą:

— Człowiek bogaty — mówią, — ale umie użyć pieniądza na chwałę bożą i zarabiać sobie na zbawienie duszne!

Kto tam w karczmie nie znał jeszcze Grzegorza, dowiedział się już teraz, jakim on jest człowiekiem. Szczególnie też Rzępik nadskakiwał, basował Słomce.

— Gospodarzu — powiada, — ten gałgan Podyma nie godzien waszych dobrodziejstw! Zamiast wdzięczności jakiej, on was tu publicznie oszczekiwał, nazywał lucyperem-kusicielem i dopiero ja mu łeb setnie zmyłem...

— Ej, ktoby zaś zważał na to, co Podyma wygaduje! — odrzekł stropiony nieco Słomka. — Takiemu trza niejedno wybaczyć, jako wiadomo, że on cierpi coś takiego w głowie.

Rozmawiali tak, przechodząc tuż koło Maćka, który słyszał ich słowa; był zły na Grzegorza za

jego nadętość i miał ogromną chęć zerwać się teraz z ławy, krzyknąć na całe gardło:

— Psie mięso, obłudniku, udawaczu! Będziesz ty ludziom mydlił oczy?... Widzicie go! waryata ze mnie chce zrobić!... Judasz!

Ale miał ludzi przeciw sobie: rzuciliby się nań niezawodnie i tym razem sponiewierali jeszcze srożej. «Niegłupim zadzierać!» Spokojny, zgoryczony Maciek siedział przeto, patrzał, słuchał, co się w karczmie dzieje, a markotności dodawało mu i to, że był bardzo głodny.

Właśnie jeden z dziadów, kaleka, powłóczący za sobą nogi, przywiązane od kolan do dwóch desek, jak do sanek, wysunął się ku środkowi szynkowni i na cały głos odmawiał pacierze za duszę nieboszczyka Szymona Gromnicy. Podyma aż zzieleniał i błędnemi oczyma to tu, to tam strzelał. Naraz oczy jego spotkały się ze wzrokiem Grzegorza i przez jakąś chwilę jeden drugiemu przyglądał się uważnie. Słomka pierwszy ruszył, szybkim krokiem przystąpił do Maćka i powiada:

— To ty nie śpisz? Bodajże mię kaczki zadziobały! Na nic zapomniałem o tobie... Pójdźże, człowieku, trąć się ze mną, wypij!

— Co innego mam w głowie! — odparł Podyma gniewnie i wstrząsnął się cały, a łeb na dół spuścił.

— Czegóżeś znowu tak osowiał?

— Ja osowiałem, a tyś się rozwydrzył!

— Rusz się, głupi, wypij kieliszek, zaraz ożyjesz! — A na ucho mu szepnął: — Krowa twoja, jakem Grzegórz Słomka!

Maciek nic na to nie odpowiedział, gdyż mu w czczym żołądku tak głośno zakruczało, że nawet Grzegórz usłyszał i rzekł z uśmiechem:

— Ej, tybyś pewnie przetrącił kawałek kiełbasy... prawda?... Nie miał osowieć, kiej w brzuchu pustka!

— Od wczoraj o czczej gębie łażę, a na suchy chleb nie mam, nie dopiero na kiełbasę.

Mówiąc to, Podyma łyknął ślinkę, którą wywołało w ustach wspomnienie kiełbasy.

— Za moje pieniądze używaj, ileć się spodoba! Dla ciebie nie żałuję...

— Bogać one twoje! — mruknął Maciek, który w tej chwili staczał wewnętrzną walkę przekonań moralnych z głodem, a jego wyobrażenie kiełbasy miało taką siłę, że już z góry głodowi zapewniało tryumf.

Trzeba było widzieć Podymę z kiełbasą w jednej ręce, a kawałem chleba w drugiej! Chodził dokoła niego Rzępik, który także bardzo chętnie zjadłby był kawałek kiełbasy, i mówił sam do siebie:

— Ciekawe rzeczy, dlaczego Słomka, gospodarz taki, cacka się z tym Podymą? No, no, kiełbasę, wódkę mu funduje...

I tak obchodził Maćka naokoło, jak pies, mający chęć drugiemu psu wydrzeć kość, czy

ochłap jakiś. A Podyma, zaspokoiwszy już nieco głód, zaczął sobie przypominać swoje głodne dzieci i nareszcie niedojedzony kawałek kiełbasy ukradkiem wsunął w kieszeń dla Franka trójlatka. «Pożywi się cobądź chudzinka.» Stały mu teraz na myśli dzieci. «Co one tam w domu porabiają o tej porze?» Zamyślił się, stojąc przed szynkwasem. «Bartek, Kuba i Jantek pewnikiem polecieli do gaju albo na błonie za ptakami... Wisusy, jeno po drzewach łazić, odzienie drzeć na sobie! Nie mógłby jeden, drugi bestyjnik zarobić już co?... Albo ta Kunda?... Dziewa taka, osiemnaście lat, a już ją z trzeciej służby wypędzili. Za parobkami tylo przepada... Oj, bić, póki się nie wybije co dobrego!» — Pocieszyło go cokolwiek wspomnienie najmłodszych dzieci. »Siedzi toto przed chałupą, czy na drodze, gmera w śmieciach, w błocie... zwyczajnie małe, bawić się musi. Inny ojciec przynosi z odpustu gościniec dla takiego drobiazgu.» Spojrzał przed siebie, zobaczył na szynkwasie obwarzanek i w mgnieniu oka schował go do kieszeni. Odstąpił kilka kroków i pomyślał: «Ukradłem.» Cóż, kiedy nie miał najmniejszej chęci oddać. «W takiej karczmie jeden obwarzanek nic nie znaczy, a maleństwo będzie miało uciechę.»

Zabrzmiały dzwony kościelne, które tym razem wzywały na nieszpory. Ludzie wychodzili z karczmy i szli dokończyć po katolicku dnia odpustu. Deszczyk majowy pokropił był ziemię, wierzby zazieleniły się lepiej, woń wiosny tchnęła

w powietrzu, po sadach ptaki świegotały, chłopcy wiejscy przygrywali na piszczałkach.

— Trza się pomodlić! — powiedział Grzegórz do Maćka, który był jakiś nie lusy, wyrzekał, że go «coś w dołku spiera.»

— Jak nie ma spierać, kiej spałaszował będzie więcej łokcia kiełbasy, co tu pewnie ze trzy lata schła w karczmie! — odezwał się Rzępik. — Pies połamałby na tem zębce... Zwyczajnie, za cudze pieniądze żarł, aż mu się uszy trzęsły, a w zębach chrzęściło.

— Gadanie! Sucha kiełbasa nikomu nie szkodzi, na zdrowie idzie, jeno popić dobrze należy — powiedział karczmarz, stając w obronie kiełbasy.

W myśl tej uwagi Podyma wysączył szklaneczkę tak zwanej okowitki i doznał niejakiej ulgi, zwłaszcza, że karczmarz weń wmawiał:

— Zjeść suchej kiełbasy, a popić, lepiej uczyni, niż miska rosołu, czy żuru na mięsie.

— Juści prawda! — pomyślał sobie Maciek i razem ze Słomką opuścił progi karczmy, a miał szczerą chęć użyć na nabożeństwie.

Rzępik podążał za nimi, ciągle świecił bakę Grzegorzowi w nadziei, że może stąd wyciągnie jaką korzystkę. Takiemu, co nic nie ma, miło się choćby tylko potrzeć o mającego. Nagle, w połowie drogi między karczmą a kościołem, Podyma przystanął, chwycił się wpół oburącz i słabiuchnym głosem wystękał:

— Okruteczne bolenie mam w sobie... Jakby mię nożem krajał... Jezus, Marya, Józefie święty!... Ę, ę, ę!...

— W takiej kiełbasie Bóg wie co być mogło. Niektórzy powiadają, że po miastach nie z czystego mięsa to robią... Ponoś zdechłe koty, szczury pakują... Co takiemu rzeźnikowi wadzi? — mówił Rzępik z obojętnością, spoglądając na Maćka, zbladłego jak wapno.

— Przemóż się, westchnij szczerze do swego patrona! — rzekł Słomka, którego korciło to postawanie na drodze, gdzie sobie z nich podrwiwali przechodzący ludzie. Szedł na przykład taki Matus Sadło z różańcem i książką do nabożeństwa w ręku, przystanął, popatrzył i mówi:

— Jest sprawiedliwość boska na świecie! Ten grzesznik przepił i przespał w karczmie sumę.

— Rznie, rany boskie!... Ę, ę, ę! — uskarżał się Podyma, ale i tak ruszył dalej, gdyż ludzkie uwagi nie były mu też na rękę.

Byli już tylko o kilka kroków od kościoła, kiedy wlokący się noga za nogą Maciek stanął i strasznym głosem krzyknął:

— Gwałtu!... Ostatnia moja godzina!... Kara boska nade mną!...

Zbliżyła się jakaś baba, spojrzała na zemdlałego i zawołała:

— Ludzie, toć u tego człowieka dusza siedzi na ramieniu! Nieścież go kajbądź pod dach, a nie, to pod kościołem zamrze. I z temi słowy odeszła,

szepcąc: «Od nagłej, niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie!»

Nadeszła jeszcze inna, mówiła znowu:

— Ziemia już padła nań, sczerniał! Do chałupy go wnieście, zapalcie gromnicę, księdza mu sprowadźcie!

— Gromnicę!... Księdza!... Gromnicę! — wołał przerażony Podyma.

Rzępik i Słomka wzięli go pod pachy, z trudem przynieśli do kaczmy, w znak ułożyli na ziemi i radzą, co robić, a on powtarza:

— Gromnicę!... Księdza!... Gromnicę!

— Dać mu szklaneczkę tęgiej gorzałki z pieprzem, to wygryzie! — krzyknął Słomka, któremu coś nie w smak szło powtarzanie wyrazu «gromnica» i żądanie księdza.

— Kiedy go ksiądz na tamten świat wyprawi, to na pewno pójdzie, a od mojej pieprzówki zmarły ożyłby... czyściutki spirytus! — powiedział karczmarz, wlewając choremu gorzałkę w gardło.

— Ogień, nie wódka! — mruknął Podyma. — Wierci i ogromnie grzeje.

Bole uśmierzyły się nieco, ale po chwili znowu wróciły i Maciek sam teraz błagał o szklaneczkę takiej samej z pieprzem. Chociaż wkrótce potem wypił jeszcze trzecią, nic nie wygryzło, nie pomogło. Wił się w bólu, tarzał po ziemi i znowu błagalnym głosem prosił o gromnicę, o księdza. Usłużny Rzępik chciał już biedz na plebanię, kiedy go Słomka powstrzymał, mówiąc, że nie

przystoi sprowadzać księdza do szynku. Karczmarzowi też bardzo chodziło o to, ażeby mu bytność księdza nie wypędziła gości, którzy po nieszporach będą się chcieli rozweselić. Postanowiono więc przenieść chorego do stajni i sprowadzić mu tam Biedrońkę, lekarkę zębocińską, na okolicę znaną z zażegnywania chorób i biegłą w smarowaniu.

— Musimy ratować człowieka! — wyrzekł z zapałem karczmarz. — Ja chorego stąd nie wypuszczę. Nikt nie powie, żeby w Zębocinie u Parzchalskiego Witalisa gość jaki umarł.

— Choćby i umarł, cóż pan krzyw temu? — powiedział Słomka. — Kiej się zaś człek drugi chorobą ma przydługo męczyć, to lepiej, żeby mu Pan Jezus śmierć zesłał... Taki Podyma, niech poleży parę tygodni, a nędza ostatnia. Mój swojak przecie, źle mu nie życzę... Ludzie rozebraliby między siebie dziecka i koniec.

On tak mówił, a Maciek leżał na barłogu w karczemnej stajni; lekarka zaś wysmarowała go uczciwie i dawała mu popijać gorzałki z tłustem, przytem pocieszała, jak mogła:

— Do północka ozdrowiejecie, wesoło sobie przy gwiazdeczkach śmigniecie do Jakubowic. Takie bolenie w maju na zdrowie, nie na chorobę: krew się z różnego paskudztwa czyści przed latem równie u chłopa, jak u baby.

Latarka stłuczona wisiała w górze na słupie, krowy pomrukiwały, bijąc się ogonami po bokach,

a dziewka karczmarska je doiła. Światło groszowej łojówki padało na małą, bladą, pomiętą twarz chorego, który się niespokojnie przewracał w kupie barłogu, wyrzucał z siebie dziwne okrzyki, to znowu spoglądał przerażonemi oczyma. Bole go osłabiły, gorzałka rozmarzyła, upoiła, a zapewne i gorączka podniecała. Czasem usypiał, ale nie miał widać snu dobrego — zrywał się, majaczył. Dręczyła go jakaś natrętna mara i straszliwym głosem gardłowym wołał:

— Czego ty tu chcesz?... Do zięcia idź sobie! On przecie podmówił mię, skusił, żeby zagarnąć wszystko...

— Widzieliście go? — zapytywał Biedroński, szeroko otwierając oczy. — Ooo, teraz łazi między krowami! Matko Boska Częstochowska, ratuj! — I rękoma zakrywał sobie oczy.

A Biedrońka go uspokajała:

— Kogo ja miałam widzieć? Między krowami jest oto dziewka karczmarska, doi je teraz przed nocą i już... Po co sobie też jakieś takie rzeczy przybierać do głowy?...

Na wspomnienie krów zaczął inaczej znowu bajać:

— Jewka, niech cię Bóg broni doić tę Smolichę! Zakazuję ci dawać dzieciom mleko... Psia paro! widzisz przecie akuratnie, że to krew, nie mleko! Krew czerwona, mleko białe! Czy one szczenięta, żeby krew chlapały? Franek, raku jeden, nie chlap, bo cię przetrącę, na miazgę zbiję!

I z jakiemś osobliwem upodobaniem powtarzał kilka razy:

— Krew czerwona, mleko białe!

— Święci anieli pańscy! co wy, człowieku, wygadujecie? Włosy na głowie stają! — mówiła lekarka.

— Gromnica! oj, gromnica! — krzyknął Maciek tak przeraźliwie, że się krowy w stajni zaniepokoiły.

On sam odwrócił głowę i ukrył w słomie.

Baba wzięła go za rękę, upominała łagodnie:

— Wam zaś gromnica na co? Ho, ho! chciałabym mieć tyle tysięcy, ile wy lat pożyjecie jeszcze!... Ja, starucha taka, widzicie, a przecie się gromnicy nie dopraszam. Skończyć oto te fanaberye, wyspać się i potem marsz do chałupy!...

Niby się cokolwiek uspokoił; ale wnet przeszedł do wyrzekań na swoją biedę i począł kląć żonę, wymyślać jej tak, jak gdyby była przy nim obecna:

— Psia wiaro, tyś mi życie zmarnowała! Czy mi potrzeba tyle dzieci? Kraść na nie ciągle mam, czy zabijać?... Stara klapo, mam ja to z ciebie jaką wysługę, wyrękę?... Ty jedna, a ten Grześ drugi, zgubiliście mię na wieki...

Tak wyrzekał, przeklinał, nareszcie umilkł, zamrużył oczy, leżał spokojnie.

Naraz zgasła świeczka w latarni, zrobiło się ogromnie ciemno. Krowy pomrukiwały i przeżuwały siano — chrup, chrup. Biedrońkę strach

ogarnął, cichutko powstała z legła i po omacku wyszła, a drzwi za sobą założyła na kołek.. Pobiegła prosto do karczmy, gdzie coraz więcej ludu napływało i, choć okna stały otworem, parno było od ciżby.

Na deszcz się zanosiło w tę nockę majową. Błyskawica wężem przelatywała po niebie, głuchy grzmot huczał w oddaleniu, słowiki wyśpiewywały po sadach, a w karczmie pełno gwaru. Przyjezdni, żeby się przed deszczem nie puszczać w drogę, dobijali w szynku odpustu; miejscowi znowu przychodzili do karczmy pogwarzyć, popatrzeć na obcych, ile że i kieliszek przed snem nikomu nie wadzi — owszem, pomoże. Słomka już się był należycie podochocił; ludzie mu precz schlebiali, a on gorzałkę kwartami stawiał. Spluwali, ćmili fajki, a pili i o chorym Maćku jakoś zapomniano. Dopiero kiedy tutaj weszła Biedronka i coś kiepską minę miała, sypnęły się zewsząd pytania:

— No i cóż? Jakże tam z Podymą? Ozdrowiał, hę?...

Rada, że tyle ludzi zwraca na nią uwagę, zdumniała i powiada:

— Zdrów być musi, kiej jego choroba na mojej głowie! Toć przeszłego roku w owczarza z Posądzy dwa pioruny trzasły, a ja go swoją ręką wskrzęsnęłam.

— Widziałem go na bez tydzień! — zawołał jakiś chłop z Koniuszy.

— Gadajcież, co będzie z Maćkiem? — pyta Słomka, kładąc dłoń na ramieniu baby. — On przed chwilką patrzał na księżą obórkę...

— Może i patrzał, ale Biedrońka go z tego świata nie puści! Usnął oto, śpi na zdrowie... Tyla ja wam powiem, on i bez choroby cudak jakiś. Różności takie wygaduje... strasznie słuchać, aż człeka zdziera... o raju!...

Zmiarkowała sobie, że tu głównie Grzegórz Maćkiem się zajmuje, i wręcz go jęła gabać o zapłatę za pomoc lekarską:

— Nieboga starowinka, ja z tego jeno żyję, poczciwym ludziom w biedzie poraję... Drugi da i jeszcze poczęstuje. Święto, nie święto, zarabia się człowiek. Serce, widzicie, mam takie dobre, gotowam niedojeść, niedospać, jak wypadnie kogo ratować...

Wpadła w rozczulenie, rozrzewniła się sama nad sobą:

— Święty Boże! biedactwo takie, sama jedna na tym świecie, wyżyjże tu!

Miała w karczmie powodzenie — ludzie się do niej garnęli, obsiedli babę wokoło, a chłop jakiś z Wierzbna, dobrze podchmielony, płaczliwym głosem opowiadał Biedrońce o chorobie swej baby, którą kołtun połamał. Słuchała, radziła, a popijała.

Wtem przez otwarte okna, razem z ponurym hukiem grzmotu, posłyszano w szynkowni krzyki i łomot walenia we drzwi od strony chlewa. Ludzie przycichli, nasłuchiwali, co takiego.

— Puść! Otwieraj! Gwałtu, ratujcie! — ktoś wrzeszczał.

— To Maciek krzyczy! — rzekł Słomka zaniepokojony.

Rzępik wyszedł z karczmy, uwolnił Podymę z zamknięcia i uspokajał:

— Człowieku, co ty wyrabiasz? Miejże rozum w głowie!...

Ale Maciek go nie słuchał i jak szalony pognał do szynkowni. Stanął we drzwiach, rozmamany na piersiach, cały jego łeb, sukmana — w słomie, a oczy wystraszone na wierzch mu wyłaziły. Wszystkich przeraził sobą, błędnemi oczyma wodził po izbie, a na Słomce wzrok zatrzymał i głośno wrzasnął:

— Masz ty sumienie ludzi zwodzić, żyć, jakby nigdy nic?... O, bratku, pamiętaj sobie, żeśmy obaj winni tej śmierci, żeśmy zbó...

Nie skończył, gdyż Grzegórz chwycił go pod rękę i co tchu z karczmy wyprowadził.

Właśnie piorun w blizkości gdzieś huknął i deszcz lunął, kiedy dwaj pątnicy z Jakubowic wyszli na drogę.

— Zbawicielu świata! — mówił Podyma przerażony — dzień sądu przyszedł!

— Śpiesz się, mitręgo! nie pleć oto ni w pięć, ni w dziewięć! — rzekł Słomka.

— Co mi pomoże pośpiech, kiej on za mną goni?...

— Kto zaś ma gonić? Deszcz pluska.

— A ja ci pedam, że nie deszcz... nieboszczyk Gromnica! Choć nie patrzę, a i tak go widzę... Trop w trop idzie po moich śladach.

— Maszże ty za grosz oleju w głowie?... Gadasz nic do rzeczy.

— Rozum mi nie pomoże...

Tak rozmawiając, trzymali się pod ręce i szli żwawo, a deszcz ulewny szumiał, grzmot w chmurach warczał, migały błyskawice. Byli już na wzgórzu pod krzyżem, kiedy olbrzymia błyskawica rozdarła niebo i w świetle jej stanęło porzecze Szreniawy. Przeraźliwy huk, trzask zaległ przestwory, a niebo zdawało się sypać pożar iskier w olszynowy gaik Cichej Wody. Grzegórz i Maciek stali pod krzyżem wylęknieni, utkwili wzrok w straszliwą łunę nad Cichą Wodą.

— Anieli pańscy, ratujcie! — wybąkał Podyma, trzęsąc się z przestrachu, i mimowolnie padł na kolana, wzniósł ręce w górę.

Słomka uczynił to samo. Ciemność znowu zaległa ziemię i dwaj pątnicy odpustowi w milczeniu puścili się wąwozem ku Jakubowicom. Kiedy dotarli do wsi, Maciek pochwycił towarzysza za rękę i rzekł cichym głosem:

— Odprowadź mię do chałupy, bo nic nie widzę!... Żywą, czerwieniuteńką krew mam w oczach... Przeklęte zbójectwo!

Nazajutrz rano w izbie biednego Podymy zjawiła się Smolicha, czarna krowa okazała, ze zbitym rogiem. Kunda, najstarsza córka, zabrała

się do doju, a inne dzieci otoczyły bydlę naokoło, dotykały z pieszczotą jego gęby, nóg, ogona; mało brakowało, żeby całowały, lizały. Zwlokła się z łóżka i Jewka, baba rosła, brudna, rozczochrana, wynędzniała — skóra i kości. Rozdała dzieciom po kawałku czarnego, twardego chleba, który z trudem łamała palcami w braku noża. Wydojone mleko wlała w szczerbatą miskę, a dzieci, uzbrojone w drewniane, powygryzane łyżki, rzuciły się z ogromną żarłocznością do śniadania. Maciek siedział w kącie jakiś markotny, wsparł łokcie na kolanach, brodę na dłoniach i ponurym wzrokiem przyglądał się dzieciom. Nagle powstał i, wskazując ręką na krowę, zawołał:

— Kunda, odpędź mi zaraz tę krowę do obórki Grzegorza! Nie chcę, za nic nie chcę!...

— Czyś ty rozum stracił? — rzekła na to Jewka. — Miejże przecie zastanowienie! Głodem chcesz umorzyć te dzieciska, czy co? Dali ci dobrzy ludzie krowinę dla drobiazgu, a ty...

— Kunda, odpędź krowę do obórki Grzegorza! — powtórnie rozkazywał Maciek, a dzieci i żona z ogromnem zdziwieniem nań spoglądały.

Dziewucha jeszcze się ociągała z wykonaniem rozkazu ojca, Jewka ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać, a za nią małe dzieci wybuchnęły rozgłośnym płaczem. Smolicha, bijąc się ogonem po bokach, ruszyła w głąb' izby, gdyż spostrzegła legło z barłogu, w którym przed chwilą spoczy-

wała Jewka. Podyma wodził oczyma po izbie, pochwycił długi ożóg, stojący przy nalepie, i silnie uderzył nim krowę, przytem zaklął:

— Będziesz mi ty tu, zacieczona, stała na oczach!

Zrozumiało od razu bydlę, że je z domu wypędzają, i żwawym krokiem pomknęło ku niedomkniętym drzwiom, a za niem biegł Maciek, wywijając ożogiem. Chłop był bardzo zły i, gdy mu się po drodze nawinęła Kunda, przeciągnął ją należycie kijem, mówiąc:

— Masz, psia duszo, za to, że ci posłuchu brakuje przed panem ojcem! Dawnoś sobie już zarobiła.

Widać ją dobrze potrącił, bo się aż przegięła i co tchu uszła z pod ręki gniewnego tatusia, żeby jej jeszcze nie przyłożył. Smolicha pchnęła drzwi rogiem, wybiegła przed chałupę i na cały głos ryknęła raz, drugi, a potem puściła się kłusem ku zagrodzie Słomki. Ryk krowy bardziej jeszcze rozrzewnił Jewkę i małe dzieci; w izbie pełno było pisku. Maćkowi też zrobiło się nieluso; ale nie chciał tego po sobie pokazać. Teraz cisnął ożóg między dzieci, tupnął nogą i wrzasnął:

— Nie kwiczeć, raki, bo pouśmiercam!

Ożóg, rzucony z siłą, podskoczył parę razy na ziemi i koniec jego drasnął w czoło Franka trójlatka, któremu kilka kropli krwi spłynęło z tej rany w małą kałużę mleka, rozlanego przez dzieci. Podyma strasznym wzrokiem spoglądał na czer-

wone plamy w białym płynie. Nagle odwrócił głowę i, idąc ku drzwiom, mruczał:

— Krew czerwona, mleko białe! Krew czerwona, mleko białe! Oj jej!...

Przed chałupą spotkał Słomkę, który właśnie przyszedł dowiedzieć się, co to może znaczyć, że Smolicha wróciła do domu.

— Trzeba ją wziąć na powróz, bo bydlę okrutnie domowite — mówił.

— Krew czerwona, mleko białe! — odrzekł Maciek. — Za krowę mię nie kupisz... Trup mi spokoju nie daje i w dzień i w nocy... Sprawiedliwości mi potrzeba, spokoju sumienia, nie żadnej krowy.

— Człowieku, miejże statek, pomiarkowanie!

— Krew czerwona, mleko białe! Rozumiesz?... Dzisiaj koniec być musi!

— Jakiż znowu koniec?

— Taki, że zeznam rzetelną prawdę, powiem: «zabiłem Szymona Gromnicę za dwadzieścia pięć rubli...»

— Wiesz ty, czem to pachnie?—pytał z przerażeniem Słomka. — Dzieci swoich nigdy już nie zobaczysz!

Na wspomnienie dzieci Podyma przystanął, wspomniał sobie, że wczoraj w karczmie zębocińskiej ukradł dla Franka bułkę i schował kawałek kiełbasy. Sięgnął do kieszeni, znalazł w niej i bułkę i kiełbasę. Zawrócił do chałupy, a Słomka szedł obok niego, jak przykuty. Najmłodsze dzieci

już były wyległy z izby, bawiły się w błocie na drodze. Maciek przez chwilkę przyglądał im się z daleka, potem krzyknął:

— Franek, trzymaj! — i rzucił kiełbasę i bułkę dziecku na kolana.

Teraz szedł przyśpieszonym krokiem, milcząc.

— Kajże ty idziesz? — pyta Grzegórz.

— Do Proszowic ze skargą!

— Z jaką skargą?

— Tego nie wiesz? Na zbójów, co zabili Gromnicę... I ty się gotuj!

— Czyś ty, Maciek, oszalał? Ja cię nie puszczę!

— Żebyś krwawemi łzami płakał, nie pomoże!... Muszę!

Przed wieczorem tego samego dnia policya proszowska osadziła w więzieniu Maćka Podymę i Grzegorza Słomkę z Jakubowic. Sprawa o morderstwo, spełnione nad Cichą Wodą, rozpoczęła się też w sądach niebawem i tym razem najzupełniej już wyświetlono całą prawdę.

WRÓBLE.

SIELANKA.

samym rogu dworskiej stodoły rosła stara wierzba — może rodzaju męskiego, a może żeńskiego. Któżby tam na wsi zwracał uwagę, czy wierzba na wiosnę ma kwiaty męskie lub żeńskie? A jednak drzewo, bez względu na płeć swoją, było godne uwagi.

Co parę lat, późną jesienią, karbowy brał do ręki siekierę, właził na wierzbę po drabinie i nadzwyczajnie troskliwie okrzesywał wszystkie gałęzie.

Od blizn, wyrąbanych w różnych czasach, utworzyła się przy wierzchołku zgrubiałość, łeb potężny, na którym osiadły kurze, naniesione przez wiatr, wzniecane przez pędzone drogą bydło, przez wozy przejeżdżające. W tych pyłach były krocie zarodków życia, oczekujących tylko przyjaznej chwili, aby się urodzić i zacząć jeść. Potem na wierzbę lunęły deszcze, myły ją, lub ubijały na jej głowie warstwę urodzajnego brudu. Nic łatwiejszego, jak wziąć to drzewo podczas nocnego zmroku za straszydło,—takie ono było cudaczne, wymoczone, sczerniałe.

Przyszły jesienne słoty i wichry; wierzba nie szumiała wtedy, jak inne drzewa, posiadające ga-

lęzie, — stała ona nieruchoma, martwa. Bieliły się z razu na jej głowie blizny ran po odciętych gałęziach; ale później białe te znamiona przysychały, żółkły, nareszcie stały się czarne.

Nastała zima — i łeb wierzby, niby wystrzyżoną ludzką głowę, nakryła gruba, biała czapa śniegu, która już zasłoniła wszystkie rany i dziury. Teraz niekiedy tylko wrona, spłoszona nagle z podwórka, zasiadała na wierzbie, aby sobie nie zadawać trudu wzlatywania nieco wyżej na strzechę stodoły.

Dopiero na wiosnę z nabrzmiałej, dziurawej i guzowatej głowy wystrzelały liczne pręty, jakby druty parasola, okrywały się kolkami kwiatów, pąkami liści, co swą jasną zielonością wnet przyozdobiły wierzchołek drzewa. A z pomiędzy rwących się do życia, pachnących młodych prętów jeszcze ponuro wyglądały na świat wypróchniałe dziury, niby jamy, z których wyjęto oczy. Zbolała, cierpiąca głowa i z nich ciągnęła ku sobie soki, zdradzała wewnętrzne życie.

Odradzała się wierzba nie tylko swojem własnem życiem: na pokiereszowanym jej łbie powstała kolonia mniejszych i większych roślin, które tu wschodziły, krzewiły się, nie mówiąc już o mchach, grzybach, porastających na korze. Wiosną i latem widziałeś różne wieńce, girlandy zielonych pasożytów; niektóre wyrastały z czarnych dziupli próchnic, a fantastycznie zwieszały się ku dołowi.

A co za bogactwo łopianów, rdestów, pokrzyw, szalei, ostów rzuciło się do wzrostu u stóp drzewa!

Gdzieś z głębi dziur, ze szpar kory, zaczęły wyłazić na świat osobliwe zwierzątka: nikłe, przezroczyste mszyce, jakieś pleszki na długich, szczudłowatych nogach. Czyż to to wszystko naprawdę żyje? Ma w sobie narządy czucia? Jedne oblazły młodziutki pręt, inne obsiadły liść i chłepcą soki. Wołki, biedronki, sprężyki — to się przechadzały, to wypoczywały, wzlatywały w górę. Jakieś muszki krewkie, nadzwyczajnie żwawe, porywcze, przelatywały tutaj co chwilę, zrywały się, leciały dalej. Właśnie na takich przybyszów czatowały pająki i pajączki po rozmaitych zakątkach. Już oto długonogi komar zaplątał się jedną nogą w pajęczej sieci, — daremnie skacze, rzuca się jak szalony, dziwnie żałosnym brzękiem jęczy w niebogłosy.

Od wczesnego rana do późnego wieczora wędruje po wierzbie szereg mrówek, dla pracy których za mało widać padołów ziemi. Idą po pniu w górę, przystają, wietrzą jak wyżły, a inne znowu wracają już na dół, obciążone bogatym łupem.

Możnaby nazwać epoką w życiu wierzby porę, kiedy w maju przylecą chrabąszcze, zwierzęta gnuśne i żarłoczne — tylko jeść a spać. O zmierzchu otaczają one wieńcem głowę wierzby, rozpoczynają niezdarne pląsy przy odgłosach

mrukliwej muzyki: hymn głodomorków, taniec barbarzyńców bez temperamentu. Żarłoki, przez cały dzień leżą na słońcu i trawią, a w nocy po chłodzie się zrywają, by tylko używać — żreć liście bez miary.

Mieniąc się w słońcu czarnym i białym aksamitem z purpurowemi znamionami na skrzydłach, przybywał niekiedy do wierzby świetny motyl atalanta; obleciał dokoła pnia, upatrzył sobie miejsce w cieniu, skrzydła do góry podniósł, aby mu ich nie poplamiły plugawe mszyce, tarzające się w białej pianie, co niby ślina sączy się z wnętrza drzewa.

Zniknęły chrabąszcze, to się zjawiła inna znowu szarańcza — roje białych motyli nocnych, owych wierzbówek omszonych, ogoniastych, z łbem wtulonym między skrzydła, z wąsami kudłatymi, na czarnych nogach — pfe!...

Żre to ladaco jak najęte, znosi jaja i umiera. Tysiące ich trupów, podziurawionych przez ptastwo, rozdeptanych nogami ludzi i zwierząt, nawpół przegniłych, leżą pod wierzbą, a inne tysiące bujają wieczorami około drzewa.

Ale trudno policzyć na starej wierzbie wszystkie chrząszczyki, muszki, motyle, gąsienice. Trudno dokładnie opowiedzieć, co za pracę odbywa wewnątrz drzewa gąsienica jakiego przeziernika.

Ta wierzba tylu istotom oddaje przysługi, a jej, oprócz ziemi jednej, wszystko zresztą szkodzi. Ziemia i niebiosa dały drzewu życie widać na to,

ażeby to życie szarpano, z jego bogactwa wytwarzano inne życia.

I wróbel, i sowa i dyabeł przemieszkują w starej wierzbie.

Chłop, aby się pozbyć zimnicy, wierci w wierzbie dziurę, chucha w nią trzy razy i zimnicę kołkiem w wierzbie zabija. W Niedzielę Palmową święci się w kościele wierzbowe gałązki z baziami. Kto takie święcone bazie połyka, tego gardło nie zaboli; a kto znowu święcone gałązki wierzby przechowuje w chacie, to złe duchy odpędza od domu i bydło mu się dobrze sprawia.

Wkrótce po świętym Józefie bywały dni ciepłe i na strzechę stodoły od południa wylegała gromada wróbli, które, ponapuszane, cierkały sobie tutaj codziennie parę godzin, wygrzewając się na słoneczku. Co jakiś czas całe to stado sfruwało już na gumnisko, już na dworskie podwórko pod kurnikami, a za lada szmerem, czy na widok przechodzącego parobka lub dziewki, zrywały się wróble, gnały co tchu na stodołę, spadały na strzechę jak deszcz ulewny. Przerozmaitego pochodzenia były te ptaki: jedne się wylęgły w karczmie, inne w chłopskiej chałupie, w kościele parafialnym, na dzwonnicy, po stodołach, stajniach, we dworze, w gołębniku, pod gniazdem bociana, w dziuplach wierzb i t. d. Ale na zimę zgromadziły się wszystkie około dworu, jako punktu, przedstawiającego najwięcej widoków zapewnienia sposobu życia w czasie ciężkich

mrozów i śniegów. Mądry ten pogląd na rzeczy dzieliły z wróblami trznadle, wrony, gawrony, sroki, śmieciuszki. I utworzyło się wielkie towarzystwo spożywcze, żyjące kosztem większej posiadłości ziemskiej.

W cichej, uroczej wsi przypadłości życiowe mają charakter nadzwyczajnie brutalny, według chłopskiego przysłowia: «dziś żyjesz, jutro gnijesz.» Z tego też powodu bardzo się przetrzebiła gromada wróbli, pozostałych z lata, a i tak sporo tego jeszcze było.

O czem takie ptaki świegotają nieustannie, trudno wiedzieć; ale to pewna, że mają na wszystko otwarte oczy i wybornie się kierują swemi spostrzeżeniami. Ho, ho! nic tu nie uszło uwagi wróbli!

Jakiś oto furman zajechał wozem i blizko bramy przystanął na podwórku; zwyczajnie żyd przyjechał kupić zboże, czy też dług odebrać od pana dziedzica: taki nie śmie się pchać przed dwór ze swym ekwipażem i staje około stodół, kurników.

Wróble zaraz lecą do fury, podpatrują, co to za popas furman urządzi dla koni. Bo może będzie owies? A jest zawsze między wróblami jeden taki wójt, ptak z głową, który umie wszystko «spenetrować.» Ten, niby też to od niechcenia, podskakuje sobie z daleka, a udawacz jeden, wyciąga szyję i wszystko, co trzeba, wybornie widzi. Gromada może się składać z głupców, byle miała

takiego, który jej interesa dobrze prowadzi. Mniejsza o to, że czasem okpi, okradnie; ale za to musi za wszystkich głupich, niedołęgów myśleć i działać.

Nieraz z kuchni wyszła pyzata dziewka, niosąc w fartuchu poślad dla drobiu. Stanęła, garściami ziarno sypie, a na cały głos woła: «tiu, tiu, tiu, tiuuu!» Oho, wróble już są! Zanim przyderdały kury, pędząc nawpół na nogach, wpół na skrzydłach, zanim się przygramoliły kaczki i gęsi, nim nadfrunęły gołębie, już tymczasem niejeden wróbel należycie się pożywił. Inne ziarnożerne ptaki, jak trznadle, sroki, wrony i t. d., z daleka się tylko oblizywały i może w goryczy swojej spotwarzały cały ród wróbli. Dziewce też nie na rękę takie bezczelne natręty, więc sama do siebie mówi:

— I po co też Pan Jezus nastwarzał tych zatraconych szkodników, na krzywdę ludzką i tej oto biednej gadziny?

Zaczęła machać ręką, odstraszać wróble:

— A siu, bestyjniki jedne! A siu, psiewiary!... Toć taki hycel gotów kurzynie z gardziołka żywcem wydrzeć!... Nie pójdziecie wy, zatracone! A bodajżeście skapiały!

Wróble jednakże nic sobie nie robią z tych i tym podobnych obelg, przekleństw; na wyścigi porywają z przed drobiu ziarno. Czasem któraś kura wpadnie w złość, zamierzy się swoim potężnym dziobem na natręta; wtedy wróbel zręcznie odskakuje o kilka kroków, spogląda na kurę i zdaje się mówić:

— Przecież i mnie Pan Bóg stworzył, obdarzył mię żołądkiem! Właściwie nikt tego jeszcze nie dowiódł, że kury są czemś lepszem, niż wróble.

Na nic się nie zdały wszelkie przeszkody,— wróble precz jadły, dopóki tylko było co do jedzenia.

W jakiś czas potem znowu parobek niósł w koszu na plecach obrok dla koni; zaraz pięciu czy sześciu wróbli sfrunęło ze strzechy i leciało ponad nim, spoglądając z góry, co ten człowiek niesie i czy przypadkiem nie uroni jakiej garstki, boby zaraz wyzbierały. Parobek wszedł z koszem do stajni, a wróble siadły na dachu tejże stajni i tam wyraźnie słyszały, iż człowiek zasypuje koniom obrok do żłobu. A cóż to, wróble gorsze od koni? Głodny ptak, czy głodny czworonóg, jednakowo łakną. I mądre wróble wpadały do stajni już przez okienka, już wprost przez drzwi, a następnie jadły ze żłobu za pan-brat z końmi.

O, wróbel na wszystko musi baczyć, jeśli chce wyżyć na świecie!

Pod ludzką opieką zgłupiała kura, kaczka, gęś; ale wróbel jest przecie tylko sąsiadem człowieka, i w tem sąsiedztwie żyjąc, wyrobił sobie maksymę: «mądryś ty, więc ja nie mogę być głupim.»

Właśnie z kuchni wylano pomyje, cały ceber płynu chlusnął na ziemię; wróble już tam są, wybierają okruchy kartofli gotowanych, resztki kaszy, przywarów wyskrobanych z garnków: im

dwór zamożniejszy, tem więcej takich bogactw dostaje się na śmietnik.

Ani drób', ani trzoda chlewna, krowy, konie, ani psy nawet nie mogły swych porcyi spożyć tak, ażeby wróble nie wzięły w tem udziału. Ze strzechy stodoły, jakby ze strażnicy, wróble widziały całą okolicę, a uwagę ich zwracały szczególniej czynności ludzkie.

Ciekawa rzecz, co ogrodnik porabia w ogrodzie? Już tam niezawodnie żer jakiś być musi, gdyż człowiek nigdy się nie krząta gorliwie około rzeczy i spraw, które chleba nie dają. Chcąc nie chcąc, wróble zwracały spojrzenia ku ogrodowi. Nareszcie wyrwało się dwóch na zwiady: do takiego celu już co najmniej dwóch potrzeba, ponieważ jednego może w drodze spotkać jastrząb, lub inna zła przygoda, i gromada nie dowiedziałaby się, co ogrodnik porabia w ogrodzie. Z wyższego punktu widzenia, to jest ze strzechy stodoły, wróble wybornie pojęły, że skoro dwaj ich delegaci siedzą na wierzchołku gruszy i z nadzwyczajnem zajęciem śledzą czynność ogrodnika, więc musi tam być dobry interes do zrobienia: wróble także wyprowadzają wnioski i mają swój rachunek prawdopodobieństwa. Jeden do drugiego zaświegotał mniej więcej w te słowa: — «To, co się widzi, nie jest bez kozery.» I niebawem wszystkie poleciały do ogrodu, a po drodze, jak który mógł, uzasadniał swoje domysły, nadzieje. Nie omyliły się wróble i do późnego wieczora

miały ogromnie pożyteczne, nadzwyczajnie przyjemne zajęcie, gdyż pracowity ogrodnik rozsiał był właśnie mak na grzędach.

Każdy człowiek zacny wie, że jemy i pijemy, aby żyć, — a jakże żyć bez towarzystwa? Więc jeść i pić najsmaczniej w towarzystwie, zwłaszcza w towarzystwie dobrem. Zdanie to zupełnie podzielały wróble, których wesołość przy suto zastawionym stole zwabiła nie tylko różne ziarnożerne ptaki, ale i takie, co głównie owadami się karmią. Mądra inicyatywa wróbli dała dobry przykład ziębom, szczygłom, sikorom; do tego stołu przysiadła się nawet para turkawek i pliszka, i słowik, i mysi królik i t. d. Słowem towarzystwo było wyborne i mak z grzędy szybko znikał, tem bardziej, iż w pobliżu znajdowała się sadzawka z wielce smaczną wodą — coś w rodzaju ptasiego koniaku z najlepszą marką. Kolegium to zawzięcie jadło i piło: apetyt dodawał bodźca pragnieniu, pragnienie apetytowi; nad tem całem zaś ucztowaniem zdawał się unosić geniusz dobrego humoru.

Nazajutrz rano towarzystwo to znowu przybyło na śniadanie; ale wkrótce też zjawił się i ogrodnik. Biedak oburącz chwycił się za głowę, gdy spostrzegł ten rój ptastwa, i czemprędzej pobiegł po strzelbę.

Pierwsze wróble zauważyły niebezpieczeństwo — pierzchnęły pośpiesznie, a za nimi reszta ptaków.

— Cóżem ja najlepszego zrobił! — rzecze ogrodnik, załamując ręce. — Zasiałem mak, a zapomniałem, że mam z łajdakami do czynienia, i nawet stracha nie postawiłem.

Rzecz prosta, mak nie powschodził i ogrodnik przez cały tydzień złorzeczył wróblom.

— Gdzie zaś człowiek przy najlepszych chęciach może co dobrego zrobić na świecie! Te szelmy mają rozum i wszystko zniszczą...

Ogrodnik powiedział prawdę: «wróble mają rozum.»

Głupie i niedołęgi wyginęły podczas zimy, pozostały przy życiu tylko jednostki dzielne, takie wróble, które z głodu nigdy nie zginą, dopóki człowiek na powierzchni ziemi będzie zasiewał użyteczne rośliny i hodował zwierzęta domowe. Nie sztuka otrzymywać od ludzi całe utrzymanie za to, że się im oddaje własną skórę nieraz, że się dla nich pracuje, jak wół i koń, lub się idzie na rożen, jak kura i kaczka! Wróbel używa cywilizacyjnych dobrodziejstw kultury rolniczej, a jednak zachował swą niezależność. Wespół z kurczętami i gąsiętami jada on częstokroć drobno siekane, gotowane jajka, kaszkę z twarogiem, a przecież daleki jest od losu, jaki w przyszłości niechybnie oczekuje kurczęta i gąsięta. Jest to jedyny na świecie ptak, który istnienie swego gatunku oparł na idei wspólnoty z człowiekiem: «za dużo masz, więc ci zabieram cząstkę, nie prosząc o pozwolenie.»

Wiosna! Tu orzą, tam sieją, mnożą się owady. Jest czem żyć, można zakładać domowe ogniska, odradzać się w dzieciach, przekazywać im swoje cnoty. Obowiązki te wróble spełniają z taką samą przyjemnością jak ludzie, ale z daleko większą łatwością.

Z nadejściem owej pory, *aëriae primum volucres te, diva, tuumque significant initum perculsae corda tua vi.*

Na strzesze stodoły wróble przeto rozprawiają teraz o tem chyba, kto kogo ma poślubić, jak i gdzie zakładać gniazda. Sceny zazdrości, pojedynki, awantury miłosne są na porządku dziennym. Czułostkowo nastrojone pary wcześnie już oddzieliły się od gromady i zdala od wrzawy tego świata, po różnych kątach, wyznają sobie miłość. Wyznanie takie i ptak i człowiek czynią głosem pieszczotliwym, co stanowi wyraźny dowód pewnego zdziecinnienia: miłość zamienia dojrzałe istoty na zaledwie odessane niemowlęta. I nie dziw, gdyż inaczej nie popełniłoby się głupstwa. Niejeden mówił swej narzeczonej w tajemnicy takie niedorzeczności, żeby tego nigdy publicznie nie wyznał wobec najlepszych przyjaciół, a to z obawy szyderstwa. Przemawia się wtedy językiem zdrobniałym, dziecięcym, a każdy wyraz jest kłamstwem. «Gołąbko moja — mówi narzeczony do narzeczonej, — stokrotko jedyna, perło przecudna, złota, brylantowa, różyczko, lilijko, klejnocie!» A kiedy już nie znajduje wy-

razów w dziedzinie państwa zwierzęcego, roślinnego i kopalnego, rzuca się we wszechświat i w zachwycie uwielbienia woła: «Tyś jasne słońce moje, gwiazdka prześliczna, niebo pogodne!» I tego mało, przeto pani serca staje się «boginią uroczą, aniołem, wiosną i t. d.» Cały świat rzeczywisty i nadprzyrodzony nie wystarcza przecież zakochanemu, który, właściwie mówiąc, przez to wszystko bardzo mało wypowiada. Piękny i bogaty jest język miłości, ale niema w nim ani jednego wyrazu, mającego znaczenie!

Stare, najpoważniejsze nawet wróble w epoce miłości piszczą zupełnie tak samo, jak ich piskleta w gnieździe. «Fio, fio?» — brzmi pytanie. «Filp, filp!» — jest odpowiedź. Słychać to po wszystkich wierzbach, płotach, strzechach, murach. Niepodobna tego przełożyć inaczej na język ludzki, tylko tak: — Kocham cię nad życie, a zatem mam nadzieję wzajemności.» Jest to pierwsza propozycya.

«Czyż się można zakochać w kimś, kogo się zaledwie co poznało?» — «Żeby ci tego dowieść, gotówem sobie życie odebrać!» — «O, bardzo proszę nie szastać tak życiem!» — «Zaklinam cię, najdroższa, na wszystko, daj mi buzi!» Jest to propozycya druga.

No, i wśród takiej czczej gadaniny zawiązuje się bardzo ważny stosunek dla obojga osobników, powstaje ostatnia propozycya — małżeństwa.

W systemie monogamii niezbędnym a dosyć przykrym obowiązkiem zalotnika jest pokonanie rywala, to jest takiego mężczyzny, który może i ma wszelkie uzdolnienie do stanu małżeńskiego; ale potrzeba go dobrze wytłuc, albo nawet i zabić, ponieważ ja mam mocne przekonanie, iż posiadam największe prawo do serca bogdanki. Jeżeli taki kogut, który ślubuje dwudziestu lub i więcej żonom, bierze za łeb każdego, kto mu wchodzi ze swem uczuciem w drogę, to cóż dopiero wróbel, czy inny monogamista? Przyroda jednakże za te wszystkie opały miłości powinna koniecznie wyznaczać jakąś emeryturę dla wysłużonych już mężów.

Właśnie oto w niejakiej odległości od jednej z gruchających par wróbli usiadł jakiś urodziwy samczyk, o ile znać z powierzchowności, bardzo energiczny, a w obejściu zręczny, ułożony. Podskakuje on na jednej nodze, ćwierka bardzo grzecznie, uprzejmie, a oczy robi jużto czułe, już przeszywające na wskróś i wielce wymowne. Bywają zdarzenia, choć rzadkie, że płeć żeńska w monogamii łamie wiarę małżeńską; więc zaręczona już wróbliczka mogła być narażona co najmniej na pokusę wobec gładkiego wiercipięty. Parę razy nawet uśmiechnęła się do niego i parę razy rzuciła nań długie, pełne znaczenia spojrzenie, przyczem mrugnęła. Naturalnie, w sercu jej narzeczonego, a za lada dzień męża, aż zakipiało. Raz, drugi potrafił zapanować nad sobą;

nareszcie wyczerpała się miarka jego cierpliwości, przyskoczył z gniewem do gacha i zawołał:

— Cóż ty sobie myślisz, hołyszu? Wiedz, że twoje podrygania i umizgi wcale mi się nie podobają!

— Idź do dyabła! — zawołał z lekceważeniem rywal. — Przecieżem i ja trznadlowi z pod ogona nie wyskoczył! Któż ci to powiedział, że ty właśnie jesteś arcydziełem męża dla tej uroczej dziewicy?

W ślad za tem posypały się gradem obelżywe słowa i niedługo potem dało się słyszeć: «klap, klap,» znany odgłos z całą werwą wymierzonych policzków, po których już nic innego nie pozostaje, tylko śmiertelny pojedynek o obrazę honoru. Dwaj zapaśnicy niezwłocznie też rzucili się na siebie ze straszną zaciętością. Jeden drugiego kułakował, popychał, kopał, aż nareszcie, walcząc zaciekle, a dzierżąc się za czuby, spadli obaj ze strzechy stodoły w pokrzywy pod starą wierzbę.

Samiczka załamała skrzydła i zaczęła wydawać ze siebie okrzyki rozpaczy. Atoli nadleciała stara jej ciotka i przemówiła w te słowa:

— Kobieto, o co ci chodzi? Na tym pojedynku nigdy źle nie wyjdziesz: bądź-co-bądź, jeden musi zwyciężyć i ty zawsze będziesz miała męża. Ale, widzisz, o mnie się już wróblowie nie biją i bardzo chętnie wyjdę za tego, który się w pojedynku okaże słabszy.

Losy zrządziły, iż właściwy narzeczony, mocno wyskubany, z łbem zakrwawionym, musiał uchodzić z pola bitwy, a tem samem zrzec się na rzecz rywala praw do wybranej przez swe serce. Stara ciotka poleciała za nim, aby go pocieszyć.

Szczęśliwy zwycięzca wrócił teraz na strzechę stodoły, gdzie go oczekiwała wróbliczka. Miał minę bohatera i z blizną na łbie, tryumfujący, pięknie wyglądał w oczach pani swego serca.

Ale i ona była zachwycająca. Co za kibić, jakie oczka, skrzydełka, nóżki, ogonek! A nadewszystko to coś nieokreślone, wdzięk, zwany przez poetów pięknem niewieściem. Żeby tam najpiękniejszy na świecie koliber, niczem był dla wróbla w porównaniu z tą samiczką! Było za co walczyć, tracić męskie pióra i męską krew przelewać.

Owa samotna wierzba przy stodole wabiła ku sobie parę czułych kochanków. Wyglądała ona jak bezludna wyspa, a jej wypróchniałe dziury — niby groty, gdzie się skryć można przed wrzawą świata. Jeżeli używać rozkoszy miłości, to we dwoje, bez żadnych świadków. Przecież w dziupli tego drzewa, w skromniutkiej chatce, można zawrzeć swe życie, stworzyć tam sobie raj ziemski i żyć naprzód we dwoje, a potem, potem... Zjawią się naturalnie owoce małżeństwa, rozkoszne takie, mile piszczące i szczebiocące wróbleta.

Zaczęły się dni gorącej małżeńskiej miłości, której świadkiem była owa stara wierzba. Nieraz prawie że przytuleni do siebie siedzieli na jednej gałązce, świegocąc o uczuciach, które ożywiały ich serca. «Fio, fio?» — «Filp, filp!» brzmiało nieustannie. On czasem przelatywał na inną gałązkę, ale po to tylko, aby niebawem wrócić z rozpostartemi skrzydłami i ukochaną do serca przycisnąć. Ona była szczęśliwa, tkliwym głosem dziękowała mu za pieszczoty.

Różni nowożeńcy dobrze wiedzą, ile to zabiegów, trosk, pracy kosztuje umeblowanie domu i urządzenie gospodarstwa, zwłaszcza gdy poślubiona para nie wynosi z rodzicielskiego gniazda żadnego posagu. Sam jeden — ptak czy człowiek — może żyć gdziebądź i jakbądź, ale straszne jest wyrzeczenie: «musimy dom prowadzić.» Ona musi być koniecznie panią domu, gospodynią; on — mężem, głową rodziny.

Zaczęli budować gniazdo, znosić do dziupli, co które mogło. Najwięcej materyałów dostarczał im dworski śmietnik, istna kopalnia budulcu, złożonego w jednej kupie. Już koguty i kury rozgrzebały były tę górę, przeto wróblom nie trudno wybierać stamtąd, co im się podoba. A leżą w owym śmietniku: skrawki różnobarwnego papieru, strzępki szmat przerozmaitych, kawałki waty, szpagatu, nici, niedopałki zapałek, papierosów, wyczesane włosy ludzkie. Wróble niczem nie pogardzały, bo czego on nie zabrał gwoli

nadania gniazdu siły, lub przysposobienia wygody, to ona wnosiła i lada fatałaszkiem marnym przyozdabiała tę siedzibę. Dziupla w starej wierzbie wnet się zamieniła na małżeńską izbę, pełną materaców, pierzyn i przerozmaitych rupieci. O jakiejś architekturze gniazda, o komforcie, warunkach zdrowotności mowy tu być nie mogło. Małżeństwo to pracowało ciężko, jak gdyby szło o zbudowanie piramidy egipskiej, a przeniosło tylko śmietnik z jednego miejsca na drugie. Trudno, żeby w takim domu mogły się wychować ptaki, mające jakieś wyższe wymagania. Samiec nieraz porządnie się zdźwigał, niosąc do chałupy całe źdźbło słomy, albo i pióro z gęsiego skrzydła, przysiadał dla odpoczynku na dachu kurnika, na płocie, na ziemi. Samiczka, w przewidywaniu przyszłych macierzyńskich trosk i trudów, lżejszą robotę brała na swe barki. Obojgu zaś podczas tej pracy zdarzały się rozmaite przygody. Są bowiem pomiędzy wróblami nicponie i hultaje, co po różnych ścieżkach, gościńcach czatują na swych bliźnich, napadają znienacka i pozbawiają owoców pracy.

Zaczęła się nareszcie czysto żeńska praca: znoszenie jajek, z których miało powstać męskie i żeńskie potomstwo. Rzeczywiście, trzeba powiedzieć na pochwałę wróbliczki, że zniosła jaj dużo i bardzo ładnych: było ich sześć, w skorupce cieniutkiej, lekko błękitnej i popielato nakrapianej, coś w rodzaju rysunku marmuru. Już w jajkach

rodzicielska para ukochała swą dziatwę i w gnieździe było nadzwyczajnie ciepłe uczucie rodzinne. Tylko pod warunkiem tego ciepła mogą się z jaj wylęgnąć wróble. Gdy raz szczęśliwie zasiadła małżonka na jajkach, siedziała już na nich przez dni czternaście prawie bez przerwy; obowiązek to bardzo ciężki i nudny, nie podołałby mu żaden samiec. Żeby przynajmniej wiedzieć, że z którego jaja nie wylęgnie się jaki łotr, wyrzutek i zakała rodu wróblego!

Matka, spełniająca swe obowiązki, może się zdrzemnąć, przespać; musi jednak kamieniem siedzieć w domu na jajach. Nie powinna się zajmować żadnemi badaniami świata zewnętrznego, ani brać na siebie jakichś ubocznych obowiązków, gdyż pozaziębia swe jaja i wylęgną się wróble słabowite, albo głupie. Ach, ileż to w gnieździe jest do roboty! Wróbla matka musiała ciągle patrzeć i nastawiać uszy na wszelkie szmery, a gdy zasnęła, spała bardzo czujnie. Niekiedy wpadały tu mrówki, zwierzęta czarne lub rude, stawiane ludziom za wzór pracowitości, ponieważ się rozłażą daleko od mrowiska i są utrapieniem każdego, kto z niemi ma do czynienia. Wróblica tępiła dziobem bez litości tę pracowitą hołotę, gotową pożreć i ją i jaja. Innym razem znowu, nad świtaniem, wpadała tam z hałasem jaka ćma, współlokator, który całą noc pije, a rano wraca do domu; jeżeli się takiego wpuściło przez bramę, nie należy go już wypuszczać. Pająki rozważne

i chytre, złośliwe skorki, szczypawice, stonogi, w pielgrzymkach swoich po świecie nieraz zawadzały o spokojną wróblą chatę, niby o karczmę przydrożną, i zaraz na samym progu śmierć znajdowały. Dla dobra swojego własnego gatunku przychodziło często łeb komuś rozbić.

No, a cóż porabia małżonek? Zapewne się lampartuje tymczasem poza domem i z pełnej czary spija słodycz życia? Gdzież tam! Wróbel należy do tych istot, które nie mają w sobie tyle siły, aby wychylić nos poza prawo przyrody: nie zna on wcale przysłowia: *et haec facienda et illa non omittenda.* Albo wysiadywał na gałązce wierzby, albo na strzesze stodoły w pobliżu gniazda, pokrzykując: «ćwirk, ćwirk,» co znaczy: «jestem zawsze gotów stanąć w obronie larów i penatów,» — albo nawet niekiedy na krótszy czas przywdziewał czepiec, spódnicę, właził w bety rodzinne i na jajach luzował małżonkę. Oby każda dostała takiego wróbla za męża!

Nareszcie z jajka, leżącego pod samem sercem matki, zaczął wyłazić pierworodny synek, piszczący nagus. Szczęśliwa wróblica zaledwie wierzyła oczom swoim, że się spełniło jej marzenie nad marzeniami. Podniosła się z gniazda, odeszła nieco na bok i spostrzegła żywy kawałek ciała. W rozrzewnieniu macierzyńskiem wydała okrzyk, który sprowadził do gniazda pana ojca. Nowonarodzony golec, podobniejszy raczej do nowonarodzonej myszy, niż do ptaka, napełnił nie-

opisaną rozkoszą rodzicielskie serca. Doprawdy, nie było co znowu tak bardzo kochać!

Ojciec, ucieszony, jakby go kto na sto koni wsadził, natychmiast wyleciał z gniazda i po chwili wrócił, niosąc w dziobie ogromną, napęczniałą jak klusek gąsienicę: była ona jeszcze żywa i wiła się gwałtownie. Noworodek szeroko rozdziawił gębę, a rodzicielska para wspólnemi siłami wtłoczyła mu w gardło szpetnego potwora. Jeść — jest to najpierwszy obowiązek w życiu wróbla. Wstrzemięźliwy wróbel i głupi człowiek mają jednakową wartość — każdy w swoim gatunku. Tylko, niestety, trudniej o wstrzemięźliwego wróbla, niż o głupiego człowieka.

Zanim wieczór nadszedł, urodziło się jeszcze pięcioro wróbląt.

Na pogodnem niebie wystąpił księżyc, jego promienie przeniknęły i w tę ciemną dziurę, a wzruszona matka, siedząc na gnieździe, myślała w głębi duszy, iż ciała niebieskie świecą z tego powodu, ponieważ przyszło na świat sześcioro wróblich piskląt, jej dzieci.

Ojciec przycupnął na brzegu gniazda i drzemał, zachowując się z całą rycerskością.

Świat ptaków pomnożył się o trzech wróblich synów i o trzy córki.

Rano rozkosz rodziców była nadzwyczajna, kiedy potomstwo, otwarłszy oczy ze snu, piskleęcym swoim głosem zaczęło wołać: «jeść, jeść, jeść!»

Matka, jak to zwykle matki, skłonniejsza była do wyrażania swych uczuć w pieszczotach, aniżeli w czynie — znany idealizm płci pięknej. Czyż tego mało, że męża uszczęśliwiła miłością i wydała na świat sześcioro dzieci?

Ojciec zabrał się energicznie do dzieła zarządu i kierownictwa spraw rodzinnych: skąd brać, to brać, a w gnieździe głodu być nie może. Łam sobie, tatulu, głowę, pracuj, pożyczaj, kradnij, a jeść dawaj!

Drobiazgowi wróblemu przystoi jedynie mięsny pokarm, pulchne i strawne gąsienice, a mięso nigdzie nie jest tańsze od roślin.

Jakież to skrzętne łowy i obławy musiał urządzać ojciec-wróbel, ażeby nasycić swe dzieci! Dziatki, chwała Bogu, były zdrowe i miały przewyborny apetyt: zjadały wszystko, co im podali rodzice, a dopominały się coraz więcej. Setki gąsienic i różnych miękkich owadów przepadały w żołądkach nienasyconych żarłoków, które, mimo to, szeroko otwierały dzioby, z piskiem domagając się jadła. Można zupełnie zużyć i stargać siły wśród tak ciężkich obowiązków zaspokajania potrzeb ukochanego potomstwa.

Ojciec, strudzony nieraz co się zowie, wpadł w jaką wesołą kompanię wróbli, żyjących w celibacie — prawdziwie mądrych ptaków. Taka rozrywka nie wychodziła mu na dobre, gdyż rodzina miała potem dwa razy większy apetyt i podwójnie trzeba było pracować. Pogrążony w zadumie,

siadał na jakim samotnym kołku płota, opuszczał skrzydła i głowę miał pełną bardzo posępnych myśli.

Gdyby wróbel mógł ludzkiem słowem przemówić, powiedziałby:

— Nie biorąc na swe barki ciężkich rodzinnych obowiązków, mógłbym żyć daleko swobodniej, przyjemniej!...

No, ale cóż pisklęta winny, że na świat przyszły, że mają olbrzymi apetyt? Albo co tak dalece lepszego może stary wróbel zrobić na świecie nad wychowanie młodych wróbli?

Wypoczął, zrywał się do czynu, znowu leciał na łowy, a kiedy z łupem wrócił do gniazda, spotykały go tutaj wyrzuty, że gdzieś za długo bawił, że zaniedbał swoje obowiązki. Niema na świecie żon pobłażliwych! Zgryzł w sobie gorzkie przycinki, cierpkie wymówki i, jak przystało na dobrodusznego ptaka, niejedno zbył żartami.

Ktoby sobie zadał trud obliczenia, ile te żarłoczne malce zjadły, łatwoby się przekonał, że dziennie potrzebowały kilkaset sztuk zwierzyny, a tygodniowo parę tysięcy. Szczególniej też ów pierworodny synek, ukochane bobo mamy, nigdy się nie mógł nasycić, i gdy nadeszła chwila karmienia, umiał jakoś tak zręcznie otwierać dziób, nadstawiać rozdziawione usta, że odjadał resztę rodzeństwa. Wszystkie one jadły wiele, ale ten pierworodny najwięcej. Ojciec ze względu na matkę, dla świętego spokoju w domu, nie karcił

malca za różne sztuki, które on urządzał braciom i siostrom, ile razy chodziło o pośpieszne uprzątnienie jakiego dobrego kąska.

— Widać, że zdrów i ma rozum, więc mu dobrze będzie na świecie — mawiała matka do ojca, któremu kością w gardle stał ten szalony apetyt dzieci.

Istotnie, obrzydliwość brała patrzeć na te nagie brzuszki, wypchane jadłem po sam gardziel, a ciągle jeszcze łaknące. Ktoby zajrzał do dziupli z wróblem gniazdem, spostrzegłby tam zawsze jedno: sześć żółtych dziobów, szeroko otwartych i oczekujących, ażeby w nie coś wrzucono.

Jednego razu zielona żabka, ta, co to na deszcz skrzeczy po drzewach i krzewach, chroniąc się przed piekącymi promieniami słońca, porzuciła zielone liście wierzby i zalazła do dziupli z gniazdem. Zaledwie tam weszła, pisklęta powyciągały nagie szyjki i z piskiem otwarły dzioby. Żabka tak się przestraszyła, iż, stanąwszy na krawędzi gniazda, nie mogła się ruszyć ani w tył, ani na przód. Nieruchomym wzrokiem spoglądała na te wróbleta, tak wyglądające, jakby ją chciały pożreć. Tymczasem nadleciała matka, z ogromną furyą wpadła na żabę, poszturgała ją tak rzetelnie, że żabina w przerażeniu zaczęła skakać po głowach piskląt. Jedna jej noga wpadła przypadkiem w otwarte usta pierworodnego, który ją też niebawem zaczął łykać, jak gąsienicę, i głęboko w siebie wciągnął. Z oczyma wytrzeszczonemi

szamotała się żabka, uwięziona w taki sposób, a tu do gniazda przyleciał jeszcze i ojciec. Dopiero małżeńska para wzięła we dwa ognie nieproszonego gościa—i żabę, zbitą na kwaśne jabłko, wyrzucono za drzwi.

Teraz w rodzinie pełno było radosnego gwaru z powodu zdarzenia, które przeszło tak szczęśliwie, a mogło być bardzo niebezpieczne. Rzecz prosta, najstarszy syn wyszedł na bohatera: w kolebce jeszcze będąc, o mało hydrze łba nie urwał.

Zmężniały dziatki, zaczęły porastać w pierze i rozum; z różnych okoliczności wnosiły, że poza tą rodzinną dziurą w wierzbie istnieje jeszcze świat inny: może im czasem matka napomknęła, ostrzegając przed przyszłemi niebezpieczeństwami życia. Dopóki były zupełnie głupie, niczego się nie bały; teraz strach je jakiś przejmował i zwykle przyczaiwszy się na gnieździe, siedziały cichutko. Czasem na świecie szumiała ulewa, biły pioruny, wicher tak silnie wstrząsał starą wierzbą, że drzewo chwiało się i skrzypiało. Matka z przerażeniem wpadała do domu, siadała na gnieździe, nakrywała sobą dzieci, nakazywała im być cicho i sama się bardzo cicho sprawiała. Ale ojca nie było i małe myślały, że ten ojciec całym światem trzęsie; w ich wyobraźni wyglądał on jako mocarz nadzwyczajny, który się żadnego zgiełku burzy nie boi: wszystko to nic nie znaczy dla jego mężnego serca. Gdy burza ustała, ojciec przybył do gniazda, niosąc w dziobie ogromnie długą glistę, coś

w rodzaju smacznego węgorza. Ach, jakiż on dzielny, jaki zuch!

Nareszcie wróblęta zupełnie porosły w pierze, odchowały się, były już na wylocie. Macierzyńskie nauki i przestrogi odbierały one teraz nieustannie. Atoli groza niebezpieczeństw życia nie przedstawia się nigdy prawdziwie tym, którzy ich nie znają, tylko zawsze w daleko gorszem świetle. Choć zaś dyabeł nie jest tak czarny, jak go malują, ci jednak, co go nie widzieli, myślą, że jest jeszcze daleko czarniejszy.

Pewnego dnia uparła się matka, ażeby w świat wprowadzić swoje młode latorośle. Nie możemy się tu kusić o to, żeby wiernie opisać rozdzierającą scenę rozłąki z rodzinnem gniazdem. Juści wróblica nie mogła ludzkim głosem zawołać:

— Oby wam zawsze drogą i miłą była woń kąta, gdzieście się urodziły i wychowały!

Ta matka pieszczotliwym głosem wywabiała dzieci z dziupli, a tyle dbałości, troskliwości i miłości okazywała, kierując pierwszymi ich krokami na świecie, że jaki moralista mógłby ją postawić jako przykład godny naśladowania.

Stała się jednakże rzecz osobliwa: wszystkie wróblęta opuściły gniazdo, tylko pierworodny syn w niem pozostał. Matka, nadzwyczajnie zajęta i przejęta uroczystością chwili, zaglądała co chwila do dziupli, chcąc z niej wywabić ukochane dziecko, a ten siedział i ani się ruszył. Przyleciał ojciec, widocznie policzył swe potomstwo, gdyż z fizyo-

gnomią zdziwioną spojrzał na małżonkę, jakby chciał zapytać:

— Cóż to, kot czy jastrząb zdążył już zjeść jednego z moich synów?

Wróblica musiała mu coś na to odpowiedzieć, gdyż niebawem pośpieszył do gniazda, i widząc tam siedzącego syna, cierkał nań ostrym głosem mniej więcej w te słowa:

— A to co znowu? Wstawaj, próżniaku, marsz! Cóż ty sobie myślisz, że ja całe życie będę na ciebie pracował?

Wtem przyleciała matka i równie ostrym głosem cierkała znowu na ojca; zdawała się mówić:

— Nie znęcaj mi się nad dzieckiem! Słaby jakiś, może kalectwo ma w nóżce, czy w skrzydełku, to niech sobie w gniazdku posiedzi.

Stary gniewnie potrząsnął głową, merdnął ogonem na prawo i na lewo, najwidoczniej dając do zrozumienia:

— Wszystko mi się zdaje, że matka pieszczotami zepsuła tego nicponia i chce mu się przy fartuszku mamusi pozostać. Ale niech się raz przecie skończą moje obowiązki i niech ja być zacznę sobą!

Poczem zabrał się i poleciał na strzechę stodoły, gdzie zgromadził pięcioro swych potomków i miał do nich przemowę, dającą się tak mniej więcej przełożyć na język ludzki:

— Idźcie w świat, próżniaki, zacznijcie na chleb pracować, a nie zapominajcie o tem, żeście się urodziły w starej wierzbie pod stodołą!

Serce nie pozwalało matce, aby syn pozostały w gnieździe umierał z głodu, przeto znosiła mu różne kąski. Dzień po dniu schodził, wróbelek wyrósł na młodzieńca, a matka wyobrażała sobie, że dziecko jest chorowite — może rachityczne.

Każda inna wróblica, odchowawszy dziec,i, wychodziła powtórnie za mąż; ale ta bardzo wysoko nosiła sztandar macierzyństwa. Niekiedy tylko głosem czułym, tkliwym, przedstawiała synowi, że, bądź-co-bądź, musi iść w świat, zostać indywidualnym wróblem.

Mąż jej tymczasem zupełnie zobojętniał pod względem rodzinnym, zaczął być drugi raz młodym i puszczał się na rzeczy, które nie bardzo przystoją starszemu wiekowi. Rozromansował jakąś wróblicę podżyłą i z nią obleciał wszystkie dworskie zabudowania. «Fio, fio?» — «Filp, filp!» — słyszy ciągle wyznania, oświadczania miłości. W starym piecu dyabeł pali, to też o miłości starców pełno wzmianek i u klasyków i w Biblii. Romantyzm chce, aby starców tylko szanowano, a nie pozwala im używać miłości, największej rozkoszy życia. Wróble żyją na gruncie klasycyzmu i Starego Testamentu, a miłości może w tem społeczeństwie kosztować każdy, komu się podoba.

Nasz wróbel uważał, że gniazdo, które głównie własnemi siłami zbudował i w którem przeważnie on sam dzieci wyżywił, stanowi jego posiadłość; przyprowadził tam swoją drugą żonę, aby nie mieć trudu robienia nowego gniazda. Patrzy, a tam siedzi jego pierworodny synek z pierwszego małżeństwa.

— O ty, trutniu jakiś! — krzyknął ojciec i wziął syna w obroty.

Młody wróbel kręcił się, wiercił, a stary bił niemiłosiernie. Cóż się pokazało? Oto młokos zbyt głęboko pogrążył w gnieździe jedną nogę i zamotał ją sobie w nitce, najniepotrzebniej przez matkę przyniesionej do dziupli. Energiczne plagi ojcowskie były skuteczne: syn, szamocąc się, zerwał pęta i uleciał z gniazda.

Podczas gdy ojciec wypędzał z domu młodego wróbla, nadleciała matka, a spotkawszy się oko w oko z wróblicą, która jej odebrała serce męża, niebawem uderzyła na nią i odpędziła od wierzby, poczem wpadła do dziupli. Że się owo małżeństwo poczubiło w gnieździe, było to słychać z zewnątrz: szum, zgiełk, zamęt i pisk — zupełnie, jak kiedy biją się chłop z babą. Ale widać nastąpiła między nimi zgoda, skoro ona wkrótce potem znowu zaczęła nieść jaja; wszystko zupełnie po ludzku.

Przydłuższy pobyt w rodzinnem gnieździe nigdy nikomu na złe nie wyjdzie; pierworodny syn zmężniał fizycznie, dojrzał umysłowo i wy-

stąpił na arenę życia jako ptak zupełnie dobrze wychowany, co się też uwydatniło w późniejszym czasie.

Reszta jego rodzeństwa wysiadywała jakiś czas na strzesze stodoły, na gałązkach starej wierzby; później puściło się to dalej, zaczęło używać świata, który miał bardzo dużo uroku dla młodych wróbli. Wielka obfitość światła, powietrza, obszerna przestrzeń, tyle wszędzie towarzystwa — nieznanych a osobliwych stworzeń; nie wiadomo, na co wprzód patrzeć, co przedewszystkiem robić.

Zdaniem wróblej młodzieży, starszyzna okazywała zanadto przezorności, zmykając trwożliwie, ile razy się zbliżał człowiek, pies, albo kot. I młode ptaki tak rozumowały:

— Ponieważ wróble żyją za pan-brat z kurami, indykami, kaczkami i gęsiami, a ten drób' dosyć znowu poufale obcuje z krowami, psami, z trzodą chlewną i z człowiekiem, niema przeto powodu, aby wróbel unikał czworonogów i ludzi.

Niejeden młodzieniec zginął przez niedoświadczenie i głupotę, inny przez junactwo; niejedna dziewica padła ofiarą swojej naiwności. I to prawda, że dla początkującej intelligencyi przytrudną jest sprawą subtelne odróżnianie kota od małego psa lub prosięcia. Wiele wróbli musi zginąć, zanim się jeden wychowa, co będzie żył mądrze.

Rodzeństwo, wylęgłe w dziupli wierzby, precz pozawiązywało stosunki z różnymi młodymi wróblami i używało przeróżnych zabaw, rozrywek. Dla tych ptaków najwyższą rozkoszą była sucha kąpiel w piasku i pyle, lub i mokra — w wodzie kałuży. To też licznie zebrana młodzież, a z nią niektóre stare, lekkomyślniejsze wróble gromadziły się pod kurnikiem, gdzie były tak zwane kurze paprzyska. Używanie to ogromne dla męskich i żeńskich żółtodziobów, gdyż trzepocąc się uciesznie, można cobądź szczebiotać i prowadzić życie bezmyślne, niewymagające najmniejszego umysłowego wysiłku. Niejeden wróbel starszy, poważnie myślący, przelatując górą, widział, co się u dołu dzieje, i ostro, krótko a węzłowato rzucił pustakom ostrzeżenie, iż kot pod ścianą siedzi.

Istotnie, kot faryzeusz siedział pod ścianą, udawał wybornie, iż nie zwraca uwagi na figle wróbli, leżał tak, jakby nie zwierzę żywe, lecz rzecz jaka; tymczasem widział on wszystko doskonale, pragnął kąska, łykał ślinkę i gotował pazury. Naraz — hop! Skoczył w paprzysko i rozległo się tylko przykre dla ucha: «krzy, krzy, krzy!» To jeden z lekkoduchów rozpaczliwie wrzeszczał w kociej paszczęce.

Nie tyle sama napaść, ile ów krzyk przerażenia cierpiącego bliźniego opamiętał lekkomyślnych. Zerwały się ptaki i z bijącemi sercami poleciały na płot, skąd wzrokiem pełnym śmiertelnej

trwogi i zgrozy spoglądały ku kurnikowi. Okropny dramat!... Kot z wróblem w zębach, jak zręczny gimnastyk, szybko wskoczył na dach kurnika i chrupał swoją ofiarę, z której piórka tylko wietrzyk unosił w górę. Los chciał, iż smutną tą ofiarą był właśnie jeden z braci, urodzonych i wychowanych w dziupli wierzby. Drugi z pomiędzy młodszych braci przybrał sobie coś do głowy i wyemigrował ze wsi, przepadł gdzieś bez wieści tak, że ani słychu, ani dychu. Trzy pozostałe siostry rzuciły się w wir uciech światowych i prowadziły bardzo wesołe życie w otoczeniu licznych wielbicieli. Głównym punktem zebrania tej złotej młodzieży wróbli była teraz okolica studni. Unikano już kurnika z powodu kota, ale za to przy studni założyły sobie wróble formalną łazienkę. Weszło w modę używanie takiego sportu, przeto każdy, kto tylko należał do towarzystwa, śpieszył pod studnię, jako na ulubione miejsce schadzki, gdzie zawsze można było spotkać grono wesołych wróbelków i bardzo nadobnych wróbliczek. Bawiono się tam z całego serca — zupełnie tak samo, jak się bawią ludzie w niektórych zakładach kąpielowych. Pannom, rzecz prosta, głównie chodziło o to, aby w tym sezonie mogły złowić mężów. Niejeden, widząc takie pluskania wróbli, mógł sobie pomyśleć, że to jest jakaś odmiana gęsi, lub innych ptaków wodnych. Szczególniej też płeć piękna nadużywała kąpieli, a kto wie, czy nie w celu wyra-

żniejszego uwydatnienia kształtów swego ciałoskładu wobec płci męskiej: przemoczone bowiem piórka przylegały do ciała i ptaki wyglądały jak obnażone, oskubane.

Właśnie jedna z trzech sióstr rodziny, o której tu mowa, kąpała się a chlapała w kałuży przy korycie studni i tak przemokła, iż nie było możności, aby w danym razie zdołała się zerwać i wzlecieć na skrzydłach.

— O nierozważna! jak możesz naśladować gęś, będąc wróblicą! — wołała z oddalenia jedna poważna wróbla matrona.

Ale tylko wesoły śmiech lekceważenia przestrogi rozległ się w całej gromadzie jako odpowiedź na przestrogę osoby starszej.

— Ho, ho! Myśmy już inni! — wołała młodzież. — *Tempora mutantur et nos cum illis;* my idziemy z postępem i z duchem czasu. Gdzieżby zaś młoda wróbliczka, wielka emancypantka, miała słuchać rad i uwag starej, zacofanej wróblicy: chlapała się codziennie w kałuży i basta.

Aż tu jednego razu, zupełnie niespodziewanie, wypędzono z obórki cielęta, aby je napoić przy studni. Któż nie zna tych głupiutkich czworonogów z mokrym nosem, wybałuszonemi oczyma i z uszami przypominającemi osła? Spragnione wody, wypadły one ze stajenki, tłoczyły się, gziły, skakały i tak gnały do studni. Zadarły ogony, pobekują, a żwawo pędzą. Takie cielę nie tylko

nic nie myśli, ale nic nie widzi, nie słyszy, co się dokoła niego dzieje.

Na ten widok, wróble, choć niewiele mędrsze od cieląt, poodskakiwały, a niektóre odleciały na skrzydłach, o ile nie przemokły zupełnie w kąpieli; tylko ta jedna wróbliczka nie mogła wyleźć z kałuży i nadaremnie trzepotała skrzydełkami. Białe, krase, czarne cielęta nadbiegły, garną się do koryta studni jedno przez drugie, a przytem swawolą, jak zwykle cielęta.

Stał się znowu bardzo smutny przypadek: głupie cielę przydeptało racicą wróbliczkę, i spokojnie stojąc na niej czas jakiś, chłeptało wodę z koryta. Cielę odeszło, a wróbliczka, wdeptana w błoto kałuży, wiła się w męczarniach konania i wnet potem wyzionęła dech żywota. Martwe jej zwłoki przez długi czas poniewierały się około studni, dopóki drogą rozkładu i przy pomocy robactwa nie przeszły w ziemię. Prawdziwie smutny koniec — w błocie i od cielęcia!

— Iluż nas ginie, iluż nas ginie! — mówił, siedząc na płocie, wróbel-filozof. — Gdyby nie straszne przypadłości życia, gdyby nie bezmyślność nasza, wróbli gatunek niebawem zaludniłby świat cały.

— A po co głupcy żyć mają? Żre toto i odbiera innym sposób do życia — odrzekł siedzący obok wróbel, znany z praktycznego rozumu. — Mojem zdaniem, najmniej tysiąc głupców powinno zginąć, nim się wychowa jeden taki mądry wróbel,

którego nikt nie złowi na plewy. Jeżeli zaś gatunek jest lichy, to lepiej, żeby nie istniał.

Bardzo powoli i wielkim kosztem zdobywamy sobie trudną sztukę życia. Niektóre wróble z młodego pokolenia wnet się przekonały, że padoły ziemskie są bardzo niebezpieczne, że więc, o ile można, należy unikać poziomów, a żyć głównie w kierunku pionowym: na drzewach, dachach, płotach.

Uwagę tę zrobił pewien młody wróbel, mniej więcej poetycznie nastrojony i nieustannie wszystkich przekonywający, że ptak dlatego ma skrzydła, ażeby w górę wzlatywał. Wśród młodzieży płci obojej łatwo jest zostać trybunem, przeto młode wróbliczki pierwsze zaczęły rozprawiać o wyższych celach życia. Rezultatem tego było, że wiec wróbli przeniósł się na lipę, gdzie od rana do wieczora rejwach bywał ogromny. Tutaj to potomstwo jakich dwustu gniazd założyło sobie istny klub, a niekiedy zlatywała się tam taka moc wróbli, że wystarczało rzucić kamieniem na chybił trafił, aby któregoś z nich pozbawić życia.

Sejmiki owe nie uszły widać uwagi krogulca, ptaka, co to jest podobny do kukułki, a który z poblizkiego lasu przylatywał tu niekiedy na polowanie. Nadzwyczajnie śmiały, mądry i chytry drapieżnik nigdy przez podwórko nie przeleciał napróżno. Na jego widok śmiertelny strach ogarniał wszystkie mniejsze ptaki, a stare wróble kryły się przed nim w mysie jamy. Dla zaskoczonych

przez nieubłaganego napastnika jedynym ratunkiem było zapaść w tak zwany żywy płot i skryć się głęboko wśród gęsto posplatanych z sobą ciernistych gałązek.

Nie każdemu ptaszkowi udzieliła przyroda takiego talentu latania, jak jaskółce; tylko jedne jaskółki urągały krogulcowi, a nawet poniekąd obrzydzały mu zwiedzanie okolic, zamieszkiwanych przez ludzi, zwierzęta domowe i przez wróble.

Owa rozłożysta lipa, rosnąca pod śpichlerzem, w cieniu której ćwierkały setki wróbli, nieraz bywała widownią scen przerażająco krwawych. Krwiożerczy krogulec nie napadał tu z góry: leciał on dołem, mknął szparko pomiędzy stodołami, czy stajniami, i zjawiał się nagle przy dolnych piętrach lipowych gałęzi. Przeraźliwy pisk trwogi, szum, zgiełk nadzwyczajnego popłochu dawały się wtedy słyszeć wśród gąszczu liści. Wróble, jakby gruszki spadające z drzewa, rzucały się z pośpiechem w sploty żywego płotu, w gęstwinę zielska i traw, wzrastających pod lipą. Na odgłos tego wielkiego strachu, przylatywały co żywo jaskółki i z rycerską odwagą lżyły napastnika, a niektóre, wzbiwszy się wysoko do góry, spadały stamtąd bardzo szybko i z ostrym krzykiem udawały napad na wroga małych ptaków; ale wkrótce potem z większą jeszcze szybkością zdala od niego uchodziły.

Skoro się wróble przelękły, skoro jaskółka wyruszyła w pole i rzuciła hasło trwogi, to już

źle być musi. Zawsze wysoko noszący dumną głowę i ognistemi oczyma na świat spoglądający kogut, on nawet, monarcha podwórza, wydał dziwny krzyk przerażenia: «Krrruuu, krrruuu!» Przygarbił się, spłaszczył i zmykał w dyrdy. Wystraszone kwoki zwoływały dzieci pod swoje skrzydła, chroniły się z niemi w krzaki. Gołębie klasnęły w skrzydła i niektóre wzleciały bardzo wysoko w górę, a inne w nieładzie pierzchały, wpadając do otwartych stodół, do stajni, do gołębnika.

Krogulec tylko dla wróbli jest niebezpieczny; ale większe ptaki, słysząc krzyk jaskółek, mniemały, że mają do czynienia ze straszniejszym od krogulca drapieżcą: mógł to być przecież ów potentat, zwany to gołębiarzem, to kurożercą — *astur palumbarius,* morderca nigdy nienasycony, już nie wilk, ale raczej tygrys w świecie ptaków.

I znowu teraz jedna z sióstr, urodzonych w dziupli wierzby, znalazła śmierć w szponach krogulca; uniósł ją w pola pomiędzy zboża i tam na miedzy pożarł swą brankę, z której pozostało tylko nieco zakrwawionych piórek.

Może przynajmniej trzecia siostra, która przeżyła i opłakała śmierć trojga rodzeństwa, dojdzie do pełnoletności, a gdy zupełnie utraci żółtość w dziobie, wyjdzie za mąż i spełni należycie zadania życia? Nie, ta trzecia także marnie zginęła.

Zaprzyjaźniła się ona z pewnym młodzieńcem, który miał silne postanowienie wstąpić w związki

małżeńskie, i po tych smutnych przejściach rodzinnych razem z narzeczonym poleciała między chłopskie chaty, gdzie pragnęła żyć zdala od dworskiego zgiełku. Jedna jakaś cicha zagroda nadawała się zupełnie do tego celu. Panował tam prawdziwie wiejski spokój: po podwórku chodziły cztery kury z kogutem, a bardzo leniwy pies, stworzenie obojętne na wszystko, nawet w nocy nie szczekał. Kto unikał wrzawy świata, wielkich towarzystw, ten znajdował tutaj zadowolenie zupełne.

Pod okapem chaty wisiał serek w słomianej plecionce; chociaż biały, od much się czernił z daleka. W sieni chaty para jaskółek miała gniazdo. Kota ani śladu i wszystko wogóle było nadzwyczajnie sielankowe. Poza chałupą znajdował się mały sadek, coś z dziesięć śliw, para grusz, para jabłonek, a na tych drzewach — istne kolonie gąsienic, roje tego nieprzeliczone.

Chłop-człowiek głupi, obojętny na wszystko; żona jego — jeszcze głupsza i obojętniejsza; oboje przesiadywali cały dzień w polu, a choć ciężko pracowali, byli bardzo biedni. Starszy ich syn Jasiek pasał na błoniu jedyną krowinę, wywłokę— skóra i kości. Drugi syn Jędrek, chłopak sześcioletni, w brudnej koszulinie, sam jeden pilnował chaty i całego tego gospodarskiego obejścia. Zresztą w pełnej dziur strzesze stodoły gnieździła się tu jedna tylko para wróbli, ptaków zajętych wyłącznie sprawami rodzinnemi.

Otóż ten mały Jędrek sam jeden zdawał się zwracać uwagę na świat zewnętrzny. W sadzie upatrywał on na drzewach zielonych śliwek, gruszek i jabłek, a gdy ich tu nie mógł znaleźć, przełaził przez płot do sadu i robił spustoszenia. Gnieżdżące się w strzesze stodoły wróble uchodziły jakoś jego uwagi, ale nowoprzybyłą parę natychmiast spostrzegł. Jaskółki są to ptaki święte, których pod chłopską strzechą nie spotka nigdy nic złego, i Jędrek dobrze o tem wiedział; za to wróblom, przeklętym szkodnikom, zawsze był gotów krzywdę wyrządzić.

Nasza młoda para małżeńska, nosząca się z zamiarem założenia tu gniazda, przebywała jużto w sadzie, już na chłopskiem podwórku, pełnem śmieci i wszelakich nieczystości. Jędrek na tem podwórku właśnie zastawił łapkę: ułożył cztery cegły tak, iż tworzyły niejako pudełko, a nad niemi ustawił pochyło piątą, podpartą cienkim patyczkiem.

Któregoś dnia samiczka, poszukując materyałów na gniazdo, zatrzymała się nad ową łapką: przekręca główką, spogląda to jednem, to drugiem oczkiem, merda ogonkiem i widzi na dnie łapki kilkanaście ziarn jęczmiennej kaszy. Kasza dla wróbla, który się najadł gąsienic, jest równie ponętna, jak dla człowieka smakosza kawałek sera po mięsnym obiedzie. Samiczka się złakomiła, skoczyła w łapkę, a wtem — klap! i nakryła ją pochyło ustawiona cegiełka. Tego tylko oczekiwał

w oddaleniu czatujący Jędrek; natychmiast przybiegł, wydobył z łapki brankę, której serce biło ze strachu jak młotem, ukręcił jej zaraz głowę, oskubał całe ciało, upiekł je na rozżarzonych węglach i zjadł co do jednej kosteczki: zrobił to samo, co kot i krogulec. Ha, prawa głodu są widać dla wszystkich jednakie, i głodne stworzenie zawsze się odznacza bezwzględnością względem innych stworzeń.

Tyle już jednostek zginęło z rodzeństwa, wychowanego w dziupli wierzby. Pozostał atoli ów pierworodny, co to pod ojcowskimi kułakami wyzwolił był nogę, zaplątaną w nici gniazda. Stary ojciec zmarnowanego pokolenia po raz wtóry założył rodzinne ognisko i znowu w pocie czoła pracował na pokolenie nowe, kiedy ostatni we wsi syn jego poczuł w sobie także ognie miłości, to jest potrzebę odrodzenia gatunku po mieczu. Co prawda, dobrał on sobie nieszczególną towarzyszkę, awanturnicę jakąś, z którą po całej wsi odbywał podróż. Któż wie, dlaczego ta wróblica tak go wodziła? Może to był żeński kaprys, a może wyrachowanie. Rozwódką była, a takie miewają dziwaczne zachcenia. Nieraz siedli gdzie na dachu i on się zalecał, stroił koperczaki, a ona zdawała się prawić mu androny o miłości platonicznej, o poświęceniu się dla istoty ukochanej, o bezinteresowności uczucia. Inny wróbel byłby parsknął śmiechem, ale ten — młody, niezepsuty jeszcze, po uszy się zakochał.

Przebywali czas jakiś w wyniosłych dworskich stodołach i on ją błagał, aby się zgodziła na założenie tam gniazda, wysoko ponad zapolami. Ta wysokość dosyć się podobała jejmości, — może lubiła spoglądać nocą w księżyc i gwiazdy na niebie. Ale była to nadzwyczajnie nerwowa samiczka, drażliwa w najwyższym stopniu. Zaraz pierwszej nocy przeraził ją tam kot z błyszczącemi oczyma, który węszył, zaglądał w każdą dziurę, zręcznie przeskakując z łaty na łatę. Później kot odszedł, a przybyła sowa, bardzo troskliwa poszukiwaczka nocna. Oprócz tego, włóczyła się po stodole kuna, zwierzę silne, odważne, zręczne i krwi chciwe. Ani podobieństwo zamieszkać stale w takim domu!

Mniej więcej podobne wrażenia odniosła wróblica, przepędziwszy noc na strychu dworu i karczmy.

W oborze i w stajni był nieco wyższy stopień bezpieczeństwa, — cóż, kiedy znowu nieraz w nocy krowy się cielą, klacze źrebią, a przez całą noc słychać brzęk łańcuszków od uzd, ryk bydła, tupotanie kopyt końskich, rżenie i kwik ogierów. Wszędzie jakieś mary trapiły, zagrażały klęski, wrogie potęgi zdawały się czatować na parę wróbli. Niech Bóg broni poszukiwać lokalu na mieszkanie i zapytywać swą połowicę o radę!

Przez jakiś czas mieli przekonanie, że pod gniazdem bocianiem może być wróbel zupełnie bezpieczny: opieką silnego a powszechnie szano-

wanego ptaka dawała przewyborną rękojmię. Tymczasem bocian ów wyciągał niejednokrotnie swoją długą szyję, obmacywał dziobem boki gniazda, wyjmował gnieżdżące się w niem nagie jeszcze wróbelki i obdzielał nimi swoje niezmiernie żarłoczne potomstwo. Niepodobieństwo wyżyć w tak niegodziwem sąsiedztwie!

Wróbel nie wiedział już, co począć, ażeby obrać mieszkanie, dogadzające wszystkim wymaganiom i upodobaniom kapryśnej samiczki, która mu wyraźnie dawała do zrozumienia, że woli nie wyjść za mąż, niż mieszkać w ladajakiej i niewygodnej dziurze. Romansowa ta wróblica zawiodła nareszcie swego męża na kościół parafialny, będący zdala za wsią, w samotnej ustroni. Tutaj spoczęli oboje na gzemsie okna, przez które mogli zajrzeć wewnątrz świątyni. Gmach to przestrony, widny, panowały w nim spokój i uroczysta cisza. W takiem miejscu byłoby idealnie dobrze mieszkać, gdyż trudno wymarzyć lepsze schronienie na siedzibę dla ptaków, mających na świecie mnóstwo nieprzyjaciół. Ktoby tam założył gniazdo, mógłby być pewny, że ani swych jaj, ani dzieci nie narazi na żadne szwanki. Oboje przekręcali główki, merdali ogonkami, ćwierkali i z niezmierną ciekawością zaglądali wewnątrz kościoła, właśnie w tej chwili pięknie oświetlonego przez promienie popołudniowego słońca. Potem oblatywali dom boży, siadali na każdem z okien, w tem przekonaniu, że znajdą jakiś otwór, jakąś wybitą szybkę,

ułatwiającą im tam wejście. Wszystko na nic! Nigdzie nie było przystępu dla wróbli.

Ale w pobliżu kościoła i na jego terytoryum stał wysoki obelisk, biało pomalowany wapnem, z wierzchu nakryty daszkiem, a w jego framudze znajdował się wizerunek jakiejś świętej, ubranej w niebieską szatę i z lilią w ręku. Nasze wróble założyły sobie gniazdo właśnie pod tym daszkiem.

Latem, podczas nabożeństwa w dni świąteczne, ludzie, nie mogąc się pomieścić w świątyni, wylegali przed kościół, oblegali go naokoło, podobnie jak i ową kapliczkę. Tutaj to klęczący modlili się na różańcach, na książkach do nabożeństwa, śpiewali pieśni nabożne, i nieraz w czasie tego wróbel napuszony siadał na daszku kapliczki, opuszczał skrzydełka, kręcił się, a wciąż ćwierkał i ćwierkał: «Fio, fio!»

Niejeden malec, przybyły tutaj z matką, przez całe nabożeństwo nie spuszczał oka z ptaka. Jednakże nigdy żadnemu swawolnemu chłopcu przez myśl nawet nie przeszło, aby się dostać do gniazda, które nietykalnem czyniła obecność we framudze świętej figury. Więc jest widać sposób na pohamowanie chciwości i swawoli ludzkiej.

Serca wiernych w proch się kruszyły nieraz, z piersi wypadały ciężkie westchnienia żalu, a tu do gniazda wróbel przyleciał skądś ze świata i przyniósł dzieciom pożywienie. Pod daszkiem kaplicy rozlegał się wtedy radosny pisk karmionych wróbląt.

Czasem po nabożeństwie chłopi postawali przed kapliczką i z odkrytą głową prowadzili rozmowy o tych wróblach. Jeden z gospodarzy dowodził, że wróbli nie należy szanować, gdyż one to przyniosły gwoździe do męki Pańskiej; ale inny zaraz mu zamknął usta temi słowy: «Ktoby zabrał młode wróble z takiego świętego parafialnego miejsca, temu przez siedem lat będzie się źle powodziło.»

W pierwszych dniach września przypadał odpust, na który rok rocznie zbierało się tu dużo ludzi, zwłaszcza, że w tym czasie pogoda zwykle dopisuje i zboża prawie już zupełnie z pól zabrano.

Pleban — poczciwości człowiek i dbały o porządek świątyni, postanowił doprowadzić kościół do stanu możliwej czystości. Należało więc wymieść i wygarnąć pyły z różnych zakątków przybytku, pozaprawiać dziury, szpary w ołtarzach, pomalować i pozłocić uszkodzone, powycierane figury świętych. Atoli fundusze, na ten cel przeznaczone, były tak szczupłe, że ani myśleć o sprowadzaniu jakichś majstrów. Wszystko, co robić wypadło, musiały wykonać siły miejscowe. Proboszcz tedy pojechał do miasta, kupił farb, złota malarskiego, i całe dzieło odnowy oddał w ręce organisty, dziada Błażeja i dziesięcioletniego chłopca Franusia, którego zacny jegomość wziął na wychowanie.

Już na pięć dni przed odpustem ogromny rwetes był przy kościele. Organista i Błażej

wspinali się wysoko po drabinach, znosili na dół aniołów, świętych, okurzali ich, myli, a gdy zaszła potrzeba, malowali, pozłacali, dorabiali im brakujące części. Franuś też bardzo był czynny, zwłaszcza o ile chodziło o malowanie, w czem chłopiec zdawał się znajdować wielkie upodobanie.

Już wszystko było gotowe, kiedy jegomość, obchodząc kościół dokoła, zwrócił uwagę i na świętą figurę w kapliczce. Natychmiast wydał polecenie Franusiowi, aby sobie przystawił drabinę do framugi i, co trzeba odświeżyć, odmalować, żeby wykonał. Chłopcu nie trzeba było dwa razy takich rzeczy powtarzać. Nie tylko, że szatę świętej pięknym błękitem odnowił, ale jeszcze z własnego pomysłu pododawał złote i różnobarwne ozdoby. Skończywszy zaś tę robotę, zadowolony ze swego dzieła, wspiął się nieco wyżej jeszcze i zajrzał do gniazda wróbli, które już zupełnie porosły w pierze i były na wylocie. Franusiowi przyszła teraz szczególna myśl do głowy: «Te szare wróbelki byłyby o wiele piękniejsze, gdyby miały na przykład brzuszki zielone, grzbiety purpurowe, skrzydełka błękitne, a główki i ogonki złote.» U takiego artysty od myśli do czynu — niedaleko. I niebawem sześcioro wróbląt, cichutko wysiadujących w gnieździe, uległo zupełnemu przeobrażeniu pod względem ubarwienia piór swoich.

Nadszedł dzień odpustu. Od samego rana biły dzwony, a tłumy poczęły napełniać świą-

tynię, która nie mogła pomieścić tylu ludzi, i przeto zalegli cały plac naokoło. Jak to na odpuście, jedni się modlili, drudzy przy konfesyonałach oczyszczali z grzechów duszę, inni śpiewali, a byli i tacy, którzy w ogromnym tłoku przespali większą część nabożeństwa.

Punktualnie w samo południe, w najgłówniejszej chwili uroczystości kościelnej, młode wróbelki opuściły gniazdo, zaczęły skakać po daszku kapliczki, przelatywać na drzewa, na gzemsy świątyni. Co za osobliwe zdarzenie! Ptaki ze złotymi ogonkami zajęły teraz przed kościołem wyłącznie uwagę wiernych. Jedni drugim pokazywali je palcami, nie mogąc wyjść ze zdumienia, skąd się wzięły ptaszki tak pięknie ubarwione. Niebawem wszyscy przestali się modlić i tylko z podziwem śledzili prześliczne ptaki, głosem wróblim ćwierkające. Co tu mówić, kiedy jaskółki, którym zawsze pilno lecieć, zatrzymywały się w locie, ażeby na ów dziw popatrzeć.

Widocznie szybko rozeszła się wieść o nadzwyczajnych ptakach pomiędzy wróblami, gdyż te gromadami z całej wsi przylatywały na kościół.

Rodzice szczególnie ubarwionych dzieci zachowywali się względem tych małych tak, jakby ich dziwiło i oburzało to, co spostrzegają. Z jednej strony, ojciec okrążał malców, przyglądał im się uważnie, a potem zwracał się do tłumu wróbli,

przedstawiając niejako, iż nie pojmuje, wskutek czego przyszło na świat tak osobliwe potomstwo. Z drugiej strony, matka ćwierkała jakimś płaczliwym, pełnym rozpaczy głosem. Istotnie, biedaczka mogła zachodzić w głowę, jakim sposobem, będąc czystej krwi wróblicą i wróbla mając za męża, wylęgła i wychowała dzieci nie-wróble.

Młode, malowane wróbelki skakały, fruwały w najlepsze, nie pojmowały, o co chodzi, sądziły, że tak na świecie być powinno, jak jest właśnie: na dole tłum ludzi zdziwionych, w górze — na drzewach i kościele — tłum również zdziwionych wróbli. Gwar był nadzwyczajnie wielki, zwłaszcza po skończonem nabożeństwie.

Tym pięknie farbowanym ptaszkom w oczach chłopów dużo uroku dodawało pochodzenie kościelne. Niektórzy mieli chęć uważać to zjawisko za nadprzyrodzone i już w głębi duszy sami sobie zadawali pytanie: «Co ono znaczy i czy ludziom wyjdzie na pożytek lub na szkodę?»

Oprócz Franusia, księżego wychowańca, nikt nie znał tajemnicy pochodzenia pięknych ptaszków.

Kto tylko był w kościele na nabożeństwie, musiał się zatrzymać przed kościołem i podziwiać malowane wróble na dachu, którym jasne południowe słońce nadawało jakiś świetny połysk. Wśród widzów znajdowała się także intelligencya, mieszkańcy dworów. O ile lud był skłonny do

wiary w cudowność zjawiska, o tyle ludzie wykształceni chcieli je uważać jako zupełnie naturalne. A był tam niejaki pan Rajmund, który się uczył agronomii w wyższym zakładzie naukowym, chełpił się zaś, że zna doskonale krajową florę i faunę. Zapytywano go więc zewsząd:

— Panie Rajmundzie, co to za ptaki?

Nałożył pan Rajmund na nos binokle i długo się przypatrywał wróbelkowi, który siedział najbliżej, bo na gzemsie przy oknie kościoła. Potem prowincyonalny ornitolog z powagą zwrócił się do grona zaciekawionych pań i rzekł:

— O, są to bardzo ciekawe okazy, stanowiące przejście od rodziny zwanej *pyrrhula,* do rodziny *fringilla!* Zdaje mi się, że ja pierwszy odkryłem tego ptaka, a przeto będę mógł nadać mu nazwę *pyrrhulla-fringilla Raymundi.*

Wszyscy z uszanowaniem słuchali uczonego; ale Franuś, umiejący wybornie dużo łacińskich wokabuł, śmiało się odezwał:

— Co też pan mówi! Ten ptak nazywa się po łacinie *passer domesticus pictus*... Przecie *pingo, pinxi, pictum, pingere*... malować, a ja sam własną ręką te ptaki pomalowałem w gnieździe. Nie prawdaż, że są bardzo piękne?

Pan Rajmund, który już-już miał ofiarować rubla temu, kto złowi pięknego ptaszka, spuścił nos na kwintę i intelligencya w milczeniu od-

daliła się z przed kościoła. Lud także, dowiedziawszy się o wszystkiem od Franusia, ruszył na obiad do domów.

Teraz dopiero, gdy ludzie ustąpili, cała czereda wróbli, jak nawałnica, rzuciła się na owe ptaszki, które, wróblami będąc, miały na sobie nie-wróble barwy. Na sejmie wróbli zapadł widać wyrok, że takich odmieńców należy pozbawić życia.

ŻEL.

BAJKA Z CZASÓW POGAŃSKICH.

I.

Więcej niż siedemset lat temu, jak na Pomorzu żył książę jeden, imieniem Żel. Był to pan możny, utrzymywał dwór wielki, a życie spędzał na ucztach, łowach i wojnach.

Jako poganina, najeżdżali go często Niemcy, pustoszyli jego włości i uprowadzali w niewolę poddanych. Żel walczył, bronił się, jak mógł; widząc nareszcie, iż licznym swym wrogom nie podoła orężem, postanowił zawrzeć przymierze z chytrym i chciwym Drakonem, margrafem niemieckim.

W ogromnych kniejach wyprawiono wielkie łowy, na które zaproszono i margrafa.

Przez dwa dni z rzędu rozlegały się już po borach krzyki łowców i głosy ich rogów, a Drako nie przybywał na punkt zborny. Książę niecierpliwił się, tem bardziej, że trzeciego dnia od samego świtu polował bez powodzenia. Puszczone w ostęp psy ani razu nie odezwały się głosem i nikt dnia tego nie spostrzegł nawet małego ptaszka.

— Zaklęta knieja, czy co takiego! — wykrzykiwał Żel gniewny. — Dobrzem się wybrał! Margraf lada chwila przybyć może i ja się będę mu-

siał rumienić, gdy mój dostojny gość nie zazna rozrywki. To go przecież nie usposobi do zawiązania ze mną trwalszego przymierza!...

Gdy się tak książę miotał i zżymał, naraz spostrzegł, iż w kniei opodal przesuwał się dziwny człowiek i jakby uchodził przed obławą. Błyszczał on cały i lśnił się złotem. Niesłychane zjawisko wprawiło Żela w zdumienie.

— Czarnoksiężnik chyba — myślał, — lub może jeden z tych osobliwych apostołów, których w te strony pełno od Rzymu napływa... Ale ktokolwiek jest, złowić go muszę!

I książę róg swój myśliwski do ust przycisnął, zadął weń potężnie. Na to wezwanie przybiegli zaraz rycerze Wartom i Machor, a każdy z nich pytał:

— Panie, co rozkażesz?

— Tam, tam, w kniei — mówił książę, — przebywa jakaś osobliwa zwierzyna... Biegnijcie żwawo, aby za obręb nie wyszła! Osaczcie knieję, psy niechaj tropią; ale strzelać wara! Kto strzałę spuści z cięciwy, głową za to przypłaci...

Zdziwieni mową Żela, obaj rycerze śpieszą wykonać rozkaz, lecz między sobą szepcą:

— Książę oszalał, albo nam Niemcy urządzili jakąś nową sztukę, zadali Żelowi czary.

Tymczasem, zwabieni odgłosem rogu, nadbiegali zziajani i inni myśliwi, a książę ciągle wykrzykiwał:

— Na przód! Dalejże w bór, kto żyw! Źle będzie z wami, jeżeli ujdzie złota zwierzyna!

Nadeszła i córka książęca, Sławka, dziewica niezwykłej urody, która ojcu towarzyszyła zawsze na wojnach i łowach.

— Ojcze mój — rzekła, — widziałam w kniei cud nad cudami, chyba nie człowieka, lecz bóstwo jakieś niezrównanej piękności.

Żel, pobudzony przez słowa córki, tem bardziej jeszcze pałał teraz żądzą pojmania istoty nadzwyczajnej.

— Opowiadają ludzie — mówiła Sławka — o zaczarowanych w tych borach książętach; kto wie, czy odgłosy naszych myśliwskich rogów nie zbudziły jakiego przodka bohatera... A może i jeden z naszych bogów się objawił? Wszakże ziemię klęski niesłychane trapią i tyle wojen przegranych...

— Ktokolwiek on jest, w moją moc popadnie, a jeśli tego godzien, cześć mu należną oddam! — zawołał książę.

Wtem po boru huknęły myśliwskie rogi i zabrzmiały okrzyki: «Tu, tu, do mnie!» Skrajem zaś lasu znowu się przesunął złoty człowiek.

— To on, on, z bóstwa postacią! — mówiła z zachwytem Sławka. — W oczach ma błękit pogodnego nieba, a cały promienie sieje, niby dobroczynne słońce.

Zgiełk myśliwski zbliżał się coraz bardziej, aż wreszcie z kniei wynurzył się cały orszak, a na jego czele kroczył złoty człowiek.

Wszyscy myśliwi stanęli teraz dokoła osobliwego człowieka i odśpiewali pieśń:

Stała się w boru
Rzecz niesłychana:
Pojmali łowcy
Złotego pana.

On się nie zdaje
Czuć bólu, trwogi;
Psy mu pokotem
Padły do nogi.

Kiedyśmy miecze
Z pochew dobyli,
Zdrętwiały ręce
Nam w jednej chwili.

— Któżeś ty jest taki? — zapytał Żel, z uwielbieniem i zachwytem wpatrując się w spokojne i piękne oblicze złotego męża.

— Na świat przyszedłem razem z całą przyrodą i jestem jej pragnieniem, które się nigdy nie urzeczywistnia — odparł zapytany. — Wszystko, co byt ma, czci mię i wielbi, lecz istnieje według innych praw, a nie według tych, które ja stanowię. Bo geniusz wiecznej wojny daje trwanie tworom świata, ja zaś jestem geniuszem pokoju.

— Jesteś więc zażegnaniem tych niezgód, waśni, które ludzkości cierpienia tylko przynoszą i które ona krwią swoją zmywać musi?

Wtedy człowiek złoty zwrócił się do Sławki, podał jej złoty flet i rzekł:

— Dziewico, córo pokoleń lat tysięcy i matko tyluż pokoleń w przyszłości, tobie przystało obwieszczać panowanie pokoju; idź i głoś pieśń czarodziejską!

Sławka z gorączkowym pośpiechem pochwyciła złoty flet, odeszła w bór i wnet rozległa się czarodziejska muzyka, której buki, dęby i sosny zdawały się słuchać. Cały orszak księcia w zdumieniu i zachwycie stał nieporuszony.

Na głos owej melodyi pojawiły się różne zwierzęta. Przybiegł naprzód zając, przyklęknął przed złotym człowiekiem i rzekł w te słowa:

— O, święć się imię twoje, wielki geniuszu! Nikt lepiej nade mnie, srodze prześladowanego i bezbronnego, nie zdoła ocenić twego panowania.

Wnet potem wypadł z krzaków jeleń i zawołał:

— Cześć ci, szlachetny geniuszu! Jakaż to rozkosz nie mieć wrogów, nie drżeć o siebie i o swą rodzinę!

Jeszcze jeleń nie skończył, a już z zarośli lis się wysunął, spoglądając dokoła podejrzliwie.

— Ha, przynajmniej raz w życiu — rzekł — mogę bezkarnie zadrwić z tych oto butnych rycerzy, którzy na zgubę moją noszą przy sobie różne żelazne narzędzia i gromadą psów mię szczują!

— Ja tępię — zawołał wilk ponuro, — ale i mnie przecież nie oszczędzają! Doprawdy, rzadkie to święto dla mnie, wilka, być za pan-brat z ludźmi. Czołem, geniuszu!...

I dzik się zjawił tutaj, a przyklęknąwszy, tak prawił:

— Ach, jakże jestem znużony walką! jakże wzdychałem do tej chwili życia, w której nóż i oszczep raną nie grożą, strzała przeraźliwie nie świszcze i głosy psów zajadłych nie straszą!

Wtem w gąszczach rozległ się mruk przeciągły i ujrzano niedźwiedzia.

Zaszeleściło potężnie coś w górze i w tejże chwili z powietrza spadł potężny król ptaków, orzeł.

— Geniuszu — mówił, — może rozkazy swoje polecisz mi zanieść w najdalsze zakątki świata? Może gdzieś krew lać się jeszcze nie przestała?

Teraz książę i rycerze, zachwyceni melodyą złotego fletu, ale także przerażeni niezwykłym widokiem tylu zwierząt, składających hołd geniuszowi, zaczęli chórem śpiewać:

Rzecz niepojęta:
Wszystkie zwierzęta
Śpieszą na granie.

Niech ta pieśń rzewna,
Tak dziwnie śpiewna,
Już brzmieć przestanie!

Nam wszystkim nogi
Drżą z wielkiej trwogi
Na cuda takie.

Bo co się stanie,
Jeśli to granie
Zwabi tygrysy?

Geniusz uśmiechnął się dobrodusznie, zrobił ręką jakiś znak w powietrzu i muzyka ustała, a niebawem też pojawiła się i księżniczka, jakaś smutna, zadumana.

Wszystkie zwierzęta kręgiem otoczyły złotego geniusza i pieśń ich się rozległa:

Wola geniusza jest święta —
Przyzwała dziś zwierzęta
Pomiędzy wrogich im ludzi.

Więc silny, słaby,
Zdrowy, czy chory,
Opuszcza nory.

Zając się lisa nie lęka,
Jeleń przy wilku przyklęka,
A wszyscy chcemy nieść
Tobie, geniuszu, cześć!

Odśpiewawszy pieśń tę, zwierzęta pierzchnęły w knieję.

— Geniuszu — odezwał się Żel, — jesteś tak potężny, że ci się od nas cześć bożka należy! Przecież mogłeś tym zwierzętom rozkazać, aby nas rozszarpały, a nie uczyniłeś tego, więc i dobroć twoja do czci nas skłania...

— Nie, Żelu! — rzecze geniusz — wojna, przelew krwi, są to dzieła zarządu innego ducha; ja tylko sprawami pokoju władam... Dobrym zwać możemy tego, kto i złym być umie.

A Żel mu na to:

— Pozostań w mojej ziemi, my obaj uszczęśliwimy ludzkość!

— Nie rzeczywistość żadna, lecz niedościgłe pragnienia stanowią szczęście.

— Zbuduję ci świątynię.

— I potem ją zburzysz.

— Klnę się na wszystkie świętości świata, że przez pokój panować pragnę, a ty posiadasz moc, ażeby mi w dziele takiem pomódz.

— Wyłącznie jednemu tylko geniuszowi nikt na ziemi nie ulega. Przypatrz się, Żelu, biegowi świata i stamtąd czerp swą ziemską mądrość!

— Och, błagam cię, zostań pomiędzy nami! Gdybyś w duszę moją zajrzał, spostrzegłbyś, iż w niej, niby piękny kwiat, rozwija się pragnienie szczęścia ludzi.

— Pragnienie, marzenie jest piękne i nic więcej. Ja sam niczego nie pragnę, tylko jestem pragnieniem i marzeniem. Świat ten dlatego istnieje, że ja całe długie wieki przesypiam. Patrz, na krótką chwilę stałem się rzeczywistością i oto, gdy ja czuwam, życie całego świata zamiera.

Wtedy Żel zwrócił się do orszaku swoich rycerzy i zawołał:

— Dalejże, wsiadajcie na koń! Pędźcie co żywo, sproście tu panów, sąsiadów moich, a głównie margrafa, abyśmy wobec dobrego geniusza spożyli wspólnie ucztę pokoju!

Porwali się natychmiast rycerze na rozkaz pana, dosiedli rączych rumaków, pod kopytami których wnet zatętniła ziemia.

Tymczasem złoty geniusz tak jeszcze przemawiał do księcia:

— Na świecie każdy pożąda coraz więcej, każdy pragnie czego innego; stąd nieustanna sprzeczność pragnień, stąd niemożliwość ciągłego pokoju, stąd nieszczęście i pogoń za szczęściem. Bo pomyśl tylko, żeś swe pragnienie zaspokoił, marzenia ziścił, to cóż warta twa dusza, która już pragnień i marzeń nie ma?

II.

Książę Żel o niczem już teraz nie myślał, jeno o zaprowadzeniu na ziemi królestwa pokoju. Tam, w kniei, gdzie się był geniusz naprzód zjawił, książę zamierzył wznieść ołtarz pokoju; więc niebawem spędzono licznych robotników i zgromadzono moc kamieni. Sam Żel był niezmiernie czynny i dozorował przy tej pracy, a ciągle starał się o to, aby okazywać dobroć i łagodność względem robotników. Zapominał się jednak częstokroć, wpadał w gniew, łajał.

— Hej, ośle jakiś, co warta praca twoja?!— wołał.

Lecz nagle przypominał sobie, że założycielowi królestwa pokoju nie wypada unosić się gniewem. Hamował przeto wybuch i przemawiał łagodniej:

— Mości robotniku, bądź tak dobry i układaj kamienie jak należy!

Sam przytem brał się do pracy i dawał przykład z siebie.

Robotnicy dziwili się tej zmianie w popędliwym księciu, szepcąc między sobą, że w każdym innym razie niejeden z nich jużby był odebrał kije, lub nawet stracił życie.

Gdy się to działo, nadszedł właśnie Miklos, książęcy błazen, którego od rana nikt jeszcze w orszaku Żela nie widział. Ziewając i przeciągając się, stanął on opodal i patrzył.

— Wyspałem się za wszystkie czasy! — mówił sam do siebie. — Dla błaznów niema chwil szczęśliwszych, jak wojna i łowy... Panowie mają wtedy dużo zajęcia, gniewa ich każdy wybryk wesołości, a przeto błazny mogą spokojnie jeść, pić, spać, romansować. Pokój... przeklęta rzecz!

Mówiąc to, Miklos spostrzegł naraz złotego geniusza, patrzył nań przez jakiś czas ze zdziwieniem, potem się zbliżył i rzecze:

— A to znowu ki dyabeł ten żółty trznadel?... Ho, ho! Budują coś i sam Żel uwija się niepo-

spolicie. Dałbym głowę, że na dwór nasz dostało się jakieś nowe głupstwo..

I z temi słowy błazen oddał ukłon geniuszowi.

— Upadam do nóg panu dobrodziejowi! Kłaniam uniżenie! Jestem błazen Miklos i nadzwyczajnie lubię przyjmować podarunki.

Atoli geniusza otaczała straż honorowa i jeden z żołnierzy odpędził błazna, grożąc mu mieczem. Miklos zbliżył się do księcia i tak mówił:

— Jak widzę, zrobiłeś, Żelu, dzisiaj dobry interes na polowaniu.

— O czem mówisz? — zapytał książę z dobrocią.

— A no, fundusze twoje widocznie się poprawiły! Toć takiego złotego cielaka dosyć oddać naszemu podskarbiemu, a on, chociaż część ukradnie, z reszty jednak każe narobić pieniędzy i będziesz miał za co wydać wojnę Niemcom, którzy cię już dobrze wystrzępili...

— Precz z myślą wojny! — zawołał uroczyście Żel. — Wiedz, iż w granicach mego kraju od dzisiaj będzie panował pokój! Właśnie oto wznosimy ołtarz dla bóstwa pokoju.

— Pi, pi, pi! Toż niezawodnie wyprawisz swym dworzanom kilka, z rzędu bibek? Arcywyśmienicie! No, ale cóż będą robili rycerze w czasie tego pokoju? Błaznów chyba z nich nie porobisz, bo są na to za głupi.

— Nie będą oni rycerzami wojny, lecz rycerzami pokoju, zapewniającymi ludzkości szczęście.

— Bagatela! Rycerze, zapewniający szczęście ludzkości! Brzmi to zupełnie tak samo, jak mróz sprawiający upały, śmierć obdarzająca życiem, błazen pobudzający do płaczu. Żelu, mój panie, mam nadzieję, że wskutek twego pokojowego nastroju różni urzędnicy naszego dworu podadzą się do dymisyi.

— Którzyż to mianowicie?

— Ci wszyscy, którzy właśnie podczas wojny jużto używają pokoju, już nabijają sobie groszem kabzy.

— Nadaremnie usiłujesz gniew we mnie wzbudzić; nie uda ci się to dzisiaj.

— Ee, co się tyczy obudzenia twego gniewu, zostawiam to Niemcom! A mam jakieś przeczucie, że ci niedługo dobrze na kark wsiądą.

— Uczynię wszystko, co tylko można, bylebym uniknął wojny.

— A z tego wyniknie jeden rezultat niezawodny.

— Jakiż to?

— Dotychczas mawiano o tobie: «książę Żel człowiek dobry jak gołąb,» potem powiedzą: «głupi, jak baran.»

Zaczerwienił się Żel i skinął na jednego z żołnierzy, jak gdyby miał zamiar skarcić błazna; wnet jednak powstrzymał swe uniesienie i rzekł:

— Za to rozwolnienie języka powinienbym cię surowo ukarać, co najmniej skazać na spo-

kojne przepędzenie życia w jednym z podziemnych zamkowych lochów.

— Rozumiem! Szczęście ludzkości polega na tem, ażeby człowiek od człowieka był oddzielony, to jest, aby każdy miał swój własny pokój!... To się nazywa panowanie królestwa pokoju.

— Milcz, błaźnie! — krzyknął Żel popędliwie.

W tejże chwili żołnierz, stojący obok, wydobył miecz z pochwy i zamierzył się na błazna, ale Miklos odskoczył, a żołnierzowi pokazał język, mówiąc:

— Przypatrz się, drabie, jak wygląda prawdziwie ostry oręż!... Zraniłem nim oto księcia Żela i tak dotkliwie, że gotów zrzec się swojej wielkiej myśli uszczęśliwienia ludzkości.

A potem zwrócił się do księcia z temi słowy:

— Żelu, każ mi uciąć głowę! Będę tryumfował, ponieważ ludzie po mojej śmierci powiedzą: «sławny błazen Miklos wybił Żelowi z głowy ćwieka, to jest nauczył go mądrości...» Czyż błazen może piękniej umrzeć?

— Schowaj miecz! — krzyknął książę na żołnierza i z dumą się oddalił.

Ale Miklos szedł za nim zdala wolnym krokiem, a cichym głosem mówił:

— Oj, głupi Żelu! Nie chcesz, ażeby błaźni drżeli przed tobą? Więc się będą z ciebie naśmiewali.

Sławka tymczasem na dobre zakochała się w złotym geniuszu; o nim tylko myślała, on jeden

zdawał się całą jej istność napełniać. Właśnie na łowy przybył nowy poczet rycerzy, a w gronie ich Miła, dorodna córa jednego z wasalów księcia Żela i przyjaciółka Sławki. Kiedy obie te zachwycające dziewice rzuciły się jedna drugiej w objęcia, rzekłbyś, iż lilia z różą splotły się w uścisku.

— Jakże tu u was dobrze w tej wiekowej dąbrowie! — zawołała Miła, odgarniając krucze pukle włosów, które z pod rycerskiego hełmu spadały jej na czoło. — Zaledwiem tu przybyła, czuję w sobie dziwny urok życia, jakiś nieopisany spokój napełnia mą duszę. Rycerze są jacyś dobrzy i wszędzie się rozlegają pieśni miłosne.

W odpowiedzi na to oczy księżniczki Sławki, podobne do szafiru pogodnego nieba, zapałały niezwykłym blaskiem, a ona zdjęła z szyi bogaty naszyjnik z pereł, korali, bursztynu, złota i ubrała nim przyjaciółkę.

— Przyjmij to, droga Miło — rzekła, — jako pamiątkę przeobrażenia się stosunków świata. I dla mnie nastała zupełnie nowa era życia. W łonie swem poczułam miłość, która nie gaśnie, która niewiastę czyni posłanniczką niebios na ziemi. Bo widzisz, Miło, ta zwyczajna miłość, którą mężczyzna kobiecie daje, to mało; ona się kończy, więdnieje, woń traci... Potrzeba czuć w sobie nieśmiertelne pragnienie, które się z pokolenia w pokolenie przeszczepia.

— Nie pojmuję ja jasno tego, co mówisz, Sławko; ale słowa twe mają dźwięk jakiś czaro-

dziejski i w duszy mojej brzmią jakby echa wieszczeń naszych kapłanów. Dziś jestem inną, nie tą zwykłą Miłą...

— A powiedz mi, czyś ty kiedy kochała? — rzekła tajemniczo księżniczka, chwytając rękę Miły.

— Czym ja kochała? Och, miłością tylko żyję dla jednego z rycerzy, który tajemniczo zjawił się kiedyś na turniejach w zamku twojego ojca! Ubrany w czarną zbroję, na swoim dzikim, wronym biegunie, wyglądał jak sam bóg wojny. I nikt, nikt, ani z naszych, ani z obcych rycerzy, nie mógł go pokonać. Szalony wicher, kiedy się burzą zerwie i z korzeniami wiekowe dęby wyrywa; morze, gdy się górami fal piętrzy i, rycząc groźnie, w opoki granitu niemi wali, nie są tak wspaniale potężne, jak ten mój rycerz-kochanek... Sławko, czy ty pamiętasz, że on przede mną zgiął kolano i z moich rąk przyjął nagrodę zwycięstwa?... Potem zniknął i odtąd w snach, na jawie, tęsknię do niego.

— Teraz, Miło, ja ci opowiem, jakim jest mój rycerz, raczej bóstwo moje. Z jego oczu promienieje dobroć; blask taki piękniej niż słońce oświeca ziemię. On ma czoło pogodniejsze, jaśniejsze, aniżeli którybądź z największych bohaterów świata. Gdzieżby mu kto na świecie sprostać zdołał? Cicha i rzewna jak łzy pieśń jego fletu uśmierza wrzące namiętności wojowników i zagłusza dzikie dźwięki trąb wojennych. On

sprawia, że rolnik spokojnie orze niwę i ziarno jej powierza; rycerze stają się obrońcami słabych, pocieszają cierpiących i śpieszą tam tylko, gdzie pokój zwiastować trzeba. I za tryumfy swoje, za zwycięstwo on nie przyjął żadnej nagrody, lecz mnie, słabéj kobiecie, powierzył swój złoty flet czarodziejski, którego pieśń wszelką burzę zażegnywa i świat błogosławieństwy darzy.

— Któż to jest taki, coby, jak mówisz, pieśnią fletu zdołał rozbroić mojego bohatera?... Zawsze sądziłam, że sławny rycerz Wartom, hetmanem rycerzy zwany, jest godny uczuć twoich; ale w walce i on przecież uległ przed męstwem mego rycerza.

— Nie, Miło, nie ku Wartomowi zwraca się moja istność!

— To, co mi zwierzasz, jest dla mnie niespodzianką... W miłości twej, podobnie jak w mojej, tkwi widać tajemnica.

— Wiesz ty, co to jest geniusz? — zapytała księżniczka, wpatrując się w oczy przyjaciółki.

— Domyślam się, że to musi być imię jakiegoś mężczyzny, bo przecież kobieta tylko mężczyznę może pokochać. Ale zaprawdę, geniusz jest to imię niezwykłe.

— Geniusz, moja Miło, jest istotą nadziemską, która tobie daje uczucie miłości dla twego rycerza, a sercu rycerza każe bić dla ciebie. Widzisz, mój geniusz szczęściem darzy wszystkich ludzi; pod jego wpływem kwiaty dyszą cudowną

wonią, ptaki zawodzą urocze pieśni. Pomyśl, że ilekroć człowiek spotka człowieka, a szczerze sobie podadzą dłonie i szczerze sercami wiążą się z sobą, tam jest zwycięstwo mojego geniusza!

— Ale czy on może być mężem, czy kobieta może być jego żoną?

— Więcej, aniżeli być żoną, znaczy być wiecznie kochanką!

— I po cóż być narzeczoną, po co kochanką, jeśli się żoną nie zostanie? Cóż warta taka nieurzeczywistniona miłość?

— Kto ślubuje bogom, ten ponad ziemię musi wznieść głowę.

Na tę rozmowę dwóch przyjaciółek nadszedł Żel, obok którego kroczył błazen Miklos. Sławka była wzruszona i rzuciła się natychmiast w objęcia ojca; Miklos zaś, strojąc dziwne miny, zaczął się umizgać do Miły i chciał ją nawet uścisnąć. Ale energiczna przyjaciółka księżniczki naprzód odtrąciła błazna tak silnie, iż padł wznak na murawę, a potem ze śmiechem pustym podeszła ku niemu, podniosła go z upadku i, całując w głowę, rzekła:

— Mój geniuszu-błaźnie!

Roztargniony książę zdawał się nie widzieć córki i jej towarzyszki, ale w zadumie jakiejś mówił sam do siebie:

— Wieczny pokój, wieczne szczęście ludzi... wielka myśl! Tylko dzieła pokoju zostają po nas na świecie! Ale margrafa nie widać, a bez niego

ustalenie pokoju jest niemożliwe, bo on wojną kipi cały.

— Zabij go i wytnij co do nogi jego gawiedź, a przez całe życie będziesz używał spokoju! — zawołał błazen.

— Sławko — odezwał się Żel, — muszę jechać na spotkanie margrafa; ale gość najcenniejszy dla mojego serca zostaje tutaj: zastąp mię, bądź gościnną i uprzejmą gospodynią!

— A któż to jest, mój ojcze, ten gość najcenniejszy dla ciebie?

— Jakto, nie wiesz? Złoty geniusz!

— Żelu — rzekł błazen, — tyś się w czepku urodził, ale jesteś niedołęga! Kiedyś tam jakiś książę o mało karku nie skręcił, wyprawiwszy się po złote runo, a ty barana złotego masz we własnym domu. Inni książęta greccy musieli płynąć aż pod Troję, aby tam wytłuc różnych margrafów trojańskich, a potem spalić i zburzyć miasto; do ciebie margraf sam przyjeżdża, a ty się troszczysz o to jedno, aby z nim zawrzeć przymierze.... Psu na buty się nie zda!...

— Ojcze, co mi rozkazujesz czynić, abym była uprzejmą dla złotego geniusza? — spytała księżniczka.

— On powiada, że niedługo zaśnie i będzie spał przez lat tysiąc, aby nie przeszkadzać srożącym się wojnom i pożogom; powiada, że po tysiącu lat snu znowu się zbudzi na krótką chwilę, ażeby czuwać tylko od wschodu do drugiego

wschodu słońca. Sławko, ja jestem w obawie, aby geniusz nie zasnął przed przybyciem margrafa, z którym chcę zawrzeć przymierze wiecznego pokoju.

— Jeżeli chodzi o porządne wystrzyżenie złotego runa na baranie, Żel dobrze robi, iż powierza dzieło takie delikatnym, drobnym i bieluchnym rączkom swej córki... Ale co się tyczy przymierza z margrafem, zawarcia z nim pokoju, na to jest jeden tylko sposób: wypraw go na tamten świat, i koniec. — Tak mówił Miklos, zwracając się do Miły.

— Córko, dołóż starań, aby geniusz nie zasnął! — rzekł książę, składając pożegnalny pocałunek na czole Sławki. — Opowiadaj mu piękne baśni stare, cudowne!

— Eh, przy pięknej kobiecie i największy bałwan nie zaśnie! — zawołał Miklos. — Gdyby tak mnie Żel polecił zabawiać tego złotego bałwana, dołożyłbym wszelkich usiłowań, aby go uśpić i ściągnąć z niego złote łachy...

Miła, którą niecierpliwiła mowa błazna, dobyła miecza i płazem kilkakrotnie uderzyła gadułę.

— Głupota ma dwa rodzaje — rzekł Miklos: — męski, jeżeli bogowie uposażyli w nią mężczyznę, i żeński. Ale rozum należy tylko do rodzaju męskiego.

III.

Słońce zaszło i ponure mroki zalegały w boru. Rozpalono sute ogniska, a oświetlona ich blaskiem przesuwała się rojnie książęca czeladź, uzbrojona w błyszczące topory, dzidy i łuki. Tu i owdzie odzywała się pieśń, lub gwar licznych głosów ludzkich leciał w milczącą knieję.

W samym rogu obszernej polanki stał świeżo zbudowany ołtarz, a dokoła niego kilka namiotów, otoczonych przez straże książęce. Przed jednym takim namiotem siedział złoty geniusz, a obok niego księżniczka Sławka; oboje oddawali się rozmowie.

— Geniuszu — mówiła dziewica, — najwyższa wdzięczność należy ci się od świata za szczęście, którem go darzysz.

— Szczęście i wdzięczność są znikome, dowierzać im nie można. Wnet tu przyleci inny geniusz, zapali pochodnię wojny, przedstawi nowe widoki, zbudzi odmienne życie; świat mu będzie hołdował, a wtedy szczęście i wdzięczność znajdą się na innych torach.

— Przedłuż czuwanie swoje dla dobra biednych stworzeń ziemskich!

— Nie mogę! Wojna jest prawem wyższem, aniżeli pokój. Kiedyś, w przyszłości, za wiele tysięcy lat, kiedy spracowany geniusz zniszczenia ukończy wszystkie swoje zadania, wtedy na rui-

nach bytu, na mogile życia, ja zatknę swój sztandar. Będę panował sam jeden, mając obok siebie wiekuiste milczenie grobów.

— A teraz cóż nam zostawisz po sobie?

— Nieukojoną tęsknotę za tem, czego nie znacie. Będziecie się wili w cierpieniach, a całem waszem szczęściem będzie złudzenie, że inaczej na świecie być może.

— Smutna obietnica!

— Kto żyje, musi kochać i czcić; kto kocha i czci, ten musi cierpieć. W jakikolwiek sposób zwiększają się cierpienia, zawsze przez to podnosi się stopień pragnienia szczęścia. Życie jest tylko ofiarą jakiejś miłości.

Oni sobie tak rozmawiają, a tu znienacka nadchodzi Miklos, który się wszędzie wałęsał i patrzał, jak co jest.

— Ho, ho! — zawołał — miłość tu aż pachnie... Księżniczka nasza wygląda jak słonecznik, wpatrzony w słońce. Oczka w robocie! Och, piękne niewieście oczka potrafią zmiękczyć na wosk każde serce!... Jednakże — mówił, nachylając się do ucha dziewicy, — kiedy ci przyjdzie już ostatecznie obcinać poły tej złotej kapoty, radzę dobrać sobie do pomocy jakiego doświadczonego człowieka. Wogóle należałoby się przedtem przekonać, czy to jest czyste złoto... Dziś nikomu wierzyć nie można!... A powiedz mi, Sławko, kto jest właściwie ten kapiący złotem jegomość?

— Geniusz! — odrzekła z niechęcią księżniczka.

— Phi, co za tytuł! Lada gęślarz, przybłęda nadawszy się, z pompą mówi o sobie: «jestem geniusz!» Zresztą stopień mojego szacunku jest zależny od jego stałych dochodów. Bo jeśli on na przykład złoto robi...

— Wiedz, błaźnie, że jego dzieła są stokroć droższe od złota!

— Czołem przed złotem, czołem! Ja, dalibóg, nie jestem żaden wartogłów, idę zawsze za głosem ogółu.

Ale złoty geniusz wcale nie zwrócił uwagi na pokłony błazna.

— Ma mię za ba-i-bardzo — mruczał pod nosem Miklos, — nawet nie raczy na mnie spojrzeć! Jednakże zdaje mi się, że Sławka źle bawi gościa, bo on tak wygląda, jak gdyby mu się spać chciało...

Nadeszła straż i Miklosa odpędzono.

Już teraz grube ciemności nocy się rozpostarły; niektóre ogniska gasły, do innych dorzucano świeżych drew i te buchały płomieniami. Jak duchy, przechodziły tu i owdzie ludzkie postaci. Z poza krzaków wychyliła się niekiedy głowa człowieka, a w niej świeciła para ciekawych oczu. I gwiazdy na niebie migotały nieustannie, spoglądając ku ziemi, niby oczy niebios. Czasem w oddaleniu pies łowczy zaskomlił, koń zarżał, lub człowiek ziewnął.

Tak noc schodziła w kniei.

A oto złoty geniusz, jakby do snu, złożył swą głowę na kolanach księżniczki i wsłuchiwał się w baśń jakąś, którą mu ona swym dźwięcznym głosem opowiadała.

— Cóż dalej? — pytał.

— Więc ta królewna — prawiła Sławka, — zamieniona w węża, obwinęła się koło niego i tak poszli oboje na wschód słońca, bo on koniecznie na słońce chciał się dostać...

— Cudowne marzenie, prześliczna bajka! Gdyby nie geniusz pokoju, nic podobnego nie zjawiłoby się na ziemi — rzekł złoty geniusz, ziewając. — Cóż dalej?...

— Zaszli oboje pod wielką i stromą górę, od której z daleka biła nadzwyczajna jasność. Człowiek nigdyby nie zdołał wedrzeć się na szczyt po takiej stromości; więc dopiero przemieniona w węża królewna wbiegła na ową górę i znalazła tam dwa skrzydlate konie. Czemprędzej jednego z nich dosiadła; koń sfrunął na dół, a drugi skrzydlaty za nią poleciał. Mieli już teraz pod sobą konie i na ich skrzydłach mogli lecieć do słońca...

— Lecieć do słońca... to szczyt pragnień! Nigdy wyobraźnia nie stworzyła większego arcydzieła... Jakże rozkosznie zasypiać z takiem marzeniem! — Mówiąc to, geniusz ziewnął po dwakroć, a potem dodał: — Spójrz na niebo i powiedz mi, czy daleko jeszcze do wschodu słońca?

— Już świta! Tam daleko, poza czarnymi borami, bieleją niebiosa. Już się wynurza łuna promieni słońca, które wnet zagore nad ziemią i pocznie ją smagać biczami swymi. O, bodaj się nigdy ta spokojna noc nie skończyła! Bodaj się błękit nieba nigdy pożarem słońca nie zakrwawił! Bodaj wiecznie tylko promienie gwiazd przyświecały!... Widzę oczyma duszy, jak leci do nas straszny duch wojny; ziemia się wkrótce krwią ludzką zarumieni, głosy przekleństw, rozpaczy i trwogi napełnią powietrze.

— A potem złote marzenia, złote baśni jeszcze piękniejsze będą. Pamiętaj, abyś je budziła i wtedy, gdy mordy, pożogi zaleją ziemię... Świat bowiem musi mieć czem ocierać łzy swoje i goić rany! Powierzam ci flet, z którego miliony pieśni wydobędzie serce miłości pełne... Ja w wieńcu, uwitym z marzeń świata, zasypiam na tysiącolecie.

Powiedziawszy te słowa, geniusz zasnął.

Księżniczka pochyliła swą głowę i ustami dotknęła czoła geniusza, które było zimne jak marmur.

— Wielkiemi zadaniami zapłodniła się dusza moja — mówiła Sławka; — czuję się być oto namaszczoną kapłanką czci wielkiego bóstwa pokoju.

Aż tu naraz zagrzmiały kopyta końskie i w pełnym cwale wpadł z hufcem rycerzy Wartom.

— Hej! — krzyczał — kto żyw, niech do szeregu staje! Z oszczepów, z dzid utwórzcie szpaler!... Żel jedzie, a z nim jego goście!

Ale rozespani żołnierze zaledwie się poruszali, więc Wartom pochwycił za bary najbliższego pod ręką i, potrząsając nim silnie, wołał z wściekłością:

— Niezdaro, gapiu! cóż to, rozkazów moich nie słyszysz? Gdzie jest wasz setnik, dziesiętnik?.. Łotry przeklęte!... wszyscy drzemią! Na pal was każę wbijać, skóry z was zwlokę i będę darł w pasy!

— Książę Żel ogłaszał nam panowanie szczęścia i pokoju, a Wartom bije, popycha, grozi! — pomrukiwali żołnierze.

— Prędzej się zwijać, hołoto, bo mieczem łby popłatam! — krzyczał znów Wartom, biegając z obnażonym mieczem, a potem róg wojenny do ust przyłożył i głosem jego zwoływał zbrojnych.

Sławka z niechęcią spoglądała na to, co się dzieje; przebiegała między szeregami i pocieszała tych, którzy za surową karę otrzymali.

Złoty geniusz już zasypiał, nie miał kto burzy gniewu zażegnać. Dźwięki wojennego rogu zdawały się światu przypominać zarząd innego porządku rzeczy. Słońce z za lasów krwawo weszło, zapowiadając niejako, że każdy wczorajszy dzień, każda wczorajsza noc, nie są rzeczywistością, lecz złudzeniami prawie.

Ale na błazna wszystko to, co zaszło, nie miało najmniejszego wpływu. Przechadzał on się uśmiechnięty i z miną drwiącą, a szydził z każdego, kogo napotkał. I teraz, widząc, iż Wartom rozbija żołnierzy, Miklos podszedł do rycerza z temi słowy:

— Za pozwoleniem! Jak widzę, waszmość Wartom za dużo sobie pozwalasz. Książę Żel, choć mocarz nielada, wczoraj po południu ściskał się serdecznie i całował ze mną, jako też z tymi wojakami, których ty rozbijasz i rzucasz nimi tak, jakby to były zgniłe gruszki.

— A ty próżniaku, urwisie! — wrzasnął Wartom, oburzony w najwyższym stopniu, i dobył miecza, którym porządnie wypłazował Miklosa.

— Pamiętajcie mi krzyczeć na całe gardło: «niech żyje Żel, niech żyje margraf Drako, niech żyje pokój!» — komenderował Wartom.

— A ja wam powiadam: krzyczcie: «niech żyje mydło!» — zawołał błazen, lecz czemprędzej zemknął w krzaki.

Jakoż wkrótce ukazał się poczet rycerzy, a na jego czele Żel i margraf Darko.

— Niech żyje Żel, niech żyje margraf Drako, niech żyje pokój! — krzyczeli na cały głos Pomorzanie.

Skoro zaś krzyk ten przebrzmiał, Miklos wyskoczył nagle z krzaków i wrzasnął:

— Niech żyje mydło!

Porwał się zaraz Wartom i strasznie groźny biegł, aby skarcić błazna, ale ten uszedł natychmiast w gąszcze.

Szedł teraz książę Żel z całym orszakiem ku miejscu, gdzie we śnie spoczywał złoty geniusz. Widok uśpionego ducha pokoju przeraził księcia.

Ale margrafa zachwycił widok posągu człowieka, ulanego z czystego złota; dotykał on go ręką, usiłował podźwignąć z ziemi i oczu nie mógł od tej bryły złota oderwać. Był zaś w orszaku Drakona rycerz w czarnej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, nazwiskiem Cebo. Ten posunął się do margrafa i ponurym głosem szeptał mu na ucho:

— Poganin Żel chce cię olśnić bogactwy swemi; czyż ty ścierpisz chełpliwość pyszałka? Alboż może być lepszy powód do wypowiedzenia wojny? Czyste złoto zawsze jest godne walki, a nad tę bryłę w żadnych skarbcach świata piękniejszej nie znajdziesz.

— Żelu, ile może ważyć ten wspaniały posąg? — zapytał margraf.

— Spróbujcie, dostojny panie, zważyć go na siłę chłopa! — mówił książę z przechwałką.

Wówczas margraf, który żelazo w rękach umiał kruszyć, podsadził się potężnemi barami; ale go siła zawiodła. Próbowali dźwignąć samowtór z Żelem; później innych jeszcze do pomocy

przyzwali — wszystko nadaremnie. Zjawił się na to Miklos i rzekł:

— Wieczni wrogowie, nie bądźcie szaleni, gdyż nie udźwigniecie pokoju! Brzemię wojny o wiele lżejsze jest dla was...

— Machorze! — zawołał Żel. — Jesteś siłaczem nielada, a oprócz ciebie są w hufcach moich inni, którzy w pojedynku z niedźwiedziem idą o lepsze. Zabierzcie się żwawo i złoty posąg geniusza pokoju postawcie na ołtarzu!

Jednakże i rycerz Machor z siłaczami nic nie wskórali.

— I cóż ty na to, Cebonie? — powiada margraf do czarnego rycerza, który postacią swoją przypominał bajecznych olbrzymów. — Przyłóż swą rękę, a posąg ruszymy z miejsca!

— Wojna nie wznosi posągów pokoju, ale je niszczy i zabiera! — odparł ponuro rycerz Cebo.

Gdy wszelkie usiłowania spełzły na niczem, wtedy margraf odezwał się do Żela:

— Jesteśmy oto znużeni całonocnem czuwaniem; każ ucztę zastawić, a skoro pokrzepimy siły dobrym posiłkiem i wywczasem, wtedy, jak myślę, o drugie tyle będziemy mocniejsi.

Natychmiast więc książę wydał rozkaz, aby przygotowano ucztę, a potem prowadził gości do stołów, gdzie na wielkich misach pachniały pieczone mięsiwa i stały dzbany, pełne napojów.

Zasiedli rycerze wkoło, smaczne kąski w palce brali: jedli i pili, jak na rycerzy przystało. Szybko

sprzątano pokarmy, wypróżniano dzbany; więc nowe zapasy przybywały na stoły nieustannie. Żel pił za zdrowie margrafa, margraf za zdrowie Żela, i wypito dużo za pomyślność przyjaźni, zgody, pokoju.

Atoli ucztę zakłócił zgiełk niezwykły.

W rogu polanki, gdzie leżał złoty geniusz w śnie pogrążony, zjawił się tłum chłopów księcia Żela. Ubrani w szare sukmany, otoczyli oni złoty posąg, patrzyli nań z ciekawością; niektórzy oddawali mu pokłony, z czcią padając na ziemię.

— Wartomie, idź-no i wybadaj tych obdartusów; dowiedz się, czego oni chcą tutaj w tak uroczystej chwili? — rzekł książę, spostrzegłszy tłum chłopów.

Porwał się rycerz od stołu, podbiegł do gromady i pyta:

— Po coście tutaj przybyli? Kto wy jesteście?

Wystąpił z tłumu jakiś, i czapką skłaniając się rycerzowi do kolan, tak prawił:

— Myśmy księcia Żela; on dobry pan nasz. W całej okolicy różni głoszą, że w tym lesie jakieś osobliwe rzeczy się dzieją. Podobno złote bóstwo się objawiło, podobno książę łaskami obsypuje ludzi, chłopów z panami równa. Więc przychodzimy gromadą zobaczyć, jak jest, a one łaski książęce odebrać.

Powrócił Wartom do księcia i przedstawił to wszystko, co chłopi opowiedzieli.

— Szepnij Żelowi, aby kazał rozpędzić tę gromadę wyjących wilków! — powiedział na ucho Cebo do margrafa.

— Ta poufałość do ciebie twoich poddanych, Żelu, zatruwa ucztę — rzekł margraf.

— Każ-że mi natychmiast wygnać stąd na cztery wiatry tę hołotę! — krzyknął Żel, zwracając się do Wartoma, a w duchu sobie dodał: — Niemiec mi psuje robotę uszczęśliwienia ludzi; ale trudno...

Wartom znowu wpadł między chłopstwo i w uniesieniu gniewu wołał:

— Precz stąd czemprędzej, trutnie!... Precz, bo wieszać każę!

— Aha, widzicie, to łaski! — szemrali chłopi na wszystkie strony.

Przyzwani przez Wartoma zbrojni poczęli okładać chłopów i wypędzać.

Uchodząca rzesza napełniła knieję straszliwym wrzaskiem i złowrogiemi odgróżkami. Niektórzy chłopi odwracali się i, miotając przekleństwa, pokazywali z daleka zaciśnięte pięści.

— Szkoda, że ich lepiej jeszcze nie oćwiczono! — mruknął Cebo, uśmiechając się złośliwie; nachyliwszy się zaś do ucha margrafa, prawił: — Bóg sam daje ci sprzymierzeńca w wojnie przeciw Żelowi... To chłopstwo zawiedzione, niezadowolone, wkrótce podniesie bunt, twoim zaś obowiązkiem jest skorzystać z tego...

IV.

Różni rycerze już sobie dobrze podjedli i podpili, więc wchodzili do namiotów z gałęzi i kładli się na spoczynek, podczas gdy inni przy dzbanie prowadzili jeszcze rozmowę. Wtem siedzący zdala na uboczu Miklos zawołał:

— Patrzcie-no, patrzcie, duda idzie!

Rycerze podnieśli oczy i ujrzeli kroczącego zwolna po leśnej ścieżce gęślarza. Błazen biegł zaraz naprzeciw idącemu i mówił:

— Dobrze, żeś tu przyszedł, rzępoło! Będę miał przynajmniej odpowiednie towarzystwo, bo dotychczas nie było tu z kim wypić.

I wziął gęślarza pod rękę, prowadził go przed dostojnych biesiadników.

Było już dobrze po południu. Pijany margraf kipiał nad stołem, a Żel przystawiał mu coraz to nowe dzbany z winem i zachęcał do picia.

— W sam raz przychodzisz, gęślarzu! — zawołał książę. — Podać mu wina!... Siadaj, pij, śpiewaj!

Tyle powiedział Żel i z nóg się zwalił; padł na ziemię prawie przy stopach Drakona, gdzie też zasnął twardo: wino go zmogło.

— Bodajeś się do jutra wieczora nie zbudził, pijanico! — powiedział Cebo; poczem wziął margrafa pod rękę i, rozmawiając z nim coś po cichu, wprowadził go do namiotu.

Kiedy pachołek podał gęślarzowi czarę z winem, przy stole siedziało tylko pięciu niedobitków, a i ci zaledwie mogli używać swych języków. Gęślarz, wypiwszy swoje, uderzył w gęśl.

— Śpiewaj tak, aby i ta reszta pijaków zasnęła! Sami we dwóch lepiej się zabawimy — szepnął gęślarzowi Miklos.

— Ty mię nie ucz, znam się na takich sprawach, i gdy zechcę, pieśń moja działa skuteczniej, niż sok makowy — odrzekł gęślarz i niezwłocznie śpiewać zaczął.

— Dajże już pokój! — rzekł błazen po chwili, odbierając gęśl śpiewakowi. — Ostatni przecie padł pod stół i chrapie: nikt cię nie słucha... Ba, oni sami teraz zamienili się na bardów: sapią, gwiżdżą nozdrzami, chrapią. Sprzątnijmy sobie oto ze stołu nieco napitków, ile tyle pieczonego mięsa i spożyjmy to na boczku... Szczerze ci powiem, że przy dźwiękach twojej zachwycającej pieśni można nawet na czczo zasnąć, a i to lepsze jeszcze, niż jej słuchać.

— Nie myśl, że człowiek w moim wieku pali się bardziej do śpiewania, niż do dzbana! — mówił gęślarz.

— Dosyć spojrzeć na barwę twego nosa, aby uwierzyć w to, co mówisz.

— Mój nos... nic osobliwego: jest on siny, gdym trzeźwy; staje się purpurowym, kiedy piję; a przybiera barwę fiołka nazajutrz po przepiciu.

— Są to właśnie barwy Żela, więc się strzeż, aby cię kiedy nie powieszono na baszcie naszego zamku zamiast chorągwi.

Mówiąc to, Miklos uprzątał ze stołu misy z mięsiwem i dzbany z napojami, a wszystko przenosił w krzaki, aby tam we dwóch mogli niewidzialni ucztować.

Otóż zasiedli samowtór i pokrzepiali siły, pozwalając sobie niekiedy czynić ucieszne spostrzeżenia co do chrapiących opodal rycerzy.

— Spróbuj schabu! — wołał Miklos. — Wyborny przysmak: przygotowali go wyłącznie dla margrafa; a jakie wino pijasz: węgierskie, reńskie, czy cypryjskie?

— Kochanku, przy mięsie ja zawsze piję piwo!

— I dobrze robisz, stary pieczeniarzu; podobasz mi się po swoim rozmachu w piciu. Wiesz co, wypijmy braterstwo! Toć błazen i geślarz są jakby rodzeni bracia.

Już się zupełnie ściemniło, noc leciała na ziemię i nakrywała ją swym czarnym płaszczem. W przyrodzie nie było spokoju: na niebie nie świeciła żadna gwiazda, wicher dął górą i giął wierzchołki drzew, a w chmurach poważny grzmot się rozlegał od czasu do czasu.

Naraz z namiotu wyszedł Cebo, popatrzył wkoło, spojrzał na niebo, a potem zwrócił kroki w kierunku, gdzie stał ołtarz pokoju i zasypiał złoty geniusz. Ziemia drżała pod stopami wojo-

wnika; wicher zawył dziko, wpadł między ogniska, rozrzucił głownie i większa jeszcze ciemność zaległa. Rycerz stanął nad powalonym złotym geniuszem, roześmiał się pogardliwie i rzekł:

— Bezduszny i bezkrwisty dzieciaku, co dziwy stroisz ze świata, wnet ci wyprawię pogrzeb na wieki! — Potem zbliżył się do zbudowanego przez Żela ołtarza pokoju. — *Aurea pax!* — zawołał i nogą kopnął budynek, który się cały w gruzy rozleciał. Na tych gruzach Cebo wbił dzidę.

— Zadam wam pracę na tysiąc lat! — mówił ponuro; poczem wydobył róg wojenny i zadął w niego.

Zerwał się straszny wicher, który z trzaskiem łamał drzewa; biły pioruny, niebo pałało ogniem błyskawic.

Gdy się srożyła ta potężna burza, poprzez wertepy kniei gnała na bystrym rumaku Miła. W zbroi cała, z dobytym mieczem w ręku, w złocistym hełmie na głowie, oświecona błyskawicami, wyglądała jak anioł zniszczenia. Stanęła jak wryta przed czarnym rycerzem i rzekła:

— Jedyny na świecie panie mój, geniuszu wielki, co rozkażesz?

— Przez wieki będziesz rodziła synów-bohaterów, którzy światu nie pozwolą zgnuśnieć, ale go sławą napełnią i życie ducha wojny weń wleją! Masz róg mój, którego pieśń zapala w piersiach

ogień męstwa i do tryumfów prowadzi... Przy dźwiękach jego wychowuj dzielne pokolenia!

Oczy Miły zaiskrzyły się blaskiem błyskawicznych płomieni, pochyliła głowę; odebrała z rąk rycerza róg wojenny, potem dumnie wzniosła głowę i na swym rumaku poskoczyła w odmęty burzy!

— Wszystkie wiedźmy i wszystkie biesy wywarły się dzisiaj na świat, czy co takiego! — utyskiwał Miklos przed swym towarzyszem gęślarzem. — Ani zjeść porządnie, ani wypić nie można.

— Dopóki panowie ucztowali, było zupełnie spokojnie; ale nam biednym nawet przyroda nie sprzyja.

— Stąd nauka, aby dzbana póty z rąk nie popuszczać, póki ostatniej kropli nie wysączysz. Niech potem wicher spróbuje wylać to, co się dostało w moje czeluści!

Tymczasem Cebo powrócił do namiotu i jął budzić margrafa.

— Czas wstawać! — mówił. — Niech sobie ci pijacy śpią tu spokojnie, a my niezwłocznie napędzimy im knechtów na karki... Toż o godzinę drogi czeka na rozkazy nasz hufiec.

Wstał margraf, przeciągnął się, ziewnął i mówił w te słowa:

— Oo, wicher, grzmoty! To mię nie bardzo zachęca do drogi, a przytem dziwna gnuśność panuje na dworze tego Żela; zaledwie tutaj przybyłem, zaraz poczułem jakby ołów w nogach

i w głowie. Doprawdy, chętnie spałbym jeszcze jaką godzinę czasu.

— Zbieraj się i myśl raczej o tem, co ci nakazują obowiązki rycerza! — rzekł ze stanowczością Cebo.

Margraf przypasał miecz do boku i właśnie dosiadał konia, kiedy Miklos wysunął się z krzaków, zamierzając zrobić jeszcze przegląd stołu i usunąć, co się da.

— O, źle! — mówił sam do siebie błazen. — Kto wie, czy im się jeść i pić nie zachciało?

Rzekłszy to, przyczaił się do ziemi. Niemcy wymknęli się po cichu, ostrożnie i wnet zniknęli w borach. Miklos sprzątnął teraz ze stołu nową misę, parę dzbanów i wrócił do swego towarzysza.

— Ho, ho! — rzekł do gęślarza. — Nie bez kozery to Niemcy milczkiem się od nas wynieśli!

— Może należy zbudzić księcia, lub kogoś z jego przybocznych? — powiada gęślarz. — Niema wątpliwości, że w tym odjeździe Niemców ukrywa się jakaś zdrada.

— Co? budzić Żela, lub kogoś z jego przybocznych? Do książąt się mieszać? Mój bratku, nie głupim!... Wolę ja spokojnie zjeść jeszcze kawałek mięsa i wypić tę resztę trunku, aniżeli się narażać na badania ze strony Żela, Wartoma, Machora, a może i być w posądku, że jestem w zmowie z Niemcami. Wiesz ty, czem to pachnie? Szubienicą!... Błazny i gęślarze żyją rzetelnie wtedy tylko, kiedy śpią ich panowie.

— To prawda! Wojna czy pokój, przegrana czy wygrana, błazen jest zawsze tylko błaznem, gęślarz gęślarzem. Więc, próżni trosk wszelakich, jedzmy i pijmy!... Jestem dziś przy ogromnym apetycie, nie mówiąc o pragnieniu, które mię nigdy nie opuszcza, a które ja zaliczam do stałych zasad swego życia... Trzeba przyznać, że kuchnia u waszego księcia jest wyborna.

— Ja się nie skarżę; jako błaznowi, jest mi tu dobrze! Żel... stary bzik, księżniczka ciągle mówi o skowronkach, słowikach, gwiazdkach. Wszyscy dworzanie kradną na potęgę. Czasem zapląta się w to towarzystwo jaki dudek uczciwy, to się wszyscy ławą rzucamy na niego i licho wziąć go musi.

— Bardzo pięknie! — zawołał gęślarz, ogryzając gnat baraniny. — Przedewszystkiem podobają mi się te wasze stypy leśne; bo w lesie, na świeżem powietrzu, człowiek nabiera żarłoczności wilka.

— W twoje ręce, ty tam, złoty bałwanie! — zawołał Miklos, przyciskając do ust dzban wina i odwracając się w kierunku złotego geniusza.

— Do kogo pijesz?

— A jest tu taki jeden, cały ze złota, człowiek nie człowiek, posąg nie posąg. Ponieważ przypuszczam, że się dostanie w ręce naszego podskarbiego i że mnie też kapnie z tego cobądź, więc przez wdzięczność piję jego zdrowie... Niech żyje geniusz, o ile jest złoty!

I Miklos do dna teraz dzban wychylił.

— A powiedz mi, po co Żel każe robić złote posągi?

— Robić? Dajże pokój! Żel goły, jak skóra wyprawiona na siodła.

— A więc to jest zapewne zdobycz wojenna?

— Takżeś domyślny! My przegrywamy wszystkie bitwy...

— Czy byłeś kiedy na wojnie?

— Byłem, miałem nawet miecz przy boku; ale, zaręczam ci słowem porządnego błazna, ani jedna kropelka krwi nie obciąża mego sumienia. Och, narobiliśmy też wówczas kłopotu nieprzyjacielowi!

— W jaki sposób?

— No, bo się wcale nie spodziewał, że drapniemy przy pierwszej strzale, wypuszczonej z łuku. Powiadam ci, zmykaliśmy tak, że wobec tego kpy zające! A sam Żel podczas tej ucieczki drżał ze strachu jak osika. I wyobraź sobie, że się przebrał w mój strój, ja zaś, na swoje nieszczęście, oblokłem szaty księcia. Nadbiegła jazda niemiecka i mnie wzięto do niewoli jako Żela.

— To nadzwyczajnie zabawne!

— Może być zabawne dla ciebie, ale nie dla mnie. Gdy się bowiem Niemcy przekonali, że nie jestem Żelem, ani żadnym książęciem, zbili mnie na kwaśne jabłko. Łajdaczyłem się z nimi przez parę miesięcy, a potem zemknąłem na Pomorze.

— Ile lat pracujesz w zawodzie błazna?

— Od czasu przyjścia do rozumu, to jest liczę obecnie czterdziesty szósty rok życia, a ojciec Żela, wielki Mach, pasował mię na błazna, gdym skończył lat szesnaście.

— Fiu, fiu! Taki stary błazen powinienby mieć pieniądze... Zagrajmy w kości!

— Dobrze, ale pamiętaj, że jeśli przegrasz, a nie będziesz miał czem zapłacić, gęśl ci zabiorę.

Uspokoił się wicher, ustały grzmoty, przeto błazen i gęślarz opuścili swoje schronienie w krzakach i wyszli na polankę, gdzie zasiedli przy ognisku, aby się grą zabawiać.

Zaledwie atoli rzucili kości, gdy w lesie dał się słyszeć szum jakiś niezwykły, a potem z krzaków wypadły zwierzęta: niedźwiedź, dzik, wilk, lis, jeleń, zając, górą zaś nadleciał orzeł.

— Zginęliśmy! — zawołał Miklos przerażony. — Wszyscy śpią jak kamienie, a nas tu oto napadają potwory leśne! Sił mi brakuje w nogach do ucieczki... Głos zamiera w gardle...

Ale zwierzęta nie myślały bynajmniej niepokoić błazna i gęślarza. Stanęły one kołem i zaśpiewały pieśń taką:

Życie polega na wojnie,
Co wszystko kłóci i wzrusza,
A więc do grobu spokojnie
Złóżmy pokoju geniusza!

Skończywszy pieśń, zwierzęta obstąpiły złotego geniusza, porwały go na barki i w bór uniosły.

Zerwał się teraz błazen na równe nogi, wpadł pomiędzy śpiących rycerzy i wrzeszczał przeraźliwie:

— Wilki! wilki! Gwałtu! ratujcie!

Za nim pędził gęślarz, równie przerażony, i wykrzykiwał:

— Ratujcie, ratujcie!... Gwałtu, niedźwiedzie, wilki!

Ten krzyk nadzwyczajny zbudził uśpionych rycerzy; zrywał się jeden za drugim, porywał miecz, łuk, lub oszczep, i wkrótce wszyscy otoczyli gęślarza i błazna. Miklos ciągle jeszcze wykrzykiwał swoje.

— Nie wrzeszcz! — zawołał książę, chwytając błazna za ramię. — Mów, opowiadaj wyraźnie, co się tu stało!

— Ach, Żelu! — rzecze Miklos. — Tak mocno i boleśnie mię oto ściskasz.

— Mów prędzej, co się stało! — wołali rycerze zniecierpliwieni.

— Kiedy wasze wielmożności zasypiały — prawił błazen, — wtedy ja i mój przyjaciel, jedyni przytomni ludzie w tym lesie, siedzieliśmy sobie samowtór. Nagle wypada z krzaków gromada zwierząt. Ja od razu plackiem w trawę, a te dzikie potwory nadzwyczajne spoglądają po uśpionych waszych wielmożnościach i tak mówią: «Te woły, wieprze, barany, pożarte przez śpiącą tutaj pijacką hołotę, miały wartość daleką większą, aniżeli rycerze Żela i jego goście.»

— To już przechodzi wszelkie granice! — ryknął książę.

— Słuchajcie, słuchajcie! — mówił Miklos, nie dając się stropić. — Te dzikie zwierzęta zabrały złotego jegomościa, zwanego geniuszem, i uniosły go w las... Jakie to szczęście, że ja nie jestem geniuszem!...

— Jest to bardzo osobliwe! — mówił książę, wodząc okiem po obecnych. — Ale gdzież jest mój gość dostojny, margraf?

— Widocznie przyparły go jakieś pilne sprawy, bo wsiadł na konia i razem z innymi Niemcami odjechał — odparł błazen.

— Odjechał? Dokąd odjechał? — badał Żel zaniepokojony.

— Żałuję mocno, że jestem tylko nadwornym błaznem, a przeto nie czułem się być w prawie zapytać dostojnego gościa: «Panie margrafie, dokąd jedziesz?

— Jak myślisz? co może znaczyć ten nagły odjazd margrafa? — zapytał książę Machora.

— Kiedy gość, a do tego Niemiec, potajemnie opuszcza progi, gdzie go podejmowano jest to niezawodnie zdrada — rzecze Machor.

— Ha, więc wojna znowu! — zawołał Żel żałośnie.— Bogów biorę na świadków, żem czynił wszystko, aby utrzymać pokój. Wartomie, Machorze, każcie siodłać konie!

— Co znaczy ten rozkaz księcia? — spytał błazna gęślarz.

— Jakto, co?... Kazał siodłać konie, gdyż konno najlepiej zmykać.

V.

Nowy dzień zajaśniał, a z jego światłem nastały nowe dzieje.

Opustoszała całkiem polanka, na której niedawno jeszcze brzmiał gwar i tłumy zbrojnych się roiły.

Teraz oto z krzaków wypadł przerażony, rączy jeleń, w kilku potężnych susach rzucił się w starą knieję. A za nim z rozdziawionemi paszczami, iskrzącemi się oczyma, rwały wilki, chciwe mordu.

Wnet potem inna gromada wilków zgłodniałych oskoczyła olbrzymiego odyńca i, zgrzytając zębami, prowadziła zażartą walkę w tem samem miejscu, gdzie na gruzach ołtarza pokoju geniusz wojny zatknął swą dzidę. Purpurowa krew zbroczyła zieloną murawę; kły dzielnego odyńca z niejednego wilka wypruły trzewa, ale oskoczony przez wielu i tak wściekłych wrogów, musiał nareszcie uledz. Zwycięzcy rwali w sztuki nawpół żywe jeszcze mięso i głód niem zaspokajali.

Wtem nadszedł oto król puszczy—niedźwiedź. Na widok świeżo rozlanej krwi i gotowego żeru, wzniósł się do góry na tylnych łapach, łypnął gniewnemi ślepiami, rozwarł paszczę i wydał ryk

straszliwy, który się echem grzmotu rozległ po boru. Wilki w popłochu pierzchnęły, jemu zostawiając zdobycz, drogo opłaconą.

Z nadzwyczajnym zapałem, a mądrą taktyką, pędził lis trop w trop za uchodzącym w niezmiernej trwodze zającem.

Górą leciał orzeł, topiąc wzrok swój dziki w młodą sarenkę, która nadaremnie przed nim ukryć się starała. Za lada chwilę on piorunem na nią spadnie, w jej ciało zapuści straszliwe szpony, a twardy jak żelazo dziób dokona reszty.

Wojna więc sroży się znowu w całej okropności.

Aż oto z wrzawą wielką nadciągnął tłum chłopów, uzbrojonych w widły, topory, młoty i drągi.

— Precz z Żelem! — wołali głosem ochrypłym od wściekłości. — Od dzisiaj Goraj jest naszym księciem i innego pana nie znamy!

Ten Goraj zaś był to wódz, co ich tu przywiódł, aby Żelowi i jego wojownikom zgotować zagładę.

Żądna boju tłuszcza doznała zawodu, ponieważ w tem miejscu nie spotkała nieprzyjaciela, jak tego oczekiwała.

— Niema ich! — wołali chłopi. — Rycerze zlękli się i w trwodze uchodzą przed nami; ale pod ziemią nawet ukryć się nie zdołają!

— Pójdziemy na zamek, zdobędziemy go szturmem i z ziemią zrównamy! — wykrzykiwał Goraj.

Krótko trwał ich wypoczynek na polance; zdawali się nie czuć znużenia; okrzyk tysiąca głosów: «na zamek! na zamek!» — zabrzmiał w powietrzu i cała czereda zniknęła w lasach.

Na chwilę cisza znowu zaległa polankę; ale wnet walczące o życie rozmaite zwierzęta pojawiły się tutaj i odezwały się bojowe okrzyki.

Cóż to za straszny gwar leci przez dąbrowę? Gwar ten przygłuszył wszystkie głosy puszczy. Strwożone zwierzęta zaniechały walki i pierzchły na wszystkie strony; przerażone ptaki w niezmiernym popłochu kryły się po gąszczach liści i stamtąd wystraszonemi oczyma spoglądały ku ziemi. Tylko wielkie stado kruków, krocząc, leciało górą, jakby w przewidywaniu żeru.

To niemieckie knechty margrafa ciągną. Przodem sunie gromada zbrojna w krótkie miecze, długie piki i w topory, a na tyłach wlecze się szereg skrzypiących wozów, obciążonych zrabowanym łupem, na którym siedzą swarzące się między sobą baby i wrzaskliwe dzieci. Poza wozami postępuje tłum brańców i branek, skrępowanych i popędzanych przez straże. Tu się łzy gorzkie leją, tu słychać wykrzyki bólu, przekleństwa.

— Halt! — krzyknął idący na czele kapitan chorągwi, nazwiskiem Roh. — Tu jest właśnie owa polanka, którą nam margraf kazał otoczyć i wyrżnąć, wykłuć wszystko, co żywe znajdziemy...

Gdzieś tu miał być nawet pomnik, ulany ze szczerego złota.

— Oni tu byli, ale Żel nie głupi czekać w lesie z jezdnymi na przybycie knechtów — odezwał się dowódca ciurów. — Mogą przebywać gdzieś na otwartem polu, a i to wątpię... Nasze długie piki przerażają tych ludzi, zakutych, jak żółwie, w żelazne skorupy.

Tymczasem knechci rozbiegli się po polance i wyrywali sobie niedojedzone resztki uczty, którą książę wyprawił margrafowi. Znaleziony kawałek wędzonki stał się przyczyną krwawej walki między trzema knechtami.

— Z pozostałych gnatów, porozbijanych dzbanów i wreszcie z zapachu, który tu jeszcze pozostał, wnoszę, że Pomorzanie porządną ucztę wyprawiali i mieli ogromny apetyt — mówił dowódca ciurów.

— A jednak ich apetyt do jedzenia jest jeszcze niczem w porównaniu z apetytem, jaki my na nich mamy! — odparł kapitan, a potem donośnym głosem zawołał: — Hej, dawać mi tu tych dwóch włóczęgów, którycheśmy po drodze ujęli!... Muszą to być szpiegi Żela.

Rozkaz wydany knechci natychmiast spełnili; ale przyprowadzono przed dowódcę jednego tylko jeńca. Smutnie wyglądał ten człowiek obdarty i mający głowę zakrwawioną, a na twarzy pełno ran, sińców.

— Gdzie jest drugi? — zapytał Roh.

— Zemknął gdzieś hultaj! — odpowiedziało kilka głosów. — Jeszcze przed niedawną chwilą był tutaj i gdzieś się zapodział.

— Coś ty za jeden? — badał Roh, uderzając silnie jeńca w ramię. — Radzę ci mówić szczerą prawdę, gdyż żyjemy w czasach wojennych, a wtedy życie człowieka nie więcej warte, co życie pchły.

— Jestem gęślarz i nie mam żadnego powodu do ukrywania prawdy—odrzekł zapytany. — Dziwię się nawet, za co już tyle plag otrzymałem, będąc zupełnie niewinnym.

— Czy z gęślą swoją byłeś i na zamku księcia Żela?

— Byłem tam nieraz, ażeby pieśnią zabawiać rycerzy, panie...

— A kto to był ten drugi, którego razem z tobą pojmano?

— Był to Miklos, błazen księcia Żela...

— Przeprowadzić go przez piki! — zawołał Roh.

Niebawem knechci uszykowali się w dwa rzędy, środkiem zaś przeprowadzono jeńca, którego w tym pochodzie każdy kłuł piką. Z nieszczęśliwego krew ciekła strumieniami, ostatni dech życia z niego uchodził; ale litości nie było. Jęcząc przeraźliwie, gęślarz wyzionął ducha w katuszach.

— Już się Żel niczego od niego nie dowie, a my nie mamy kłopotu z pilnowaniem go, żeby

nie uszedł — powiedział spokojnie kapitan i wydał rozkaz, aby drużyna gotowała się do dalszej drogi.

Kiedy już cała ta hałastra opuściła polankę i podążyła drogą, wiodącą do zamku, naraz zaszeleściło coś w konarach starego dębu, który tam rósł na brzegu lasu, i z wierzchołka drzewa począł się ostrożnie opuszczać na dół jakiś człowiek.

— Pokazuje się — mówił, — że bogowie dobrze świat ten urządzili. Na przykład taki dąb, okryty zielonymi a gęstymi liśćmi, może nieraz stanowić twierdzę lepszą, aniżeli warowny zamek... Jednakże, mimo mądrych urządzeń świata, człowiek bardzo łatwo zginąć może, jeżeli nie ma na karku porządnej głowy. Gdybym się nie był zręcznie wymknął z rąk knechtów i nie wdrapał na sam szczyt tego pięknego dębu, łotry byliby sobie ze mną postąpili tak samo, jak z moim nieszczęśliwym przyjacielem, gęślarzem... Okropność!

Miklos — on to był bowiem — zsunął się nareszcie z dębu, popatrzył bacznie wkoło siebie, a potem podszedł do skrwawionych zwłok gęślarza i przez chwilę stał nad niemi zamyślony.

— Wytrzęśli z ciebie duszę, biedaku! — rzekł. — To jedno dobre, że już teraz nie będziesz nigdy doświadczał ani głodu, ani pragnienia, ani bólu, ani strachu.

Powiedziawszy to, błazen nazbierał sporo gałęzi i nakrył niemi trupa, poczem puścił się w bór po jednej z bocznych ścieżek.

Nocą już powrócił Żel z hufcem zbrojnych do domu. Wnet też nadciągnęła za nim zgraja zbuntowanego chłopstwa i z nieopisaną wściekłością przypuściła szturm do zamku. Rycerze stawili dzielny opór, ale musieli nareszcie uledz przeważającej sile. Wielu z nich życiem przypłaciło swe męstwo, a w liczbie poległych znajdował się i nieustraszony Machor.

Książę Żel, Wartom i niektórzy inni szukali schronienia w podziemiach zamkowych, a stamtąd przez tajemne wyjście przedostali się w lasy.

Chłopi, upojeni zwycięstwem, przetrząsali zamek, roznosząc wszędzie spustoszenie; niemało gniewało ich to, że książę w moc ich się nie dostał, więc zaglądali do wszystkich kryjówek.

Straszliwe krzyki rozlegały się na wszystkie strony, aż tu naraz z baszty zamkowej zabrzmiała cudowna pieśń pokoju — czysta i dźwięczna. To księżniczka Sławka grała na złotym flecie. Wpływ pieśni był prawdziwie czarodziejski; natychmiast ucichła wrzawa, uspokoiły się wzburzone umysły, dobroć wstąpiła w serca niedawno jeszcze wściekłych chłopów i niebawem zwycięzcy zamku poczęli opłakiwać swoje krwawe czyny.

— Zaklinam was na bogów, szukajcie Żela! — wołał do swoich Goraj. — On jest prawy nasz książę! Musimy go błagać, aby nam przebaczył ciężkie winy... Nie nasza to rzecz wojować, powróćmy do swoich pługów i w spokojnej pracy na roli szukajmy szczęścia. Gdzież jesteś, Żelu,

panie nasz? Poddani twoi na kolanach składają ci hołd wierności.

— Żelu, Żelu! Panie nasz! — wołali wszyscy, wzywając księcia.

Ale nadaremnie go wzywano, nadaremnie poszukiwano. Bo pokonany książę przez jakiś czas prowadził życie tułacze, a potem zwrócił się do ościennych pobratymczych książąt i żebrał u nich pomocy, aby odzyskać utraconą władzę. Tymczasem chłopi, rozrzewnieni uroczą pieśnią złotego fletu, poczęli wspominać swoje ciche zagrody, zatęsknili do swych domowych ognisk. A pieśń brzmiała i brzmiała, aż wreszcie ukołysała wszystkich do snu. I tak spali, a sen przyniósł im marzenia o jakiemś wielkiem, nieznanem dotąd na ziemi szczęściu. Nikt nie zaznał nic podobnego w rzeczywistem życiu, ale każdy marzył i każdemu owo marzenie wydawało się równie istotnem, jak sama rzeczywistość.

Już flet brzmieć przestał, a jeszcze dźwięki jego napełniały dusze uśpionych i rozlegały się do nieskończoności. Pogrążeni we śnie przez pół godziny, przeżyli wieki szczęścia. Oby się już nigdy nie byli ocknęli!

VI.

Umilkła nareszcie pieśń pokoju; jej dźwięki poszły w bory, rozpłynęły się w mgłach chmur pod niebem, poleciały w łąki i pola ziemi, błąkały się ponad strumieniami, ucichły i już je tylko dusze ludzkie odczuwały.

Księżniczka Sławka, jak duch, przemknęła po szczytach baszty, popatrzyła z góry na uśpionych w dziedzińcach zamku i rzekła:

— Niech śpią, gdy geniusz pokoju sen im zsyła, a w śnie marzenia szczęścia!

Ale zaledwie zniknęła Sławka, gdy na krużganku zamkowej wieży stanęła Miła — w pancerzu, hełmie, z mieczem u boku, z rogiem wojennym, zawieszonym na piersiach.

— Hymn pokoju — mówiła — rozleniwia ludzi i czyni ich sennymi. Niech śpią, a tem pewniej odniosą nad nimi zwycięstwo przeciwnicy!...

Z temi słowy dziewica wojny przytknęła do ust róg wojenny i zabrzmiały jego straszliwe dźwięki.

Ludzie, pogrążeni we śnie, widzieli jakieś okropne, przerażające mary, które się hurmem na nich waliły; uczuli w piersiach trwogę nieopisaną, co im zupełnie odebrała siły. Niejeden w sennym strachu rzucał się, chciał krzyknąć, ale głos w nim zamierał i nie wychodził z gardła.

Właśnie w tę porę knechci stanęli pod murami zamku. Niemcy bez trudu wdarli się na wały i opanowali zamek.

Najpierwszem dziełem, jakiego tutaj kapitan Roh dokonał, było wydanie rozkazu, ażeby knechci niezwłocznie powiesili Goraja, wichrzyciela niebezpiecznego w każdym ustalonym porządku rzeczy.

Widok wodza, pasującego się ze śmiercią na szubienicy, przejął chłopów taką zgrozą i strachem, że padli na ziemię i błagali, aby przynajmniej im darowano życie. Kapitan oświadczył, iż jakkolwiek zamierzał wszystkich wywieszać, w drodze łaski jednak zamienia karę śmierci na chłostę. Jęki i okrzyki bólu rozległy się teraz po zamkowych dziedzińcach, a zaraz potem nastąpiły wrzaski ucztujących knechtów.

Roh, nie tracąc czasu, wysłał do margrafa wiadomość o odniesionem zwycięstwie.

Słońce obiegło już połowę drogi na niebie, gdy do zamku nadciągnął hufiec zbrojnych, a na jego czele jechał margraf Drako.

— Dobrzeście się spisali! — rzecze margraf, pozdrawiając kapitana knechtów. — W nagrodę waleczności dostaniecie potrójny żołd i dziesięcinę z łupów. Ale nie koniec to jeszcze roboty; musimy bowiem z tych pojmanych pogan porobić chrześcijan; trzeba ich oto chrzcić i tym sposobem utorować sobie drogę do zagarnięcia całego Pomorza.

Wnet jeden z mnichów, przygotowany na apostoła, udał się między jeńców i w ich języku rozpoczął dzieło nawracania.

— Byliście dotychczas nieszczęśliwi — mówił, — a ja wam przynoszę wybawienie z nieszczęścia. Żyliście w niewoli grzechu, a my wam dajemy swobodę. Bóg miłosierny ulitował się widocznie nad ludem pomorskim i zsyła mu prawdę przez usta sług swoich.

Niektórzy poganie gorzko opłakiwali swą niedolę, ronili łzy; ale mnisi uważali łzy ich jako oznaki skruchy, jako skutki budujących swych nauk.

Gdy się zabrano do chrztu niewiernych, musiano obrzędu tego dokonywać za pomocą siły i u wielu pogan chrzest ze krwi wprzód się odbył, aniżeli chrzest z wody.

Potem margraf obdarzył wszystkich wolnością, zatrzymując jednak kilkudziesięciu jako zakładników, którym przyobiecano głowy pościnać, jeżeliby wypuszczeni na wolność nie chcieli wytrwać w nowej wierze.

Nowi chrześcijanie wracali teraz do swych domów, wszędzie rozpowiadając o tem, co się stało.

Wodzowie w towarzystwie knechtów zapuszczali się w kraj, wywracali posągi starych bogów, burzyli ich przybytki.

Zaledwie stanęła pierwsza świątynia chrześcijańska i odprawiono w niej uroczyste nabo-

żeństwo ku czci Najwyższego, gdy oto kapłani pogańscy wydali okrzyk oburzenia, który napełnił odwieczne bory. Przepowiadali oni straszne skutki gniewu starych, dziś sponiewieranych i pogardzonych bogów. Lud zamieniał narzędzia pracy na oręż bojowy i dyszał żądzą krwawej zemsty względem wrogów. Skruszone posągi starych bogów, w gruzy rozsypane ich ołtarze zdawały się nieustannie wzywać do zemsty.

Wśród tych wzburzonych tłumów stanął jednego dnia Żel i przyjęto go tu z ogromnym zapałem.

— On książę nasz, niech nas prowadzi na wojnę świętą! — odezwały się liczne głosy.

Ale wystąpił sędziwy kapłan i tak przemawiał:

— Złe od Żela się zaczęło, na jego dworze gościli Niemcy i z Niemcami szukał on przymierza, a taki w wojnie za wiarę hetmanić nie może.

Podzieliły się wówczas tłumy na dwa obozy: jedni za Żelem, drudzy przeciw niemu.

Dni upływały, a oni na sporach czas tracili. Nareszcie rzucili się jedni na drugich i krew popłynęła.

Srożyła się zacięta walka, w której po obu stronach ginęli ludzie, szala zaś zwycięstwa na żadną stronę się nie przechylała.

Nadciągnął z hufcami zbrojnych margraf, uderzył naprzód na przeciwników Żela i w pień ich wyciął.

Teraz stronnicy Żela upadli na duchu i poczęli go gromadnie opuszczać, zanim jeszcze przyszło do starcia z Niemcami.

Na pozostałych napadł ze swym hufcem Drako i zadał im stanowczą klęskę.

Pobity Żel stracił pod sobą konia i, ranny w głowę, zaledwie z życiem uszedł.

W tem ciężkiem położeniu książę powziął takie postanowienie: dostać się na jedną z wysp Baltyku, knuć tam spiski przeciw Niemcom, zapalać przeciwko nim nienawiścią choćby całą ludzkość, zjednywać im wszędzie wrogów i wszelkimi sposobami przygotowywać straszną wojnę odwetu.

— Pokonać Niemców — myślał Żel — jest to rzeczywiście przeprowadzić dzieło pokoju, któremu oni jedni stoją na przeszkodzie.

Ale opuszczony, sam jeden wśród głuchych borów, pozbawiony środków, czyż mógł ten książę urzeczywistnić swój zamiar?

Trudno mu było nawet przedostać się do brzegów morza, bo Niemcy rozlali się wszędzie po drogach, wsiach i miastach.

W czasie owej tułaczki, jednego dnia przed zachodem słońca, przybył Żel na tę samą polankę, gdzie niedawno jeszcze rozbił swój tabor myśliwski, oczekując margrafa. Widział tutaj gruzy zwalonego ołtarza pokoju i kości geślarza do czysta ogryzione przez dzikie zwierzęta. Książę usiadł i głęboko się zadumał o zmiennych kolejach swego życia.

— Gdzie jest złoty geniusz pokoju? Gdzie córka moja ukochana, Sławka? Gdzie rycerze i dwór mój cały?

Naraz ktoś go w ramię trącił; Żel się odwrócił i spostrzegł Miklosa. Co tchu powstał z miejsca i witał błazna, nie szczędząc mu szczerych uścisków.

— Mam cię znów obok siebie, znak to dobry! — wołał.

— Gdybyś miał błazna w samym sobie, co dla każdego człowieka jest bardzo pożyteczne, nie potrzebowałbyś mię mieć obok siebie... Źle takiemu na świecie, który nie umie z siebie samego zadrwić, ani siebie samego zabawić — odrzekł Miklos.

— Srogi los mię prześladuje!

— Wyrzekasz dlatego, ponieważ przed niedawnym czasem byłeś wilkiem, a teraz zostałeś baranem. Pomyśl jednak, Żelu, że są na świecie tacy, którzy przez całe życie muszą być baranami...

— Niemcy, Niemcy, Niemcy! — biadał książę, ukrywając głowę w dłoniach.

— Obowiązkiem głodnych jest jeść! Ty stanowiłeś dla Niemców smaczną strawę.

— Czuję w sobie potężną zemstę i pragnę odwetu.

— Gdy mocniejszy napada słabszego, wtedy słabszy próbuje naprzód walczyć, potem ucieka; przyparty do muru, odpiera z razu napaść jako

tako, potem wierzgnie nogą, drgnie ciałem, wydaje okrzyk i umiera... Ty właśnie jesteś w jednem z tych położeń: wydajesz okrzyk, który ci się podoba nazwać żądzą odwetu. Mojem zdaniem, najpilniejszą rzeczą jest pomyśleć o teraźniejszości, mianowicie: zjeść wieczerzę. Ponieważ nie chcę, aby mię Niemcy powiesili, więc się tu ukrywam w jednej jaskini; nazbierałem właśnie jaj ptasich, jagód i grzybów... Pójdź ze mną, Żelu, spożyjemy je wspólnie.

W jakiś czas potem Żel i Miklos przybyli nad morze. Było tam pusto, cicho; tylko parę rybackich chat spostrzegałeś zdala na wzgórzu, o stopy którego biły sine, spienione fale.

Książę snuł ciągle swoje plany, ubolewał nad swym losem, a błazen drwił, niekiedy nawet bardzo ostro.

Naraz do uszu ich doleciały dźwięki cudownej pieśni; stanęli i słuchali.

— O bogi! — zawołał Żel. — Jest to przecież ta sama pieśń, którą Sławka wygrywała na złotym flecie geniusza pokoju...

— Ta pieśń schroniła się tutaj widocznie dlatego, aby ją ryby słyszały i nie wypowiedziały kiedy Pomorzanom wojny.

Dźwięki owej pieśni pochodziły z ust dzieci, które igrały na brzegu morza, bawiąc się w piasku.

Napotkali rybaka i Żel jął go wypytywać, skąd dzieci nauczyły się tak śpiewać.

— Stamtąd! — odrzekł rybak, wskazując ręką na morze. — Niedawno temu, jak tu przybyła dziewczyna jakaś niezwykła; mówiła, że uchodzi przed wojną, która wichrzy w całym kraju... Siadywała nad brzegiem morza i na złotym flecie wygrywała właśnie pieśń, śpiewaną teraz przez dzieci. Jednego dnia dziewczyna ta gdzieś zniknęła; ale morze, gdy jest spokojne, to o zmroku wieczornym z głębi wód swoich szumi nutą owej pieśni... Kto słyszy, ten ją mimowoli musi śpiewać.

Książę i błazen wsiedli potem do łodzi, aby się przeprawić na wyspę, o parę mil odległą od brzegu. Nagle zerwała się burza i obaj utonęli. I odtąd, gdy morze szaleje, wtedy rybacy Pomorza słyszą w huku fal jego groźbę wojny odwetu; w świstach i piskach wichru rozpoznają wyraźnie drwiące słowa Miklosa. Gdy się zaś morze uśmierzy, szumi ono pieśnią pokoju, która od rybaków przeszła do pasterzy i rolników.

PAN REFERENT.

NOWELLA.

głowę zachodziła onego czasu inteligencya miasta Pińczowa, nie mogąc pojąć, gdzie podziewa pieniądze pan Walenty Ogrodziński, referent powiatu. Co prawda, niewiele on miał do wydania; ale wszyscy urzędnicy stopni niższych pobierali pensye znacznie mniejsze, a jednak żyli daleko dostatniej. Dzieci ich otrzymywały staranne wychowanie, żony stroiły się okazale, oni sami nosili ubiory zastosowane do bieżącej mody i odpowiednie do pory roku, przytem wyprawiali w domu przyjęcia, grywali w preferansa, a niektórzy od czasu do czasu robili nawet wycieczki do Warszawy.

Tylko jeden wśród nich pan Walenty, stary kawaler, więc człowiek bez obowiązków, żył biedniej niż ostatni aplikant z magistratu. Wiosną, latem i w jesieni od wielu lat chodził zawsze w starym, dobrze wytartym surducie, w łatanych butach i w zmiętym, wypłowiałym kapeluszu. A zwykle tak się troskliwie poopinał, jak gdyby mu głównie na tem zależało, ażeby światu nie pokazać najmniejszej odrobiny swojej koszuli. Dopiero kiedy już śniegi zwaliły, mrozy chwyciły, Ogrodziński nadziewał ogromną watowaną

czapkę i futro jakieś takie wyszarzane, że nikt nie był w stanie odgadnąć, co za gatunek zwierzęcia chodził za życia w tej skórze.

Nigdzie a nigdzie nie bywał, jakkolwiek stanowisko referenta wymagało niejednokrotnie, aby się i pokazać między ludźmi i ludzi w domu swoim przyjąć. Jedni mówili: «Odludek, mruk, mizantrop!» Drudzy: «Kutwa obrzydliwy, liczykrupa, pewnie siedzi na pieniądzach, a wszystkiego sobie odmawia!» — Na herbatkach tańcujących, na balikach w Pińczowie stanowił on pospolicie przedmiot rozmowy i ulubiony cel obmowy dla płci obojej.

Żaden szczegół jego życia nie uszedł baczności Pińczowian i Pińczowianek. Tropiono człowieka w biurze, na ulicy, w domu, osaczano jak zwierza dzikiego w kniei. Panie pińczowskie bardzo dokładnie wiedziały, że Ogrodziński tylko w święto używa potraw mięsnych, a przez cały tydzień żyje jak ostatni nędzarz.

Cichy, spokojny, nadzwyczajnie pracowity i bardzo dobry, miły człowiek był pan referent. Jak tylko ukończył swoje biurowe zajęcia, natychmiast wymykał się chyłkiem i podcieniami zdążał na przechadzkę za owe sławne mosty na Nidzie. Może w półtorej godziny potem wracał do domu i z niezmiernym zapałem brał się do czytania powieści, co stanowiło jego namiętność.

Niejeden umyślnie nań czatował, zaczepiał, aby się później w towarzystwie pań pochwalić:

«Rozmawiałem dzisiaj z Ogrodzińskim!» Taki zwracał na siebie uwagę kobiet, które go już ciągle wybadywały: «Co mówił Ogrodziński?»

— Jest to rzeczywiście zagadkowy człowiek — odzywała się pani burmistrzowa. — Żeby się też żywcem tak zakopać, odsunąć od całego towarzystwa!

— Wyobraźcie sobie panie, przedwczoraj wstępował do apteki! — rzekła stara panna Aniela, siostra aptekarzowej. — I pan Skrzekowski powiada, że to jest człowiek bardzo do rzeczy. Skrzekowskiemu można wierzyć... kończył kursa farmaceutyczne w Warszawie, całą «Maryę» Malczewskiego umie na pamięć... Mój szwagier go uważa za najpierwszego prowizora w gubernii kieleckiej. Ach, jak on deklamuje... rozkosz!

— Co się tyczy Ogrodzińskiego — przerwała pani konsyliarzowa, niezadowolona, że w jej obecności może ktoś chwalić farmaceutę, — mój mąż sprawdził objawy czarnej melancholii.

— Wesoła żona rozerwałaby go, uleczyła — rzekła pani rewizorowa, matka dwóch córek na wydaniu. — Jeszcze podobno pięćdziesięciu lat nie skończył, mógłby uszczęśliwić siebie i kogo...

— Uszczęśliwić?...—spytała z drwiącym uśmiechem konsyliarzowa. — Zaręczam pani, że w czarnej melancholii można być tylko nieszczęśliwym i unieszczęśliwiać.

— Okropność! — jęknęła Zuzia, starsza rewizorówna.

Urzędnicy znowu zbierali się często w cukierni u Fajbusia i, popijając kawę czarną z araczkiem, grywali w bilard, w domino, a przy tem — o ile wdawali się w rozmowę — Ogrodziński bywał na planie głównym.

— Zrozumieć nie mogę takiego oryginała, jak Ogrodziński — rozpoczynał pan kasyer. — Jestem przecie człowiek poważny, mam żonę, dzieci, stanowisko, a nie chowam się do dziury, lubię żyć z ludźmi.

— Ha, bo pan kasyer wie, że człowiek nie weźmie z sobą pieniędzy do grobu! Jeszcze po kieliszeczku, panie kasyerze!... Pani Fajbusiowa, proszę nalać! — mówił pan sekretarz.

— Podług mnie — wyrokował kancelista, — Ogrodziński jest arystokrata i nic więcej. Ci, co go od dawna znają, mówią, że dopóki był kancelistą, to i w domach bywał, wypił, w karty zagrał, a dopiero później w głowie mu się przewróciło...

— Hm, podobno się stara, żeby go do gubernii przenieśli, a w samej rzeczy wakans się tam teraz otwarł, pensya ośmset rubli! — powiedział pan pomocnik.

I takie rozmowy ciągle prowadzono w Pińczowie. Tymczasem tę całą tajemnicę pana referenta znał na wylot niejaki Mordka Czapnik, zwany powszechnie Rotszyldem pińczowskim, chociaż był to bardzo pospolity lichwiarz tylko. Ogrodziński nigdy w życiu nie zaciągnął jednego

grosza pożyczki, a jednak Mordce Czapnikowi był z roku na rok winien sumę tysiąca rubli, na czem i polegało objaśnienie zagadkowego sposobu życia pana Walentego.

Referent poręczał weksle kolegom, współurzędnikom, którzy nie płacili i o długu swoim przed nikim nie wspominali. On spokojnie za nich płacił Mordce i także nikomu o tem nie wspominał. Płacił za kancelistę, ale kancelista troskliwie skrywał to przed światem; w podobnyż sposób Ogrodziński płacił i za sekretarza, kasyera, pomocnika i innych jeszcze. Zabrnięcie w długi na rachunek cudzy zadziwia tem bardziej, że nasz referent miał wstręt ogromny do podpisywania weksli.

— Gdybym posiadał gotówkę — dawał się słyszeć, — wolałbym wyjąć z kieszeni i dać, byle tylko nie kłaść swego podpisu.

Cóż, kiedy genialny Mordka miał sposób niezawodny, ile razy chodziło o przełamanie wstrętu i zniewolenie Ogrodzińskiego. Twardy lichwiarz należał do rzędu takich, co to noszą nazwę pijawek. Niejednokrotnie różni panowie urzędnicy robili wielce staranne a daremne zabiegi o pożyczkę; wszystkie ich usiłowania rozbijały się o trudność przedstawienia poręczyciela, któryby dla Mordki był «dobry,» to jest odpowiadał wszelkim jego wymaganiom. Ogrodziński nawet nie w każdej chwili był dla niego «dobry,» jeżeli właśnie już dźwigał na sobie za duże brzemię

cudzych długów. Filozofia bowiem lichwiarza tak się wyrażała: «Człowiek, który chce płacić, płaci dopóty, dopóki płacić może... Na co ja go mam zmuszać, żeby nie płacił?» Mordce bynajmniej nie chodziło o to, komu pożycza pieniędzy; on tylko patrzył, kto poręcza.

Kiedy jednego razu pan sekretarz zaciągnął pożyczkę i upewniał go, że będzie regularnie dług spłacał, lichwiarz odrzekł z greckim spokojem oblicza:

— Pan sekretarz nie potrzebuje płacić; Ogrodziński jest dobry poręczyciel... Żeby on miał trzy tysiące rubli pensyi, jabym jego podpisów przyjął za dziesięć!

Innym razem znowu zaciągał dług pan kancelista, który, zgarniając już ze stołu odliczone pieniądze, poczuwał się do obowiązku wspomnieć o terminie pierwszej spłaty. Mordka uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Proszę pana, ja stary wróbel; ja wiem, że nie ci panowie płacą, którzy pożyczają... Nu, co złego? Brać pożyczki, to lepszy handel, niż dawać na procent. Niech pan zrobi dobry interes! Mnie nie boli kieszeń Ogrodzińskiego.

I lichwiarz miał ogromne upodobanie do referenta, który się nigdy nie spierał, punktualnie spłacał, co raz podpisał. Ogrodziński stawał się dla Mordki «dobry» z chwilą, kiedy z zaległego rok rocznie długu tysiąca rubli spłacił dwieście, a przytem i procent od pozostałych ośmiuset rubli.

Zachodzi teraz pytanie: w jaki sposób zniewalano referenta do podpisywania weksli? Sposób ten znał Mordka i, jeżeli tylko wskazał Ogrodzińskiego jako poręczyciela, dawał też jednocześnie radę, co czynić, aby przełamać jego wstręt do podpisywania weksli. Pan Walenty był romantyk czystej wody, cały świat marzeń poetycznych wnosił w życie i bardzo łatwo wzruszały go nieszczęścia ludzkie. Roztkliwiał on się bardzo szczerze, naiwnie, kiedy posłyszał, że komuś dzieci umierają, żona obłożnie choruje, dymisya z posady zagraża, albo że go ostatnia nędza trapi. Gotów był własną duszę zastawić, aby dopomódz jakiemu «ojcu zadżumionych.» Kto tylko umiał w jaskrawych barwach odmalować swą niedolę, zawsze zmiękczył serce referenta i zyskiwał w nim poręczyciela, chociażby nawet zmyślił cały obraz nieszczęścia.

Mordka znał doskonale tajemnicę dobrej duszy i wiedział, że pan referent, znosząc po bohatersku własną biedę, znajduje niemałą pociechę w niesieniu ulgi rzekomym nieszczęściom bliźnich. Łatwo już pojąć, dlaczego Ogrodziński nigdzie nie bywał i nikogo u siebie nie przyjmował. To, co mu z pensyi Mordka pozostawiał, zaledwie wystarczało na bardzo skromne opędzenie potrzeb najniezbędniejszych. Prawdę mówiąc, żył on w ciągłym braku i byłoby mu bardzo źle na świecie, gdyby się nie chronił swą myślą w fantastycznych krainach książek. Żadna skarga nigdy

z ust jego nie wyszła i nikt z tych, którzy go pozawodzili, nie słyszał najmniejszego wyrzutu. Sekretarz, kancelista, pomocnik, kasyer i inni spotykali się czasem oko w oko z panem Walentym, a wtedy uważali sobie za obowiązek bąknąć coś o «niezmiernym długu wdzięczności dozgonnej.»

— Nie uwierzy pan referent dobrodziej, ile mię to kosztuje, że dotąd jeszcze nie uiściłem się z należności... Warunki życia są takie trudne...

Niektórzy z nich pobierali pensye wyższe niż Ogrodziński, a i tak zwane dochody prawe. Te uniewinniania się wprawiały zawsze referenta w ogromny kłopot; uśmiechał się dobrodusznie, kręcił głową i wyglądał wtedy na człowieka, który dług zaciągnął i wstydzi się, że go spłacić nie może.

— Ależ, kochany panie, nie mówmy o tem!... Prosta przysługa koleżeńska... Gdybym ja potrzebował, zrobiłbyś pan dla mnie to samo.

Zapewnienia takie najzupełniej wystarczały, ażeby się dłużnik uspokoił i nabrał otuchy, jak gdyby już dług swój spłacił.

Każdy przypinał łatkę referentowi, a nikt o tem nie wspominał, że referent za niego dług spłacił lub spłaca. Stanowiło to pińczowską tajemnicę, jednemu Mordce znaną równie dobrze, jak i sposób na przełamanie wstrętu referenta do podpisywania weksli.

Taki był stan rzeczy, kiedy pewnego dnia przyjechał z Opoczna pan Marcin Ogrodziński, brat referenta i także referent powiatowy. Serdeczne było powitanie braci, którzy się od dwudziestu lat nie widzieli. Marcin, chociaż o dwa lata starszy od brata, wyglądał jak syn jego i bardzo się strapił widokiem przerażająco wychudłej, pożółkłej twarzy Walusia i jego nadzwyczajnie nędznym sposobem życia. Trzeba tu wiedzieć, że pan referent opoczyński przywiózł z sobą dla brata pieniądze, które kiedyś tam spadły były w schedzie na nieletnich jeszcze podówczas braci Ogrodzińskich. Odbiór tego spadku do rąk zależał od wygrania zawikłanego procesu z klasztorem Panien Norbertanek, co się wlokło i wlokło przez długie lata. Suma była niewielka, wszystkiego podobno tysiąc dwieście pięćdziesiąt rubli na głowę; ale dla referenta pińczowskiego ta deska zjawiała się jak raz w samą porę. Brat starszy nie od razu się zdradził z tem, że przywozi skarby takie, a przerażony nędzą Walusia, uważał sobie za święty obowiązek rodzinny zbadanie gruntowne, gdzie mianowicie tkwi przyczyna główna niedoli braterskiej. Rozpoczęły się serdeczne, wylane rozmowy braci, co to w imię wspomnień, drogich związków krwi serce sercu się zwierza, otwiera. Pan Walenty z początku wywijał się jak piskorz, zbywał Marcinka westchnieniami, półsłówkowem biadaniem:

— Cóż zrobić, mój drogi braciszku?... Bieda, ciężkie czasy i koniec!... Tu u nas w Pińczowie wszystkich trapi okropna bieda... Powiadam ci, jeszcze ja stosunkowo dobrze się trzymam.

Dopieroż Marcin dociera, a coraz to z innej beczki napoczyna, byleby prawda na wierzch wypłynęła jak oliwa.

— Nic nie rozumiem, mój Walusiu! Przecież ja pobieram pensyę równą twojej, a jednak z żoną i dwojgiem dzieci nie cierpię takiego niedostatku! Rozkoszy, co prawda, niema; ale się żyje... Chyba ty, człowieku, grosz ciułasz?

Gorzko się uśmiechnął Walenty i machnął ręką.

— No, to może jaka kobieta przypięła się do ciebie i ssie dę ostatniego szelaga? Powiedz, musimy znaleźć jaką radę!

Waluś ze zdziwieniem niezmiernem spojrzał na Marcinka i tonem lekkiego wyrzutu odrzekł:

— Mówisz, braciszku, tak, jakbyś mię zupełnie nie znał.

Przez dwa dni biedził się referent z Opoczna i ani rusz, nic nie mógł z brata wydobyć. Używali razem przechadzki za mostami na Nidzie, wspinali się na górę świętej Anny, oglądali na Mirowie stare domy po-aryańskie, pili w domu herbatę, a Marcin nabierał coraz większego przekonania, że Waluś pozostaje w ostatniej nędzy. To też trzeciego dnia przyparł brata do muru z ogromną energią.

— Widzę — rzekł bardzo poważnie, — że nie mam u ciebie najmniejszego uznania i tylko jakąś nieufność budzę, a przecież jesteśmy rodzeni bracia! Skoro już lekceważysz takie związki, ha, tobie muszę chyba przypisać winę, żem nie umiał zasłużyć na twoją miłość!

Po takiej przemowie nastąpiło ogromne rozczulenie obustronne, z którego Marcinek skorzystał już bardzo zręcznie i w chwili, kiedy go rozrzewniony Waluś objął za szyję, odezwał się ze wzruszeniem:

— Nieprawdaż, braciszku, ty dajesz podpisy na wekslach, poręczasz za ludzi?

— Być może... jakiś raz, drugi... no, ale przecież!

— Właśnie tylko o to mi chodziło! — zawołał tryumfalnie referent z Opoczna. — Trzeba sprawy takie jak najrychlej uregulować, a na przyszłość unikać... Lichwa każdego pożre z nogami i głową!

— Wierzaj mi, Marcinku, mam nadzwyczajny wstręt do podpisywania weksli — usprawiedliwiał się Waluś. — Ale bywają okoliczności... odmówić niepodobieństwo.

— Ja to rozumiem doskonale! Przychodzi kolega, błaga, zaklina, a kiedy już dostał poręczenie, wcale nie myśli płacić.

— Cóż on zrobi biedak, jeżeli nic nie ma?... Daję ci słowo, że poręczałem tylko ludziom, będącym w ostatniej potrzebie!

Referent z Opoczna byłby i tak nie zrobił tego, o co mu głównie chodziło, gdyby szczęśliwy traf nie przyszedł z pomocą. Pan Walenty bowiem za żadne skarby świata nie wymieniłby tych wszystkich, za których poręczał, i nie wskazałby lichwiarza, który z niego skórę obdzierał. Ale w Pińczowie rozeszła się wieść o przyjeździe starszego Ogrodzińskiego i całe miasto bardzo się zajmowało tem zdarzeniem. Naturalnie, mocno to obchodziło Mordkę i ten postanowił oddać nadzwyczajną wizytę swemu stałemu klientowi, ponieważ ciekawy był obejrzeć jego brata, a przytem, któż tam wie — może przypadkiem da się ubić i jaki geszeft. «Interes rzadko kiedy sam człowiekowi w ręce włazi, trzeba go u ludzi szukać i brać, jeśli dobry» — dawał się słyszeć Mordka.

Pan Walenty był właśnie w biurze, którego nie zaniedbywał nawet podczas bytności brata w Pińczowie. Lichwiarz delikatnie uchylił drzwi, wsunął do pokoju głowę, potem przekroczył próg i, uśmiechnięty, w ciągłych ukłonach, z czapką w ręce, stanął przed panem Marcinem, rozmyślającym właśnie, jakby tu wykryć lichwiarza, który posiada weksle, poręczone przez brata. Zapytany, czego sobie życzy. Czapnik oświadczył, że go sprowadza jedynie dobre serce, przyjaźń dla pana Walentego.

— Nu, w Pińczowie i najmniejsze dziecko wie, co Mordka i Ogrodziński starzy przyjaciele.

Od tego zaczęła się rozmowa, a jakkolwiek Rotszyld pińczowski okazywał wielką wstrzemięźliwość języka, Marcinek, widocznie nie w ciemię bity, odgadł jego rzeczywisty charakter. Swoją drogą żyd także zwietrzył zamiary referenta z Opoczna i pieniądze w jego kieszeni, co natchnęło go takim szacunkiem, życzliwością dla nieznajomego człowieka, że Marcinek pozyskał w nim sprzymierzeńca. To też jeszcze tego samego dnia starszy Ogrodziński odwiedził z kolei Mordkę i po długich targach wykupił wszystkie weksle brata, znajdujące się w rękach lichwiarza, który nadto uroczyście przyrzekł nie przyjmować już nigdy podpisu pana Walentego jako poręczyciela cudzych zobowiązań pieniężnych. Z tego powodu Czapnik mocno ubolewał, że nie będzie miewał do czynienia z tak «godnym i grzecznym» człowiekiem.

— U mnie — mówił — poczciwość tyle warta, co gotówka; bo ja wiem, że co dam poczciwemu, to mi nie przepadnie... jakbym miał we własnej kieszeni.

Marcin dopiero na odjezdnem wręczył bratu paczkę wykupionych weksli, a oprócz tego wypłacił mu z górą trzysta rubli, które pozostały ze schedy.

Szeroko otwarł usta i oczy pan Walenty, mniemał bowiem, że to wszystko jest dziełem poświęcenia braterskiego. Zabolało go niezmiernie, że Marcinek krzywdzi własną rodzinę, niosąc mu

pomoc tak wspaniałomyślnie. Rzucał się, nie chciał w żaden sposób przyjąć daru, a nieustannie powtarzał:

— Tylko ja jeden powinienem być ofiarą swojej własnej lekkomyślności!

Pan referent z Opoczna podniecał jeszcze te zgryzoty i wyrzuty sumienia.

— Nie dziw — mówił spokojnie, — kiedy się rodzony brat poświęca dla dobra brata; ale powiedz mi, Walusiu, jak nazwać człowieka, który się poświęca, ginie, umiera z głodu jedynie dlatego, ażeby jakiś tam próżniak, nicpoń ostatniego rzędu, miał za co hulać?

— Wiem, wiem, braciszku, jestem skończonym głupcem, osłem!... Jednakże z tego nie wynika, ażeby twoje biedne dzieci zostały ofiarami mojej lekkomyślności.

Kiedy się już tak natruł, nagryzł referent pińczowski, kiedy kilkakrotnie wyrzucił z siebie przysięgę, że swoją drogą weksli nikomu nie będzie nigdy poręczał, a swoją ofiary brata za nic w świecie nie przyjmie, wówczas Marcinek zaczął go uspokajać:

— Pokażę ci czarne na białem, udowodnię, że z mojej strony nie było żadnej ofiary; niemniej jednak rzuciło się pieniądze gorzej niż w błoto. Obecnie z ostatniej nędzy wyratowała cię scheda; ale, gdyby nie to, ja, brat, musiałbym o twem ocaleniu z obowiązku pomyśleć, albo gryźć się twoją niedolą.

Po bardzo tkliwem pożegnaniu, rozstali się nareszcie dwaj bracia referenci.

* * *

W starym Pińczowie bez mała wszystko po staremu. Tylko bardzo nieznaczne zmiany pozachodziły tu i owdzie. Zacznijmy od płci pięknej. Na wieczorkach z tańcami i bez tańców — takie same plotki, obmowy. Tylko panna Aniela coraz częściej przytacza prowizora Skrzekowskiego, tylko pani konsyliarzowa coraz żywiej daje uczuwać towarzystwu, że żona lekarza wcale nie jest pospolitą żoną, i ciągle przypomina paniom pińczowskim ich umysłowe zaniedbanie. Ach, jak ona się nad niemi pastwi, wybucha szyderstwem, jeżeli która nie wie na przykład, co to są antypody, promienie Roentgena, medyumizm i t. d.! Pan referent i teraz — jak zwykle — albo pracuje w biurze, albo używa przechadzki za mostami na Nidzie, albo z zapałem pochłania powieści. Tylko teraz ma on minę jakąś weselszą, nosi nowy surdut, nowy kapelusz i stojące, bardzo widoczne kołnierzyki. Kasyer, pomocnik, sekretarz, kancelista zawsze grywają u Fajbusia o kolejkę kieliszków araku. Tylko teraz ubierają się jakoś mniej odpowiednio do bieżącej pory roku. Ha, bo zabrakło w mieście «dobrego» poręczyciela i Mordka nie chce dawać pożyczek! O referencie Ogrodzińskim — ma się rozumieć — roz-

mawiają wszyscy, zawsze i wszędzie. Od czasu pobytu tutaj Marcinka pan Walenty nie schodzi z myśli i języka Pińczowian.

Atoli nikogo teraz nasz referent nie obchodzi tak żywo, jak Rotszylda pińczowskiego. Lichwiarz uważał sobie za ciężką krzywdę, niejako za urągowisko i psotę losu, że taki «godny, dobry» człowiek nie jest w jego rękach.

— On się teraz zaczął ubierać, żyć lepiej, pieniądz wyraźnie pachnie od niego, a ja żadnego interesu z nim nie robię!

Jastrząb na widok tłustego gołębia, do którego dobrać się nie może, zawołałby, gdyby umiał mówić: «Aj waj mir!»

Z powodu tego «dobrego» a dzisiaj niedostępnego referenta Czapnik nie mógł sypiać po nocach. Podobnie jak się zdarza panu mieć dobrego, wiernego sługę, księdzu gorliwego wyznawcę, nauczycielowi zdolnego i pilnego ucznia, tak Mordce nadarzył się był idealnie dobry dłużnik i dziś oto lichwiarz opłakiwał jego utratę. Już kilka razy odwiedzał Walusia i zawsze znajdował drzwi zamknięte.

— Nu, po co jemu ludzie, jak on ma teraz pieniądze?

Lichwiarz zapalał się coraz bardziej do idei zbadania rzeczywistego stanu kieszeni referenta i ponownego nawiązania z nim stosunków. Czatował na podcieniu w tej porze, kiedy Ogrodziński używał zwykle przechadzki, i udawał, że się przy-

padkiem spotykają; z całą uprzejmością oddawał pokłon czapką — od czapkowania przezwano go «Czapnikiem.»

— Do usług pana referenta!

— Aa, Mordka! Co słychać? — mówił z roztargnieniem pan Walenty.

— Bardzo ciężkie teraz czasy! — odpowiadał lichwiarz z goryczą, a w głosie jego brzmiała niejaka uraza do Ogrodzińskiego.

— Podobno cholera gdzieś około Chmielnika? Słyszał Mordka?...

— Cholera idzie i interesów niema!.

— Przecież chyba w Pińczowie nie brakuje takich, którzy chcą pożyczać?...

— Z przeproszeniem, pan referent żartuje!... Czy ja z każdym chcę mieć do czynienia? Ja tylko z godnym, poczciwym człowiekiem robię interes!

Mówił z takiem namaszczeniem, jak gdyby obdzieranie poczciwych ludzi stanowiło zaszczyt i chlubę. Szedł obok referenta, utyskiwał na ciężkie czasy:

— Mam żonę, mam siedmioro dzieci; sam żyć muszę i one żyć muszą... Nu, a skoro interesów niema, z czego one będą żyły?

Czapnik na chwilę nie przypuszczał, ażeby lichwiarstwo przynosiło mu jakąś ujmę.

— Ja chcę człowiekowi wygodzić, ja lubię człowiekowi wygodzić; ale niech on będzie godny, poczciwy człowiek!

Tymczasem w Pińczowie uczciwy człowiek właśnie nie chciał robić interesu. Jak tylko Mordka zaczynał malować jaskrawy obraz niedoli swoich siedmiorga dzieci, przedstawiać, jak go już różni ludzie pozarywali i wydarli mu jego krwawą pracę, Ogrodziński doznawał pewnego wzruszenia, obawiał się, aby go lichwiarz nie nakłonił do jakiego poręczenia, i mówił:

— Do widzenia, mój Mordka, do widzenia!

Z temi słowy pędził na mosty jak szalony, a lichwiarz spoglądał za nim, myśląc:

— Widać pieniądze zrobiły go twardym; on dawniej nie był taki!... Żeby on poręczył, dałbym na nizki procent.

Brał trzy od sta na miesiąc, a oto był gotów zrobić poświęcenie i wziąć dwa, gdyby referent dał za kogokolwiek swe poręczenie. Cóż, kiedy pan Walenty stosunki z kolegami tak teraz postawił, że się nawet nie odkłaniał, jeśli go który witał. Skądże to poszło?

U prowizora aptekarskiego bywały wieczory czwartkowe z preferansem. Kasyer grywał chciwie, podstępnie: liczył nibyto na jakieś nieszczęśliwe składy, zawsze grał o oczko niżej i ogromnie krzywdził wistujących. Kancelista zachowywał ów spokój ducha, charakteryzujący gracza, który chętnie bierze wygrane pieniądze, a przegranych nie płaci. Sekretarz miał taką metodę zapisywania wpadek, lew i zgranej puli, że nawet baczne oko kasyera nie zdołało częstokroć sprawdzić istotnego

stanu rzeczy. Prowizor Skrzekowski grywał szlachetnie, ale nieszczęśliwie i miał zwyczaj biadać, wyrzekać na losy, a gra kasyera doprowadzała go do nadzwyczajnego rozdrażnienia. Otóż na jednym z takich czwartkowych wieczorów trzej urzędnicy bezprzykładnie ograli prowizora, który w przystępie żalu wyrzucił z siebie:

— Trzeba zawsze wiedzieć, z kim się do gry siada!

— Jakto, z kim? Jakto, z kim? — zapytywali kasyer, sekretarz, kancelista, a potem zaczęli go kpać od ostatnich.

Stało się to w Pińczowie sprawą głośną, która podzieliła towarzystwo na dwa obozy: aptekarski i urzędniczy. Obszernie ustosunkowana w mieście panna Aniela wzięła natychmiast Skrzekowskiego pod swe skrzydła — i jak zaczęła odgrzebywać różne sprawki kasyera, sekretarza, kancelisty, tak nareszcie dociekła, że wszyscy trzej sprawiali sobie onego czasu garnitury za pieniądze referenta. Kto wie, czy Mordka nie zdradził tej tajemnicy w nadziei, że Skrzekowski zastąpi mu, choć w części, Ogrodzińskiego. Stronnictwo urzędnicze w odpowiedzi na zarzut, wymierzony przeciw kasyerowi, sekretarzowi i kanceliście, sponiewierało pana Walentego, jako marnego «ciemięgę, gamajdę, kwasigrocha,» i tym sposobem apteka stanęła teraz po jego stronie.

Ogrodziński, prowadzący życie na stołku, mimo swoich przechadzek, potrzebował jeszcze

od czasu do czasu pewnych pigułek, po które zawsze osobiście chodził do apteki i wtedy go Skrzekowski wyciągał na słówka. Bodźca do rozmowy więcej ożywionej dodawała dzisiaj prowizorowi niechęć i gorycz względem biurokracyi pińczowskiej. Ze zdań nawiasowych, ze sposobu wyrażania się przez półsłówka, ogródki, wtrącenia — głównie rozmawiano o bieżącej literaturze — dowiedział się pan Walenty, że urzędnicy zwą go «ciemięgą, gamajdą, kwasigrochem,» co sobie sam tak wytłómaczył:

— Ich zdaniem, poręczałem weksle z powodu swego ślamazarnego usposobienia i braku stanowczego charakteru, a nie przez dobroć i chęć niesienia bliźnim pomocy. Za twoje myto kijem cię obito.

Już teraz między referentem a resztą urzędników stanął tak wysoki i kolcami najeżony płot, że żadna strona nie myślałaby go przekroczyć.

A Mordka nie przestawał tropić Ogrodzińskiego: wystawał przed biurem powiatu, zastępował mu drogę, czapkował, wszczynał rozmowę — taki ma zawsze dużo czasu wolnego.

Obecnie zadziwiała go okoliczność, że referent jakoś przydługo bawi w aptece, i przez szybę szklaną w drzwiach lichwiarz parę razy zajrzał wewnątrz — taki lubi wszędzie zaglądać. Widział miły uśmiech na ustach prowizora, ale nie widział fizyognomii Walusia, co go korciło. Postanowił załgać się jakbądź do apteki. Uchylił drzwi, wsunął

obnażoną już na ulicy z czapki głowę i — w kabłąk zgięty ciągłym ukłonem, uśmiechnięty jak mógł najprzyjemniej — postąpił na przód. Skarżył się na ból głowy, prosił o bezpłatną radę i o lekarstwo — taki na wszystko się odważy.

Dwaj rozmawiający, jak gdyby nie widzieli kornego Czapnika, gawędzili w dalszym ciągu. Jako ludzie nastrojeni idealnie przez czytanie książek, poruszyli byli dziś już niejeden przedmiot, a prowizor właśnie w tej chwili wyrażał się z uniesieniem o przeróżnych brakach, które w Pińczowie musi znosić człowiek, mający potrzeby wyższej cywilizacyi.

— Toż z tej naszej dziury — mówił tonem cierpkim — nie można na świat wyjrzeć! Latem, dajmy na to, na kąpielach w Busku bawi dużo gości, bywają bale, koncerty, przedstawienia teatralne i mógłby człowiek zadowolić swoje potrzeby duchowe. Cóż, kiedy nie mamy stałej komunikacyi!... Słyszane rzeczy, żeby pomiędzy takiemi Kielcami, miastem gubernialnem, a Pińczowem nie kursował codziennie jakiś omnibus?

Że trudno nie podzielać sprawiedliwego oburzenia i dążności w kierunku dobra społecznego, przeto Ogrodziński w milczeniu potakiwał Skrzekowskiemu i nareszcie rzekł:

— Masz pan zupełną słuszność; ale cóż zrobić?

Dotychczas, gdy się spotykali, zawsze była mowa tylko o literaturze:

— Jakże pan referent znajduje ostatnią powieść Rodziewiczówny w Kuryerze?

— Przyznam się panu, wolę tych starszych autorów: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego.

Dziś po raz pierwszy napoczęli sprawę społeczną, praktyczną.

— My chrześcijanie — mówił poważnie prowizor, zawijając dla Mordki proszek antipiryny — nie posiadamy ducha solidarności... Słowo honoru daję, żydzi nas przewyższają.

Czapnik nastawił oba uszy i w milczeniu rozważał, co to jest «duch solidarności,» a Skrzekowski tak dalej ciągnął:

— Nie chodzi tu o budowanie kolei żelaznej, ani przeprowadzanie linii tramwajowej, choć i to dałoby się zrobić, gdybyśmy się wszyscy poczuwali do solidarności. Tymczasem «unitis viribus» możnaby kupić parę koni, omnibus i byłaby stała komunikacya. O zakład pójdę, że tu strat być nie może, a społeczeństwu odda się ogromną przysługę. Bo czy może się rozwijać cywilizacya bez komunikacyi?... Powie kto: welocyped! Ale jedźże na welocypedzie do Buska przez Bogucice, albo do Kielc przez Kije! Jedno z dwojga: albo cię obedrą, albo psy rozszarpią.

— Ile też może kosztować para koni? — zapytał pan Walenty, który czytał różne prace Smilesa i przychodzili mu na myśl liczni dobroczyńcy ludzkości.

W tej chwili Mordka mrugnął wymownie na referenta, dając mu do zrozumienia:

— Miej się na baczności, nie rób interesu!

— Para dobrych koni kosztuje najwyżej dwieście do dwustu pięćdziesięciu rubli, a omnibus kryty... w naszym klimacie koniecznie kryty... pewnie drugie tyle.

— Kto wie, czybym do tego ręki nie przyłożył — mówił referent z namysłem. — Tylko, widzi pan, ja rozumiem współkę z ludźmi...

— O, ma się rozumieć! Ludzie, najpierwszy warunek! Jabym się tu z lada kim nie wdawał! Wspólnik musi być jak łza czysty! — wykrzykiwał Skrzekowski. — Pan referent, ja i mam na myśli trzecią osobę, która pod każdym względem, słowem honoru ręczę, zasługuje na nasze zaufanie...

Nawiasem mówiąc, trzecią osobą na myśli prowizora była panna Aniela.

Mordka chrząknął, mrugał oczyma, wykrzywiał usta, chciał w jakibądź sposób zwrócić na siebie uwagę Ogrodzińskiego, który się widocznie palił do projektu ustalenia komunikacyi. Lichwiarz odzyskał dopiero spokój, kiedy referent wyrzekł:

— Ha, trzeba się zastanowić!

I z temi słowy uścisnął prawicę prowizora, zabrał pudełko z pigułkami, śpiesząc na przechadzkę za mosty.

Czapnik też bez zwłoki czasu za nim podążył, zatrzymał się tylko na podcieniu przez krótką chwilę, gdzie spostrzegł przekupkę z opuchniętą

ręką i za trojaka sprzedał jej proszek antipiryny jako lekarstwo na puchlinę. Taki na wszystkiem zrobi interes.

Jeszcze pan Walenty nie przebył pierwszego mostu, a już go Mordka dopędził i temi słowy wyrwał z zamyślenia:

— Pan referent myśli temu Skrzekowskiemu kupować konie, żeby on do Buska na bale jeździł?

Ogrodziński z roztargnieniem spojrzał na żyda, wzruszył ramionami i oschle odrzekł:

— Mój Mordka, ty się wcale nie znasz na takich rzeczach!

— Jak ja się nie mam znać, kiedy Icie, mój szwagier, jest furmanem w Pińczowie?... Pan referent nie zna Icie? Jego ojciec, Nuchym, całe życie handlował końmi ze szlachtą...

— To i cóż z tego? — spytał pan Walenty, niezadowolony, że mu lichwiarz zakłóca poważne rozmyślania.

— Nu, po co pan referent ma robić zły interes? Kto na furmaństwie zarobi?

— Dajcie mi pokój! — zawołał niecierpliwie Ogrodziński i mówił dalej, jakby sam do siebie:— Tu chodzi o stałą komunikacyę, a on mi o furmaństwie prawi!

— Jaka stała, jaka «konikacya?» — pomrukiwał Czapnik.

Przystanął na skraju drugiego mostu i spoglądał za referentem, pomykającym samotnie w kierunku Skrzypiowa. Pieniądz w kieszeni

takiego dobrodusznego, miękkiego człowieka był do wzięcia, a tu się wymykał i widocznie lazł w ręce inne, nie Mordki, którego teraz aż złość brała!

— Aj, ty głupi dureń! — bąknął zły, rozżalony lichwiarz i zawrócił do domu.

W miarę tego, jak się zbliżał ku ognisku rodzinnemu, prądy nowych myśli powstawały w jego ruchliwym umyśle i nowe uczucia ożywiły serce. Mordka bowiem postawił sobie teraz takie pytanie:

— Czy nie można zrobić interesu na pragnieniu referenta zaprowadzenia w Pińczowie stałej komunikacyi?

Sam sobie dał odpowiedź, płodną w bogate nadzieje.

Uradowany własnym pomysłem, przystanął przed straganem, gdzie Małka, stara żydówka z czerwonemi, zaropiałemi oczyma, sprzedawała makagigi, pierniki, farbowane cukierki, i za dwa grosze wytargował garść tych przysmaków dla dzieci.

W domu obdzielił łakociami garnący się do niego drobiazg, pogłaskał najmłodsze dziecko, które z objęć matki wyciągało lepkie od brudu rączęta. Zaszwargotał do żony, pytał, czy owczarz z Szańca nie przychodził wykupić korali, zastawionych miesiąc temu.

Krótko zabawił, poszedł na rynek i zatrzymał się przed zajazdem, gdzie na ławeczce zwykle

odprawiał czaty rudy faktor, Kasztan. Faktora wypytywał Czapnik o komornika, który przed trzema dniami przybył na posadę ze Stopnicy; potem go badał, co wie o dzierżawcy z Koperni, poszukującym od tygodnia pieniędzy na zapłacenie podatków. Otrzymał wiadomości pocieszające: komornik — człowiek wesoły, lubi zjeść, wypić, w karty zagrać, pewnie bez pożyczki nie wytrwa; dzierżawca do tego czasu pieniędzy nie dostał i niezawodnie warunki Mordki przyjmie, a tymczasem gra u Fajbusia w bilard. Lichwiarz, nie tracąc czasu, poszedł teraz do swego szwagra.

Furman Icie był to wysoki, chudy chłop, o ponurym, dzikim wyrazie twarzy i oczu. Pogodny uśmiech szczęścia życiowego nigdy nie postał na jego ustach zaciętych, otoczonych wełną zrudziałego włosia. Brudny, cały w łachmanach, ruchający się, nosił wyraźnie na sobie wyryte piętno: «z prochu i błota ziemi powstałeś!» Jaki pan, taki kram. Narzędzia i warsztat pracy Icia stanowiły trzy szkielety zwierzęce, istnie apokaliptyczne potwory, godne pędzla mistrza Chełmońskiego. Mógł zrozumieć całą nędzę życia ten, kto jeden raz widział Icia, jego budę z płótna sczerniałego, pełną łat, dziur, i owe trzy szkapy oślepłe, schudzone, poodparzane, oparszywiałe, kulejące, z obitymi bokami, z resztkami wystrzępionych ogonów.

A jednak gwiazda sławy świeciła nad tym człowiekiem. Co najmniej w pięciomilowym pro-

mieniu nie było takiego szynkarza, pachciarza, faktora, handlarza, któryby nie znał i nie cenił Icia furmana. Po ojcu, głośnym handlarzu koni, odziedziczył w spadku zawód i nieco towaru; ale syn prześcignął ojca w sztuce podrabiania koniom zębów i utajania różnych ich kalectw.

Już się dorabiał majątku, kiedy dosięgła go mściwa ręka sprawiedliwości i nielitościwie osadziła w więzieniu za sprzedawanie po jarmarkach koni kradzionych. Cały dorobek zmarniał, a w dodatku Icie, po powrocie z więzienia, utracił prawo prowadzenia handlu końmi. Został furmanem, nie spuszczał z oka dawnych stosunków, a jako biegły rzeczoznawca, bywał i tak nieraz ludziom użyteczny.

Szwagra Mordkę powitał Icie w swoich progach bardzo obojętnie — zaledwie coś mruknął pod nosem, zerknął nań z pode łba, nie przerywając sobie ogryzania kostek gotowanej kury, której nogi i skrzydła sterczały z miski, zastawionej na stole. Szwargotali naprzód półsłówkami; znać było, że Icie zbywał zapytania szwagra, dopóki nie ogryzł ostatniej kostki kury. Teraz ich szwargotanie ożywiało się już coraz bardziej: pytania i odpowiedzi żwawo następowały jedne po drugich. Pod koniec rozmowy powstał gwałtowny harmider, jaki zwykle wybucha, kiedy się żydzi targują o zyski spodziewane. Nareszcie nastąpiła cisza, szwagrowie widocznie doszli do porozumienia.

W przekładzie na język polski tak się to przedstawia:

— Icie, czy możesz mieć na każde moje zawołanie konie do sprzedania?

— Co za konie? — pytał furman, dając do zrozumienia, że koń koniowi nie równy ze względu na cenę i przeznaczenie.

Mordka wyjaśnił, że mu chodzi o parę koni pociągowych w cenie około dwustu rubli. Na to Icie odrzekł szwagrowi:

— Czy to ma być mój, czy twój interes?

— Kiedy ja to robię, to mój!

— Po co się wdajesz w koński interes? Ty pieniądze pożyczaj na procent!

Czapnik tłómaczył, że to może być interes mieszany: nawpół koński, nawpół lichwiarski, inaczej mówiąc — współka koniokrada z lichwiarzem.

I tu właśnie wybuchnął spór o zyski za skórę żywego jeszcze niedźwiedzia. Ale przecie kruk krukowi oka nie wykole.

Lichwiarz opowiadał teraz w tajemnicy każdemu, kogo spotkał, o zamiarach Ogrodzińskiego zaprowadzenia stałej komunikacyi.

Zjawiła się w Pińczowie niebawem opinia publiczna — czynnik, wobec którego jednostka ludzka nie może być bierną. Jedni wyrażali uznanie dla Walusia: «Czyn chwalebny, niema co mówić! Położy niespożytą zasługę!» Oględniejsi w sądach mówili z powątpiewaniem: «No, no, zobaczymy.» Inni, skrajna lewica — że ich tak nazwiemy —

wydrwiwali Ogrodzińskiego, powtarzając: «Referent zaprowadza pociągi spacerowe między Pińczowem a księżycem.»

Panna Aniela, obecnie gorąca stronniczka referenta, poczuwała się do obowiązku bronienia otwartego sprawy komunikacyi na wieczorkach tańcujących i balikach. Gromiła ją z tego powodu lekceważąco pani konsyliarzowa mniej więcej temi słowy:

— Zdaniem mego męża, Ogrodziński jest to konstytucya na wskróś neuropatyczna. Czy pani wie, że taki neurastenik uważa się nieraz za Archimedesa, ponieważ pozostaje pod wpływem halucynacyi, czyli omamień?... Któż widział brać grę chorobliwie podrażnionej wyobraźni za proces mózgu normalnego?

Referent przychodził teraz już do apteki codziennie, choć i nie potrzebował pigułek; rozwijał tutaj swój pomysł, a opowiadania o tem, co w mieście mówią, podniecały go nadzwyczajnie. Gorąco pragnął godnie odpowiedzieć oczekiwaniom takich, którzy pokładali w nim ufność. Jednocześnie ambicya nakazywała mu postawić na swojem, wbrew przekonaniom wątpiących i drwinkarzy.

— Otóż, daję słowo, komunikacya stanąć musi! — tak sobie powiedział zacięty w postanowieniu pan Walenty i zabrał się niezwłocznie do spisania warunków umowy współki, które nazajutrz Skrzekowski i panna Aniela podpisali bez najmniejszego wahania.

— Między uczciwymi ludźmi zbyteczne są jakieś wątpliwości, skrupuły — powiedział prowizor, wręczając referentowi egzemplarz umowy, zaopatrzonej w podpisy.

Najgłówniejszy punkt w owej umowie opiewał, że wszelkie wydatki, zyski i straty rozdzielają się między troje wspólników w częściach równych.

Ogrodziński bez straty czasu zajął się następnie wypracowaniem dokładnego kosztorysu, przyczem doszedł do przekonania, że, aby nie zamęczać codziennym kursem nieszczęśliwych zwierząt, wspólka powinna zakupić dwie pary koni. Prowizor i panna Aniela zgodzili się chętnie i na ten wniosek. Upraszano tylko referenta, aby raczył tymczasowo z własnej kieszeni wydatkować, przez co się uniknie drobnych rachunków i uprości sposób ich prowadzenia.

— Ależ ma się rozumieć! — zawołał pan Walenty. — Podstawą naszej wspólki jest wzajemna ufność i dobra wiara.

Rozrzewnił się Skrzekowski, referent także i przy tej sposobności jeden drugiego serdecznie za rękę ściskał, a w policzek całował.

Z rysunkiem omnibusu własnego pomysłu zwrócił się teraz Ogrodziński do kołodzieja i przy zamówieniu wyliczył z własnej kieszeni zadatek. Współcześnie z kołodziejem rymarz pracował nad uprzężą na dwie pary koni, a Kasztan, faktor, otrzymał polecenie, ażeby zawczasu myszkował,

czy jaki okoliczny właściciel ziemski nie ma do zbycia zdrowych i silnych koni zaprzęgowych. Któryś z lepiej zagospodarowanych mieszczan pińczowskich podjął się przygotować dla wspólki stajnię na cztery konie i szopę na omnibus. Poszukiwano też na wszystkie strony woźnicy, człowieka trzeźwego, dbałego, statecznego, któremuby można było powierzyć za oczy konie i brykę. Kołodziej i kowal pracowali tak pośpiesznie, że jeszcze szopa nie była gotowa, a już jednego dnia Pińczów ujrzał wielką, na szafirowo lakierowaną budę, którą czeladź kołodzieja własnemi rękami zatoczyła przed okna mieszkania referenta. Licznie zebrany tłum z daleka i z blizka podziwiał to zjawisko, a małe dzieci radosnym okrzykiem powitały omnibus komunikacyi pińczowskiej.

Podczas oględzin ukończonego dzieła zaniepokoiła pana Walentego myśl:

— A jeżeli się zdarzy pasażerka, niemogąca znosić dymu papierosów i cygar?

Rzecz prosta, w omnibusie takim muszą być dwa przedziały: dla palących i niepalących. I okazała buda na kołach, odprowadzana przez gawiedź, wróciła do kołodzieja.

— Aj, aj, jaki ja głupi żyd! — mówił teraz Czapnik przy spotkaniu z Ogrodzińskim. — Nu, nie ja jeden!... Mądrzy panowie, katoliki, także nie wierzyli, żeby pan referent zrobił rzecz taką śliczną. Z przeproszeniem pańskiem, czy ja mogę powiedzieć słówko jedno?

— Proszę, niech Mordka mówi!

— Jakby pan referent chciał na ten interes pieniędzy, to one będą... Aj, aj, taki śliczny interes!

— Nie potrzebujemy pieniędzy, mój Mordka! — odparł Waluś, chcąc się pozbyć lichwiarza, ponieważ sobie postanowił podczas tej właśnie przechadzki ułożyć instrukcyę dla woźnicy omnibusu.

Wprawdzie Skrzekowski dowodził, że się nie obejdzie bez konduktora; ale referent był przeciwnego zdania, co, jak dotąd, stanowiło jedyną kosteczkę niezgody między wspólnikami. Kosztowną posadę konduktora zastąpił dzwonek pomysłu Ogrodzińskiego, zawieszony nad głową furmana, a połączony taśmą z pasażerskimi przedziałami w omnibusie.

— Osoba konduktora — mówił pan Walenty — jest dla wygody pasażerów, którzy i bez niego mogą życzenia swoje przesyłać woźnicy za pomocą dzwonka. Dajmy na to, jeden dzwonek jest sygnałem: stój! Podwójny dzwonek może wyrażać życzenie: pośpieszaj! Trzy dzwonki: omijaj wyboje! Cztery: nie pędź koni!

— W czasie podróży—twierdził prowizor— zdarzyć się mogą przypadki, gdzie tylko człowiek intelligentny rozstrzygać może... Bo cóż zrobi, panie referencie, furman, jeżeli ktoś na przykład będzie niegrzecznie natrętny względem dobrze wychowanej kobiety?

Nawiasem mówiąc, ten skrupuł podsunęła Skrzekowskiemu panna Aniela:

— Chociaż należę do wspólki, nie puściłabym się w podróż takim omnibusem bez konduktora, chyba w towarzystwie któregoś z panów dobrze znajomego.

Referent nie chciał ustąpić, ponieważ swój pomysł dzwonka stawiał bardzo wysoko, a o konduktorze obok dzwonka wyraził się ironicznie:

— Jest to drugi grzyb w barszczu.

I odtąd wystrzegał się starannie dotykać tego drażliwego przedmiotu w rozmowie z prowizorem.

Tak się miały sprawy wspólki komunikacyjnej, kiedy jednego dnia przed wieczorem wpadł do referenta faktor zadyszany i oznajmił, że niejaki pan Urwański, obywatel ziemski z pod Pilicy, ma do sprzedania tęgą czwórkę, którą można kupić bardzo tanio; ale trzeba się śpieszyć, ponieważ ten Urwański jutro rano odjeżdża pod Staszów na pogrzeb swej matki.

Ogrodziński już był wydał wszystką gotówkę, jaką posiadał, przeto pobiegł co tchu do apteki i opowiedział Skrzekowskiemu, o co chodzi, wyraźnie dając do zrozumienia:

— Dotąd ja ponosiłem koszta, teraz kolej na resztę wspólników.

Prowizor skrzywił się jakoś i — jak mówił — poszedł pomówić z panną Anielą. W kilka minut wrócił, miał minę bardzo rzadką.

— Szanowny panie referencie dobrodzieju — mówił, — co tu owijać w bawełnę! Ja i panna Aniela stanowimy dziś już jedność, jesteśmy po słowie... Pierwszemu w Pińczowie panu referentowi to wyznaję ze względu na wielki szacunek... Co się tyczy pieniędzy, cały nasz majątek jest w premiówkach, a tu ciągnienie za półtora miesiąca, może paść główna wygrana i panna Aniela papierów takich z rąk nie popuści... Kobiecie trzeba robić ustępstwa, rozumie to dobrze pan referent dobrodziej. Wszedł nam po części w drogę i ten konduktor.

Osłupiał pan Walenty wobec takiego wycofywania się z interesu swoich wspólników i zawołał:

— Panie prowizorze, przecież między nami stanęła umowa dobrowolna! Konie! Na miłość Boga, konie trzeba kupić!

— No, widzi pan referent dobrodziej, w takiej ważnej chwili i... Prawdziwie, nieszczęścia trzeba!

Zzieleniał pan Walenty i, niecierpliwie drepcąc po aptece, mruczał:

— Jakieś żarciki ze mnie stroją! Ho, ho, ho!

Skrzekowski chciał go udobruchać i mówił:

— Może pan referent zaciągnie gdzieś tymczasem pożyczkę na kupno koni, a ja, słowo uczciwości daję, dołożę wszelkich starań, ażeby to później wyrównać, uregulować... Przecież nie chodzi o sumy bajońskie.

— Ja weksli nie poręczam! — odrzekł opryskliwie referent.

— Ha, to poręczą wspólnicy... rzecz zwykła we wszystkich spółkach handlowych.

Te słowa podziałały uspokajająco na pana Walentego. Nie tracąc czasu, poszedł do Mordki, który nie umiał ukryć radości z powodu, że może wygodzić «uczciwemu i godnemu człowiekowi.»

Lichwiarz zgadzał się jak najchętniej zapłacić panu Urwańskiemu umówioną sumę za cztery konie i wziąć w zamian weksel, podpisany przez troje wspólników, ale z niedowierzaniem wstrząsał głową, kiedy referent upewniał, że wspólka spłaci dług najpóźniej za dwa miesiące. Ponieważ Czapnik potrącał sobie procent z góry za cały czas oznaczony na wekslu, przeto Walenty, wiedząc, czem to pachnie, usiłował wymódz termin jak najkrótszy.

— Po co wspólka ma opłacać procent, kiedy ma gotówkę i tylko na krótki czas potrzebuje zaciągnąć pożyczkę?

— Nu, pan referent mię zna, wie, z kim ma do czynienia! Ja wezmę procent za sześć miesięcy, a jak ja dług odbiorę za dwa, to zwrócę resztę procentu. Mordka jest zgodny człowiek... o co chodzi?... Dla mnie te kilka rubli nic nie znaczy, dla mnie człowiek znaczy.

Żyd postawił na swojem.

Nazajutrz niezmordowany referent kupił cztery konie; ale panna Aniela nie chciała po-

łożyć swego podpisu na wekslu, a Czapnik tak to objaśnił panu Walentemu:

— Ona jest mądra osoba... ona sobie powiada: «Niech ja zobaczę, jak ten interes pójdzie!...» Ona chce być wspólniczką w zyskach, a straty musi pan referent z własnej kieszeni płacić... Bardzo mądrą kobieta!

Uwaga lichwiarza tem bardziej zaniepokoiła referenta, że i o Skrzekowskim wyrażał się Mordka z lekceważeniem:

— Co jemu szkodzi podpisać weksel, kiedy on płacić nie myśli?... Jak on się ożeni, kupi sobie aptekę, to on cały majątek przepisze na żonę! Aj, aj! ja powiadał panu referentowi, że z panem prowizorem jest żaden interes!

Ogrodziński nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Świat wydawał mu się być pustynią, w której przebywa jego samotna dusza, ścigana przez gromadę chciwych, drapieżnych wilków. Zwątpił w ludzkość, stracił wiarę w swoje usiłowania, zbladły mu, zmalały wszystkie ideały, poczucie marności wiało nań ze świata. Drobne krople trucizny, z zimną krwią wlanej przez lichwiarza w duszę referenta, rozeszły się podczas nocy — rzec można — po całym organizmie: nad ranem — ból głowy, niechęć do jakiejkolwiek pracy. A tu faktor dobijał się do drzwi mieszkania, ponieważ przyprowadzał z sobą kandydata na woźnicę omnibusu komunikacyjnego. Łuka Krzywoń ze Skowronna sługiwał za fornala w okolicznych

dworach, a jak jego świadectwa służbowe opiewały, był «trzeźwy, zdatny i służbisty człowiek.» Czegóż więcej chcieć od woźnicy?

Pamiętny był to dla Pińczowa dzień 15 października, kiedy omnibus współki komunikacyjnej po raz pierwszy wyruszał do Kielc z przed mieszkania referenta. Od rana deszcz padał, wiatr huczał — brzydki dzień jesienny. Chociaż się nie znalazł ani jeden pasażer niepalący, zapełniono jednak wszystkie miejsca obu przedziałów. Z dobroczynnego pomysłu stałej komunikacyi korzystała dzisiaj wyłącznie klasa zamożniejszych kupców izraelskich, których nazwiska wpisał pan referent w przygotowany na ten cel «album pasażerów.» O cenach stałych nie było mowy; niektórzy z tych podróżników przez pół dnia suszyli Walusiowi głowę, aby wytargować kilka kopiejek — krzyż Pański. Jeszcze więcej kłopotu było z unormowaniem opłaty za przejazd dla takich, którzy, nie dojeżdżając do Kielc, wysiadali w Kijach, w Morawicy i t. d. A co dzikich pretensyi! «Dlaczego taki sam omnibus nie odjeżdża do Działoszyc, Chęcin, Sobkowa, Wiślicy?» I ciągle ta buta gburów: «ja płacę.» Ze względu na znaczną ilość pasażerów, ogromne błoto, no i na pierwszy występ współki komunikacyjnej, rozkazał referent założyć dziś do omnibusu pełną czwórkę. Kasztany parskały, biły kopytami ziemię, a Krzywoń, usadowiony na koźle pod dzwonkiem, starannie wygolony, w szaraczkowym płaszczu z pe-

leryną, w kaszkiecie z szychowym lampasem, istotnie wyglądał posągowo. Pomimo deszczu, gromada gapiów oblegała omnibus, a chciwsi wrażeń odprowadzali go aż pod górę św. Anny. Ktoś zauważył, że panna Aniela z okna apteki zrobiła ręką znak krzyża za odjeżdżającym omnibusem.

Wieczorem tego dnia poszedł pan Walenty używać przechadzki już nie za mosty na Nidzie, a w kierunku, skąd omnibus miał powracać. Deszcz zaczął padać i referent przyśpieszonym krokiem wrócił do domu. Tym razem nie zabierał się do ulubionego czytania, tylko nasłuchiwał i wielokrotnie doznał zawodu, mniemając, że posłyszany turkot zwiastuje powrót omnibusu. Wsparty na łokciu, drzemał, kiedy dobrze już po północy ktoś do drzwi zastukał. Referent otwarł, a widząc przed sobą zmokłego, zabłoconego i nawpół pijanego Krzywonia, rzekł:

— Chwała Bogu, wróciłeś! Droga musi być fatalna, co?

— Oj, toć od samej Morawicy drę na piechty i ledwie ducha czuję w sobie!

— Gdzież konie, omnibus?...

— Konie ponoś kradzione, wyprzęgli mi je przed karczmą w Morawicy i zabrali... Gwałt był straszny, urwanie głowy!

— Człowieku, co ty mówisz?

— Mówię prawdę szczerą! Szczęście moje, żem z takich tarapat duszę uniósł w ciele.

— Jakżeś ty mógł odbiedz koni, bryki, które ci powierzono?...

— A juści, miałem czekać! Z takim, co własne konie odbiera, żartów niema!

W kilka dni potem przeprowadzała śledztwo policya, a ciągle zwracano się do Ogrodzińskiego z pytaniem, czy w sprawie kradzionych kasztanów nie podejrzywa ręki Icia furmana.

Minęło pół roku i Mordka zgłosił się do referenta z żądaniem odnowienia wekslu i opłacenia procentu z góry za następne sześć miesięcy.

Zresztą w starym Pińczowie mało co się zmieniło. Tylko, zamiast prowizora, kasyer poręczał weksle referenta, a referent poręczał weksle kasyera i — ma się rozumieć — spłacał jedne i drugie.

W PARAFII ŚWIĘTEGO HUBERTA.

NOWELLA.

I.

Sąsiadki z całej okolicy zajmowały się bardzo skwapliwie panią Różą Gorzańską z Zawierzbia, a głównie dlatego, iż się oddawała myśliwstwu z niezmiernym zapałem. Młoda i urodziwa wdowa, posiadająca dostatni majątek, powinna była przecież ożywiać okoliczne bale, kuligi i tym podobne zabawy. Ona tymczasem wolała harcować na ognistym wierzchowcu po polach, szczując szaraki i lisy. Innym razem zapuszczała się w knieję z ogarami i prawdziwie po męsku znosiła dokuczliwe nieraz trudy, niewygody życia łowieckiego. «Hajdamaka, nie kobieta»—mówiły sąsiadki ze zgorszeniem. A jednak pani Róża, pominąwszy ową strzelecką żyłkę, zresztą nie miała w sobie nic z tego, co charakteryzuje płeć piękną, należącą do gatunku «hic mulier.» Przeciwnie, posiadała liczne, zacne przymioty, które przyozdabiają rzetelnie dobrą kobietę. Jej dzielność, niepospolita śmiałość, przytomność umysłu dodawały — rzec można — uroku niewieściej delikatności uczuć, łagodności i naturalnej, niewymuszonej prostocie. Również i powierzchowność tej nowożytnej Atalanty bynajmniej nie przypominała jakiegoś wąsatego rycerza,

którego pełne, czerwone policzki, gruby kark, szerokie ramiona zapowiadają siłę i wielką wytrzymałość na wszelkie znoje. Niktby na rzut oka nie sądził, że szczupła, kształtna, średniego wzrostu, szatynka, o małych, delikatnych rączkach, drobnych stopach, częstokroć od wschodu słońca do późnego zmroku ugania się na mrozach, po boru za zwierzyną. Tylko rysy pociągłej, ogorzałej twarzy zdradzały energiczną przedsiębiorczość i stanowczość woli, a w bystrych, ciemnych jej oczach zdawała się odbijać pełnia życia, tlał jakoby temperament duszy namiętnej. Nie należała do rzędu tak zwanych klasycznych piękności, ale posiadała ów powab niewieści, który się słowami określić nie daje, a który nieprzeparcie pociąga i podbija. Otóż w rzeczywistości nałogi myśliwskie do wszystkich jej wdzięków dodawały urok oryginalności.

Daremnie niezadowolone starsze i młodsze sąsiadki z okolicy usiłowały, aby śmiesznością okryć panią Gorzańską, aby jej dokuczyć złośliwemi obmowami; ona wcale na to wszystko nie zważała i nie zmieniała swych upodobań.

Ale złośliwość i plotki wtedy dopiero nadzwyczajnie wzrosły, gdy Róża, która dotychczas polowała tylko w towarzystwie swego strzelca, starego Jaśka Muchy, przybrała sobie za towarzyszów dwóch sąsiadów, braci Kłuszyńskich: pana Piotra z Gajowa i pana Adama z Ulanowa. Byli to swoją drogą zagorzali myśliwi, a jedno-

cześnie kandydaci do stanu małżeńskiego w okolicy, gdzie panien huk, młodzieży bardzo mało. O młodszym Kłuszyńskim, panu Adamie, chodziła nawet pogłoska, iż czynił zabiegi o rękę panny Klary Wicińskiej z Krajewa, a tu go sobie wdówka pozyskała jako towarzysza łowów.

To też zawiedziona w swoich rachubach matka panny Klary przy pierwszej sposobności nie omieszkała wyrazić się o tym stosunku z wielkim naciskiem i niezmierną goryczą: «Ta Gorzańska widocznie sobie myśli, że święty Hubert da jej ślub w lesie z dwoma naraz braćmi Kłuszyńskimi.»

Rzecz dziwna, to przewidzenie zgoryczonej matki było poniekąd przepowiednią.

Istotnie, dwaj bracia Kłuszyńscy w niedługim czasie zapałali uczuciem gorącej miłości do nadobnej towarzyszki polowań. Stąd poszło przedewszystkiem rozluźnienie ścisłych aż do tej chwili węzłów uczuć braterskich. Pół roku dopiero przeszło, a już Kłuszyńscy nigdy się razem nie zjeżdżali w Zawierzbiu; ale każdy przybywał oddzielnie — i jeśli się na wstępie od służby dowiedział o bytności brata w domu wdowy, natychmiast kazał zawracać.

Trzęsła się okolica od plotek i raz opowiadano, jakoby pan Piotr szczęśliwszy był w swoich zabiegach u pani Róży, to znowu przytaczano liczne szczegóły, świadczące, że wdowa kocha tkliwie Adama, a Adam wdowę.

Zdaje się, iż wobec tych zakłóconych między braćmi stosunków ustało i polowanie dla czystej przyjemności polowania. Na wszystkich myśliwskich wyprawach celne strzały padały teraz tylko ze strony Jaśka Muchy, strzelca.

«Nie można do dwóch sztuk zwierzyny jednocześnie strzelać — mówiły o pani Róży sąsiadki. — Ona strzela do tej sztuki, którą jej pilno upolować... Ciekawe rzeczy, którego z nich złowi!»

Tymczasem z nadejściem zimy, zaraz po spadnięciu pierwszych śniegów, pan Piotr ciężko zachorował na tyfus i ta niebezpieczna choroba bardzo się przeciągnęła. W okolicy mówiono, że Róża, będąc w obawie, aby nie utraciła jednego ze swych wielbicieli, wymogła to na Adamie, iż odwiedzał brata i rozciągał nad nim podczas choroby troskliwą opiekę, co pojednało zwaśnionych.

— Szkaradna, nienasycona kobieta! — odezwała się jedna z okolicznych matron.

— Potwór, nie kobieta! — zawołała Wicińska. — Dwóch jej koniecznie potrzeba.

Nareszcie, po trzech czy czterech miesiącach choroby, Piotr odzyskał siły i właśnie miał zamiar jednego dnia odwiedzić Zawierzbie, gdy przed domem zaturkotało i przez okno spostrzegł cztery piękne szpaki młodszego brata. Dnia tego Adam był w niezwykle dobrym humorze, a Piotr z niemałem zdziwieniem spostrzegł na jego palcu dobrze sobie znany pierścionek pani Róży. Zepsuło mu to zupełnie wszystkie plany, przeklinał swą

chorobę i powziął postanowienie, żeby już nigdy nogą nie postać w Zawierzbiu.

Aż tu w kilka dni potem Adam znowu przyjechał do Gajowa i, niby też to mimochodem, opowiedział bratu, że jest już z panią Różą po słowie. Piotr nie bardzo mężnie zniósł ten cios, wymierzony w jego serce, i cierpko przyjmował brata. Odtąd też Adam przestał bywać w Gajowie, a przesiadywał w Zawierzbiu.

Zatrzęsła się okolica od plotek na wieść, że powabna wdowa rzeczywiście wychodzi za mąż za młodszego Kłuszyńskiego, jakkolwiek ze starszym była już przedtem po słowie. Wicińska opowiadała już teraz bez najmniejszego skrupułu, że pan Piotr chorował nie na żaden tyfus, tylko że Gorzańska, chcąc się go pozbyć, podała mu w czarnej kawie trutkę taką samą, od jakiej wilk zdycha. «On teraz nie bywa w Zawierzbiu i pogardza tą nikczemnicą! Przekonał się, ale aż trucizny było potrzeba.»

Na kilka dni przed uroczystością zaślubin starszy Kłuszyński skupił w sobie całą siłę woli i pojechał do Zawierzbia odwiedzić przyszłą bratowę. Przecież mu nie wypadało grać śmiesznej roli obrażonego czyli unieszczęśliwionego amanta. Chociaż więc miał smutek w duszy, jednakże uśmiechnięty, jakby nigdy nic, stanął przed tą, którą tak gorąco kochał. Niestety, przekonał się, że uczucia swego nie zdoła puścić w niepamięć! Kochał ją zawsze, teraz może silniej jeszcze.

Ona uśmiechała się do niego jakoś dziwnie, z czego pan Piotr wyprowadził wniosek, że pani Róża musi sobie zadawać przymus, aby mu okazywać uprzejmość. «Moja obecność sprawia jej aż taką przykrość» — pomyślał i to go zabolało, ubodło.

Rozmowa się urywała, jedno i drugie rzucało jakieś dwuznaczniki, do zrozumienia których potrzeba było szczerości, nie przymusu. Wtem przybył Adam, a Piotr, powitawszy go nadzwyczajnie ozięble, natychmiast pożegnał gospodynią i odjechał. Są ludzie, którzy się niejako kochają w smutku, którzy lubią jątrzyć rany swych cierpień. Piotr Kłuszyński do nich należał.

Po ślubie nowożeńcy zamieszkali w Ulanowie. Dwór w Zawierzbiu stał pustką, polowania się przerwały, tylko plotki w okolicy nie uległy żadnej zmianie. Wicińska robiła pewne usiłowania, aby panu Piotrowi okazać swe współczucie i w tym celu wyprawiła męża aż dwa razy do Grajowa, mówiąc:

— Ignasiu, odwiedź tego biednego samotnika! Niech on się przekona, że nie wszyscy o nim zapomnieli! Zaproś go do Krajewa na obiad, na herbatę! Dla takiego nieszczęśliwego ciepło rodzinnego życia ma urok!

— Och, papuńciu, niech go papuńcio zaprosi do nas na jutro!—wołała błagalnie panna Klara.

— Z oczu mu patrzy, że to człowiek szlachetny; niech go papuńcio koniecznie zaprosi! — nalegała Femcia.

I pan Wiciński, człowiek tak otyły, że ledwie oddychał, chodzić wcale nie mógł, jazdy się bał jak ognia z powodu wybojów i z obawy apopleksyi, gdyż wcale nie miał szyi, — dwa razy po strasznej drodze jeździł do Gajowa, ale ani razu nie zastał pana w domu. Potem już napróżno go żona i córki przekonywały, że jeszcze trzeci raz wybrać się powinien.

A dziedzic Gajowa prawie teraz nie wychodził z boru. Jeżeli mu się zaś las uprzykrzył, to się wałęsał po bagnach z ulubionym, niezwykle pięknym i zmyślnym seterem, Paminą. W Ulanowie wcale nie bywał, Adam go też ani razu nie odwiedził.

Prawie rok czasu upłynął od owego ślubu. Starszy Kłuszyński coraz bardziej dziwaczał, zaniedbał w domu gospodarstwo, stronił od ludzi, wyglądał niekiedy jak waryat, dziki człowiek, albo Manfred, posępny bohater Bajrona. Rana serca może mu się już i podgoiła; ale pozostały jej skutki. Takie samotnicze błąkanie się po borach musiało go nastrajać mistycznie i sentymentalnie.

Okolica tymczasem gorliwie snuła plotki w dalszym ciągu. Z ucha do ucha biegała teraz bardzo ciekawa opowieść o wdowie, która, myśliwskim fortelem złowiwszy męża na polowaniu, nie jest szczęśliwa w małżeńskiem pożyciu.

— Chwała Bogu! — mówiła uszczęśliwiona Wicińska, składając ręce jak do pacierza.—Byłam

pewna, że ta ladaco wcześniej czy później odbierze to, na co zasłużyła!

— To prawda, że mamuńcia jej przepowiedziała — odezwała się panna Klara.

— A co, nie mówiłam, że ostatecznie mąż oceni ją sprawiedliwie?... Widzicie, sprawdziło się! Uznał, że koniecznie trzeba lekceważyć taką kobietę, która przecie nigdy, przenigdy nie zdoła być ani dobrą żoną, ani dobrą matką, ani przykładną panią domu. Ci mężczyźni mają swoje kawałki; ale trzeba im oddać sprawiedliwość, że porządną kobietę zawsze umieją ocenić...

Któryś z młodszych mężczyzn stanął w obronie pani Róży, dowodząc, że Adam Kłuszyński jej nie wart, gdyż jest to egoista, człowiek bez charakteru, chytry, a przytem brutal, porywczy i gwałtowny. W odpowiedzi na to zebrane panie narobiły takiego krzyku, że pan Ignacy Wiciński, drzemiący pod piecem w fotelu, szeroko otwarł oczy. Jak wiadomo, słuszność jest zawsze po stronie płci pięknej, przeto młody człowiek musiał cofnąć swą obronę pani Róży, tem bardziej, że się starał o rękę panny Haliny Pływackiej, której matka fuknęła nań:

— Wstydź się, panie Wiktorze, kruszyć kopię w obronie takiej kobiety!...

Rzeczywiście, musiało tam coś zajść między małżeństwem w Ulanowie, skoro pani Róża porzuciła męża; przeniosła się na mieszkanie do Zawierzbia i znowu zaczęła polować tylko w towa-

rzystwie starego Jaśka Muchy, człowieka, którego przesądów nie spisałby na wołowej skórze.

Starsze i młodsze sąsiadki wydawały teraz okrzyki zgrozy na wiadomość, że mąż pani Róży, po tem wszystkiem, co zaszło, nieustannie jeździ do Zawierzbia i dokłada wszelkich usiłowań, aby się znowu połączyć z żoną.

— A cóż to za mazgaj, głupiec, niedołęga ten Adam! — powtarzała ciągle pani Pływacka.

— Widzicie państwo, to są mężczyźni! — wołała z uniesieniem pani Wicińska, zapomniawszy, iż na poprzedniem posiedzeniu «oddawała sprawiedliwość» mężczyznom... — U nich nie ma powodzenia kobieta cnotliwa, która się szanuje, tylko taka!...

Ten ruch plotkarski bardzo się jeszcze ożywił, gdy się w okolicy zjawił niejaki pan Franciszek Zawalski, zwany pospolicie Franiem, włóczykij bez własnego kąta i sposobu do życia. Franio schlebiał kobietom i uchodził między niemi za dowcipnego. Ponieważ wiedział, że lubią rozmawiać o Róży i braciach Kłuszyńskich, przeto zwykł był na sejmach niewieścich zagajać posiedzenia temi słowy: «No, a co słychać w parafii świętego Huberta? Kto się żeni, kto rodzi, kto umiera?» I na to hasło dopiero języki niewieście raźno szły w ruch, niby kołowrotki.

Sejmy damskie z Franiem bywały liczniejsze, a tem samem materyał do plotek nieraz tak obfity, że mu na jednem posiedzeniu nie można było

podołać; więc ta czy owa sąsiadka zapraszała znowu całe towarzystwo do siebie «na jutro na herbatkę.» Mężowie zasiadali do gieryłasza, a panie z Franiem na czele urządzały w dalszym ciągu «parafię świętego Huberta.» Były zaś pomiędzy niemi takie, że chociaż mieszkały o dwie dobre mile od Zawierzbia, wiedziały jednak bardzo szczegółowo, o czem pani Róża rozmawiała z porzuconym przez siebie mężem o danej godzinie, bez świadków i po francusku. Inne czerpały swoje nadzwyczajnie dokładne wiadomości o niemiłej sąsiadce aż w mieście gubernialnem, o siedm mil odległem od Zawierzbia, i te się zaklinały na wszystko, że żona pana pisarza hipotecznego, osoba wiarogodna, wybornie poinformowana, opowiadała im co następuje: «Adam Kłuszyński przyjechał któregoś dnia po południu do Zawierzbia i, uklęknąwszy na oba kolana, błagał panią Różę, ażeby wróciła do niego. Jakkolwiek miał łzy w oczach, ona go jednakże przyjmowała z pogardą i trzy czy cztery razy rzuciła mu w oczy bardzo przykre słowa: «nikczemny podstęp, podła zdrada!»

Wiadomość, pochodząca z miasta gubernialnego, zrobiła na słuchaczkach wielkie wrażenie i zapanowało przez chwilę głębokie milczenie, gdyż każda z sąsiadek zastanawiała się gruntownie, w czem tu tkwi wina pani Róży. Pani Wicińska była widać najlotniejsza, gdyż pierwsza zabrała głos:

— Ja państwu powiadam, że to jest jedyny sposób postępowania z mężczyznami! Ale która porządna kobieta zechce się uciekać do takich sposobów?... Och, to okropne, wstrętne! Robić z męża niewolnika, ofiarę swoich kaprysów, namiętności, dlatego, żeby utrzymać jego przywiązanie! Żal mi tego Adama, że się dostał pod władzę takiej nizkiej kobiety!...

Znowu nastało milczenie, albowiem żadna z obecnych nie spodziewała się tego, aby w opowiadaniu, zaczerpniętem od żony pisarza hipotecznego, tkwił tak istotny, a tak ciężko panią Różę obarczający zarzut.

Ponieważ pan Piotr samotnie polował po lasach i polowała teraz także pani Róża, niema więc w tem nic dziwnego, że się jednego razu spotkali ze sobą w boru. To ich spotkanie możeby było pozostało tajemnicą dla okolicy, gdyby mu nie towarzyszyło zdarzenie nadzwyczajne, przechodzące wszelkie oczekiwania sąsiadek.

Było to w październiku, w pogodny dzień jesienny. Pani Róża pragnęła być świadkiem, w jaki sposób Mucha zaprawia w lesie do polowania młode ogary, i los zrządził, że tutaj spotkała Piotra Kłuszyńskiego. Wszczęli rozmowę jak ludzie wzajemnie dla siebie obojętni, a potem prowadzili ją już z wielkiem ożywieniem, nie zwracając wcale uwagi ani na postępowanie strzelca, ani na zachowywanie się ogarków.

Jasiek Mucha wychodził z zasady, że młodemu psu najlepszą naukę stary i mądry pies dać może; więc przybrał sobie jakoby za asystenta wyborną ogarzycę Lutnię, która, oprócz innych zalet, odznaczała się i bardzo dźwięcznym głosem. Z początku ogarki przestrzegały ordynku to jest pozwalały się Lutni prowadzić. Ale, jak to młode psiaki, wpadły na trop jakiejś zwierzyny i, goniąc na własną rękę, poszły precz, precz, ku niemałej zgryzocie Muchy. Strzelec w obawie, aby psy nie przepadły, puścił się za nimi aż do sąsiedniego boru, nawołując, naświstując, trąbiąc, a przytem klnąc, na czem świat stoi. Kiedy tak szedł, naraz posłyszał za sobą dwa strzały, które huknęły jeden po drugim, i pomyślał, że albo pani jego, albo Kłuszyński strzelają do zwierzyny, napędzonej przez Lutnię. Skoro już atoli psy odzyskał i wrócił z nimi na miejsce, straszny widok przedstawił się oczom jego. Zbroczona krwią, ze zgrozą śmierci na obliczu, leżała zwalona na murawie pani Róża, a obok niej — Kłuszyński, również cały we krwi i niedający znaku życia.

Jakkolwiek Mucha przeraził się nadzwyczajnie, jednakże przypomniał sobie owe słyszane dwa wystrzały i, jako myśliwy z zawodu, obejrzał natychmiast broń poległych. Rzecz szczególna — tylko w jednej lufie dubeltówki pana Piotra brakowało naboju; strzelba zaś pani Róży miała obie lufy nabite. Skądże więc pochodził ten drugi

wystrzał? Czy w tem zabójstwie jeszcze ktoś inny brał udział? O, w parafii świętego Huberta dzieją się nieraz rzeczy tak tajemnicze, że nikt nie zdoła sprawdzić, czy cios był śmiertelny! Dotąd opowiadanie Jaśka Muchy, a możemy tylko dodać, że Piotr Kłuszyński był ranny, miał bowiem przez kulę zdruzgotany obojczyk i omdlał z powodu utraty krwi. Pani Róża dostała kulę w samo serce.

A teraz posłuchajmy, co o tym krwawym wypadku mówi okolica. Naprzód godne uwagi jest tutaj to, że sąsiadki okazywały teraz względność dla martwej już pani Róży. Wicińska od czasu do czasu przyznawała nawet, że nieboszczka «była osobą intelligentną i miała dobre serce.» Pływacka, panna Klara i Femcia wzdychały wtedy jednocześnie i mówiły: «Szkoda jej!» Tak, bliźni opłakują człowieka, cenią go wtedy dopiero, kiedy mu się to już na nic nie przyda. Gdyby postępowano wprost przeciwnie, byłoby i zacniej i rozumniej.

Historya o tragicznej śmierci pani Róży, wielokrotnie opowiadana przez usta osób płci pięknej i brzydkiej, tak się przedstawia:

Piotr Kłuszyński zawsze kochał Różę i ona go też kochała. Trzeba przypuszczać, że oboje wyczekiwali jedynie chwili odpowiedniej do wzajemnych wyznań. I właśnie ta upragniona chwila nadeszła: spotkali się sam na sam, a serca się ich otwarły. Z tego wszystkiego wyszło na jaw, że pani Róża, nim wyszła za Adama, prawdziwie

i szczerze kochała Piotra. Ale Adam, ażeby postawić na swojem, użył naprzód podstępu względem brata, a następnie umiał ją znowu przekonać, że Piotr nie tylko nigdy jej nie kochał, lecz uważał za kobietę lekką, która może być jedynie dobrą i przyjemną towarzyszką na polowaniach. Ów pierścionek, rzekomo od Róży mający pochodzić, był podrobiony umyślnie, aby Piotra w błąd wprowadzić.

Małżeństwo, skojarzone na takiej drodze, nie miało warunków trwałości. Pani Róża w tym stosunku coś tak wyglądała, jak gdyby, poślubiając Adama, miała przekonanie, że robi z siebie poświęcenie, przyjemne dla Piotra. Wnet atoli zrodziły się w jej duszy podejrzenia, gdy spostrzegła, że brutalny egoizm męża nie uwzględnia niczyich uczuć i zmierza tylko do własnego zadowolenia. Pierwszą nitkę do kłębka stanowił ów podrobiony pierścionek, którego znaczenie tłómaczył pan Adam żonie już tak, już znowu inaczej. Zapytywany przez Różę niejednokrotnie o brata, młodszy Kłuszyński zachowywał się podobnie, jak Kain po zabiciu Abla: wybuchał gniewem. Nieraz i tego nie było potrzeba do uniesień jego brutalnego egoizmu, który raził i obrażał delikatne, rycerskie uczucia żony. Tak się rzeczy miały, gdy pewnego dnia wieczorem Adam powrócił skądś zagrzany winem, i tonem drwiącym, z niepospolitym egoizmem odkrył swą duszę, chełpiąc się, iż «zręczny fortel rodzonemu bratu sprzątnął

z przed nosa przystojną i posażną wdówkę.» Oburzenie Róży nie miało już teraz granic i wtedy to rozżalona, rozczarowana gorzko, nazwała postępowanie męża «nikczemnym podstępem, podłą zdradą.»

Czy ta okoliczność mianowicie spowodowała wyjazd pani Róży do Zawierzbia, czy też rozłączenie małżeńskiej pary nastąpiło już przedtem, nie wiemy dokładnie, gdyż opowiadanie całe przedstawiamy podług ustnej kroniki okolicznej, przechowanej dzięki płci pięknej. Kronika ta opowiada następnie:

Adam Kłuszyński swoją drogą kochał żonę namiętnie, a jako samolub był o nią zazdrosny; mianowicie częste jej wspominania Piotra czyniły go podejrzliwym i doprowadzały do wściekłości.

Spotkanie Róży ze starszym Kłuszyńskim i prawdopodobne jej wyznania, świadczące o nizkim charakterze Adama, z jednej strony nadzwyczajnie wzburzyły pana Piotra, z drugiej uradowała go myśl, że serdeczne jego uczucia zawsze znajdowały odgłos w sercu Róży. Odżył teraz, uczuł, że kocha tę kobietę wszystkiemi władzami swej duszy, był jej wdzięczny całem sercem za doznaną pociechę i, przejęty miłością, uwielbieniem, padł na kolana, a ująwszy z zapałem jej rękę, okrywał gorącymi pocałunkami. Wydawało mu się, że już niczego więcej od życia nie potrzebuje, tylko tak na zawsze pozostać przy ukochanej.

Róża pochyliła się lekko, jak gdyby chciała zbliżyć się do stałego kochanka, czy może przez to pragnęła mu tylko dać znak, aby powstał... Mimowolnie spojrzała przed siebie i musiała w oddaleniu spostrzedz coś bardzo przykrego, bo wydała okrzyk trwogi. Zanim pan Piotr odwrócił głowę, huknął strzał, któremu w tej chwili odpowiedział inny.

Różni ludzie z okolicy nadaremnie kusili się dociec, co tak strasznego spostrzegła przed sobą nieboszczka, że wydała okrzyk trwogi. Franio, Wicińska i jej córki dowodzili, że niezawodnie spostrzegła Adama z dubeltówką, wymierzoną prosto w jej serce, ponieważ serce właśnie przeszyła kula. Tymczasem pan Wiktor, starający się o rękę panny Haliny Pływackiej, twierdził, że w całem tem opowiadaniu jest bardzo mało danych do wyprowadzania zupełnie pewnych wniosków. «Któż to bowiem widział, jak pan Piotr klękał i z zapałem całował ręce pani Róży? Czy pani Róża się ku niemu pochylała, czy spostrzegła coś strasznego i czy wydała okrzyk trwogi? Wolno się domyślać, ale...»

Zagadkę trudną stanowił także ów drugi wystrzał, którego, zdaniem pana Wiktora, mogło wcale nie być. I jeżeli strzelba Kłuszyńskiego wypaliła wskutek nieostrożności, to jedna kula była dostateczna, aby jemu zadać ranę, a śmierć pani Róży. Strzelec Mucha uległ prawdopodobnie słuchowemu złudzeniu, co się często zdarza w głu-

chym boru. Tak twierdził pan Wiktor w opozycyi do innych, chcących mieć koniecznie dwa wystrzały.

Wszystkie te nieporozumienia o mało się nie stały przyczyną pojedynku. Franio bowiem, wielki fanfaron, przyciął Wiktorowi, że człowiek, który z przesłanek nie umie wyprowadzić wniosku, ma «ciasną głowę.» Na to mu Wiktor odpowiedział, iż nigdy nie uwierzy w to, ażeby taki, co sobie włosy rozczesuje z przodu i z tyłu, podług linii grzbietowej, nosowej i pępkowej, miał «na karku całą głowę.» Potem rzucił Franiowi jeszcze parę przytyków *ex re* jego długich paznokci i kokardek na trzewikach. Szczęściem wmieszały się w tę sprawę panie i zapowiedziały Franiowi, że jeśli się będzie strzelał, zerwą z nim zupełnie stosunki. «Czego chcą kobiety, tego Bóg chce» — odpowiedział po francusku bawidamek i na tem się skończyło.

Prawie niema potrzeby dodawać tutaj, że historya o krwawem zdarzeniu w lesie miała jeszcze rozmaite waryanty. Tak na przykład, w czasie, gdy huknęły dwa wystrzały, miał ktoś widzieć Adama Kłuszyńskiego, jak ze strzelbą na ramieniu w cwał pędził ku Ulanowi. Opowiadano też, że wyżeł Pamina, widząc w pokoju swego pana fotografię Adama, wył tak przeraźliwie, iż chory pan Piotr kazał sobie podać do łóżka wizerunek brata, przebił go kilkakrotnie myśliwskim nożem i dopiero w ten sposób psa uspokoił.

Bracia Kłuszyńscy zupełnie zerwali stosunki ze sobą, a w rok po owym wypadku już ich obu nie było w okolicy.

II.

Któż nie zna tych cichych, spokojnych, łagodnych ludzi, co to zdają się nie unikać towarzystwa, a zachowują się w niem jakby obcy, nie biorąc żywego udziału w zabawie, dla której się zgromadzono? Mimowolnie narzuca nam się wtedy pytanie: dlaczego oni tutaj przyszli? Ha, są tacy, którym dobrze jest ze swojem ja, i ci stronią od ludzi; są inni, którzy sami od siebie muszą uciekać, i ci poszukują ludzi.

Prawdopodobnie do rzędu tych ostatnich należał pan Piotr Kłuszyński, przed ośmnastu laty przybyły skądś z daleka na Pobuże, gdzie sobie kupił wioskę, zamieszkał i powszechnie używał opinii zacnego człowieka. Liczył on obecnie pięćdziesiąt pięć lat wieku życia, był łysy, siwy i kaleka na lewą rękę. Że się nadto odznaczał zupełnym brakiem dbałości o swą powierzchowność, więc go niejeden śmiało mógł wziąć za starca przeszło sześćdziesięcioletniego.

Ten rzeczywiście stary kawaler żył tutaj z początku przez pewien czas jak odludek; ale wyrwał go z samotności i między ludzi wpro-

wadził jeden z sąsiadów jego, niejaki pan Antoni Chmurzyński, człowiek — ze świecą szukaj, a drugiego takiego już nie znajdziesz. Chmurzyński prochuby nie wynalazł, chłop olbrzymiego wzrostu, siły niedźwiedziej, z miną zawadyacką, wąsiskami jak baty, z brodą do pasa, a człowiek dobry — do rany go przyłóż. Spojrzysz nań — wykapany kompańczyk hajdamacki, albo opryszek; uściśnie cię — drżyj, żeby ci kości nie potrzaskały; krzyknie — fraszki ryk wołu. Z tem wszystkiem — gołąb dobroci, serce — złoto czystego brantu. Miał lat czterdzieści sześć, a od dwunastu był żonaty i co rok to prorok — chrzciny, zwykle chłopaki, o których mawiał, że to są «odpowiedzi na prawa Bismarka.»

Wiecznie zajęty cudzymi interesami, chociaż jego własne wymagały jak największej gorliwości. Zawsze kogoś z kimś jednał, godził, zawsze kogoś wyciągał z długów, czy innych ciężkich kłopotów, a wszystko to robił z całą delikatnością szlachetnego człowieka. Dosyć mu było powiedzieć: «Mój Antku, mam takie a takie strapienie.» A on na to: «Czekajże, może się co zaradzi po sąsiedzku!» Nie przyrzekał, nie obiecywał, a swoje zrobił «po sąsiedzku.» Ale niech Bóg broni powiedzieć mu w oczy jakąś czułość, gdyż można było usłyszeć: «Mam cię gdzieś!» Częstokroć komuś tak dopomógł, że tylko on sam o tem wiedział. Krótko mówiąc, był to człowiek przyjacielski, szczery, otwarty. W domu nie wyprawiał

żadnych balów, ale regularnie co rok chrzciny i dwa, trzy polowania co się zowie — trwające trzy, cztery dni.

Skoro się dowiedział, że o półtorej mili od Ożlejowic — tak się zwała wieś Chmurzyńskiego — mieszka Piotr Kłuszyński już od dwóch lat i z nikim w sąsiedztwie nie żyje, zaraz do niego pojechał, a jeszcze nie był żonaty, i na wstępie w te słowa przemówił: «Czy to się godzi, kochany sąsiedzie, mieć pod bokiem krewniaka i ani razu nie zawadzić o niego?» Kłuszyński szeroko otwarł zdziwione oczy, a pan Antoni, śmiejąc się swym grubym głosem, ściskał go dobrodusznie i tak dalej mówił: «Teresa Chmurzyńska, rodzoniuteńka siostra mego nieboszczyka ojca, wyszła przecież za Pawła Kłuszyńskiego, jak mi się zdaje, stryja twojego... I cóż sobie ty, Piotrusiu, myślisz, brata swojego znać nie chcesz... hę? Eee, mój paniczu, żebyś się ty tu w swojej budzie słupami żelaznymi ogrodził, rowami się opasał, armatami obstawił, nic a nic nie pomoże!»

Z razu wrażliwego pana Piotra raziły te rubaszne, arcypoufałe formy, te istnie niedźwiedzie uściski i mlaskające pocałunki szlachcica; może go też przytem niemile uderzało częstokroć powtarzane wypominanie, jakoby na Pobużu znalazł «brata.» Atoli Chmurzyński nie pozwolił się zniechęcić i póty do krewniaka wyciągał swą ogromną, włosami porosłą prawicę, póty się w niego wpatrywał swemi wielkiemi, niebieskiemi oczyma,

w których przebijało całe niebo dobrej, poczciwej duszy, aż samotnik zmiękł, ustąpił nareszcie i trzeciego dnia potem był na walnem polowaniu w Oźlejowicach. Wziąwszy raz szczęśliwie w opiekę odludka, dobry pan Antoni już go nie popuszczał i od czasu do czasu, a coraz to częściej, z domu wyciągał. Doszło do tego, że ów w najwyższym stopniu zaniedbany Kłuszyński musiał się nawet bardzo paradnie wystroić, kiedy przyszło przyjacielowi Antoniemu na weselu drużbować.

Rzeczywiście, trzeba przyznać, Piotr znalazł w Chmurzyńskim prawdziwego brata i rzetelnie też pokochał tę prostodusznie wzniosłą, naiwnie rycerską duszę.

Później, gdy się Antoni już ożenił, Kłuszyński prawie codziennie odwiedzał małżeństwo, a co roku nowego chłopaka do chrztu trzymał i zjednoczył się ściśle tak uciechami, jak i troskami z rodziną przyjaciela.

Stosunek ten trwał teraz niezmiennie przez jakieś siedm albo ośm lat i Piotr nieraz sobie w duszy myślał, że nie mając swojej własnej rodziny, znalazł ją jednak w rodzinie Chmurzyńskich. Oczekiwał go przykry zawód.

Pani Antoniowa była to gąska swojego chowu — takie dobre są, póki to młode, naiwne; Darzyła ona męża dziećmi, mąż ją tkliwie kochał. ale to kochanie psuło ją tylko coraz bardziej i wykształcało coraz istotniejszą, krzykliwą gęś, która nadzwyczajnie lubi nieustannie gęgać o tem

i owem ze swemi towarzyszkami. Otóż pani Chmurzyńskiej przyszło kiedyś do głowy, żeby Piotra koniecznie swatać ze swoją kuzynką, panną Cecylią Szurmańską, liczącą coś trzydzieści siedm latek, bogatą, ale bardzo szpetną. Ponieważ panna Cecylia czytała dużo romansów, powieści, przeto nazywano ją jużto «sawantką,» już «oczytaną,» już «mającą dobrze w główce.» Pani Antoniowa, której encyklopedyczne wiadomości krewniaczki wielce imponowały, nazywała ją «śliczną główką» i dawała się słyszeć: «Piotruś i Cesia — toby była dobrana para!»

Kłuszyński, nie domyślając się bynajmniej zastawionych sideł, bywał zawsze nader grzeczny, uprzejmy dla panny Cecylii i lubił się z nią subtelnie przekomarzać, co wszystko razem niebawem poczęto uważać za rodzaj oświadczyn i gorącą z jego strony chęć do ożenku. Skoro tylko spostrzegł, iż go przyłapują, jął się co żywo wycofywać z obławy. Ale naganka była czujna, a on nie umiał zachować potrzebnej w takich razach zręczności i chytrości; więc, choć się wymknął, dotkliwie zranił miłość własną panny Szurmańskiej i zrobił sobie z niej śmiertelnego wroga. Chmurzyńska też, rzecz prosta, uważała się jako pośrednio dotknięta, a mniej więcej wszystkie osoby płci pięknej w tamtej okolicy krzywo teraz patrzyły na pana Piotra. Bo czyby mu to źle było, gdyby się ożenił?

— Taki Piotrowina, kaleka, cień, nie człowiek, lekceważy kobietę w całem znaczeniu tego słowa! Cóż on sobie myśli, że młoda, przystojna, rozumna i bogata poszłaby za takiego niedojdę? — mówiła z oburzeniem pani Antoniowa.

Na czysto przez wzgląd na dzielnego przyjaciela, który jak zaczarowany siedział pod pantoflem swojej połowicy, Kłuszyński znosił przez jakiś czas przytyki i rozmaite nieprzyjemności. W końcu jednakże przebrała się miara tego wszystkiego, zbrakło mu cierpliwości i powrócił na samotne życie do swego zacisznego kąta. Antoni dobrze pojmował, że traci skarb nieoceniony, przyjaciela, któremu równego daremnieby znaleźć usiłował; ale, trzymany krzepko w rygorze przez żonę, zaledwie coś mruknął czasem, a tylko kiedy niekiedy ukradkiem odwiedzał pana Piotra, nie śmiejąc go już w świat wyciągać i nie mając mu nic do powiedzenia. I tak znowu zeszło lat kilka, w ciągu których Piotr, samotnik i dziwak, ciągle był na językach okolicznej płci nadobnej.

Tymczasem panna Cecylia, jakkolwiek dobrze już nastąpiła na piąty krzyżyk, bynajmniej nie traciła nadziei, iż się za mąż wyda jeszcze. Co więcej, od czasu owego zawodu dokładała wszelkich usiłowań do dzieła sztucznego podniesienia swych wdzięków, a czyniła to z niemałem powodzeniem. Strojna i starannie wypiększona corocznie latem wyjeżdżała do pewnych galicyjskich zdrojowisk, słynnych nie tyle z uzdrawiania cho-

rych, ile ze szczęśliwego kojarzenia małżeństw. No, i jednego roku powróciła stamtąd rozpromieniona szczęściem, ponieważ znalazła to, czego szukała.

Zwierzyła się tylko przed panią Chmurzyńską, że właśnie w bieżącym sezonie podbiła serce człowieka «bardzo a bardzo *comme il faut*,» a który jej się pod każdym względem nadzwyczajnie podoba. Jednakże panna Cecylia nie chciała wymienić nazwiska tego szczęśliwego i uszczęśliwionego. Wielokrotnie i dosyć natarczywie zapytywana, odpowiadała: «Moja Iziu, to tajemnica dwóch serc!» Odpowiedzi takie zaciekawiały panią Antoniową w najwyższym stopniu i spać jej nie dawały.

Jak to bywa pomiędzy kobietami, posypały się więc zapytania: «Ile ma lat ten przyszły mąż? Brunet, czy blondyn? Czem się trudni? Czy nosi wąsy i brodę? Nizki, czy wysoki? Jak mu na imię? Jaka jest pierwsza litera nazwiska? Czy się to nazwisko kończy na ski?» Nareszcie sama panna Cecylia już się roznamiętniła do zdradzenia tej tajemnicy i wyznała przed Chmurzyńską, że ów «człowiek bardzo a bardzo *comme il faut*» nazywa się Adam Kłuszyński, że jest rodzonym i młodszym bratem pana Piotra, że zatem w księdze przeznaczeń widać zapisano, aby nieuchronnie została panią Kłuszyńską, co jest bardzo osobliwem zrządzeniem.

«Ale musisz mi przysiądz, moja Iziu, że przed nikim ani słówka! Ja obiecałam Adamowi to samo i tylko dla ciebie jednej zrobiłam wyjątek, gdyż przed tobą nie mogę mieć tajemnicy... Zlituj się, Iziu, cicho, sza!» Zaklęła się więc Chmurzyńska na miłość i pragnienie szczęścia dla jedenaściorga dzieci i dla tego dwunastego, które się niebawem miało narodzić, że nawet Antosiowi nic a nic nie powie, choć przed nim nie ma żadnych tajemnic, i pokaże, jak świętą jest dla niej tajemnica przyjaciółki. Teraz dopiero radowały się obie niezmiernie, że taki obrót rzeczy będzie stanowił jednocześnie miłą zemstę nad panem Piotrem, coś w tym rodzaju, jak gdyby mu się wyraźnie powiedziało: «Widzisz, stary ciemięgo, nie chciałeś iść ze mną do ołtarza i być szczęśliwym, przeto brat twój młodszy wyciągnął rękę po to szczęście!»

— On się tem ogromnie struje, ale dobrze mu tak! — mówiła pani Antoniowa.

Wyznała też panna Cecylia, że Adam tak samo, jak wszyscy w okolicy, uważa brata za wielkiego dziwaka, nie utrzymuje z nim stosunków, a jej się zdaje, że «tam coś takiego zajść musiało pomiędzy nimi.»

— Żem dobry wybór zrobiła, przekonasz się, moja Iziu, na własne oczy, gdyż Adam na Pobuże przybędzie mniej więcej w połowie października. Biedny, stęskni się do tego czasu!

Z temi słowy panna Szurmańska zatoczyła w górę oczyma, a prawą rękę przyłożyła do serca.

Tylko ktoś bardzo naiwny mógłby wątpić o tem, że pani Antoniowa była w stanie przechować tajemnicę przyjaciółki do rana.

— Przyrzecz mi, że przed nikim słówka nie piśniesz, to ci powiem coś nadzwyczajnie ważnego! — mówiła do męża, jakkolwiek wcale niezapytywana.

— Ooo, jak cię kocham, moja duszko, ust nie otworzę! — odparł Chmurzyński i już wieczorem wysłuchał z dodatkami tego wszystkiego, co panna Cecylia po południu w zaufaniu opowiadała była przyjaciółce od serca.

Pan Antoni nie mógł z tego powodu zasnąć przez całą noc, gdyż sądził, że jego świętym obowiązkiem jest pogodzić zwaśnionych braci; jemu się nawet zdawało, iż w ten sposób uleczyłby wzrastającą melancholię i mizantropię pana Piotra! Atoli uroczyście przyrzekł żonie nie wspominać Piotrowi, broń Boże, o Adamie, a zatem nie mógł przyjaciela otwarcie, szczerze do zgody z bratem usposabiać. Trzeba tu było zdobyć się koniecznie na jakiś dowcipny fortel, coś w rodzaju owego pojedynku Dowejki z Domejką. Napróżno się tym razem Chmurzyński przewracał z boku na bok — nie wyspał się i fortelu takiego nie wynalazł, a nazajutrz miał inne sprawy do załatwienia, przeto dzieło pogodzenia braci Kłuszyńskich odłożył *ad meliora tempora*.

Stosownie do zapowiedzenia panny Cecylii, jakoś w połowie października przybył na Pobuże

Adam Kłuszyński, nikt zaś w [illegible] był do lasu obojga Chmurzyńskich, nie wiedział o cel[illegible] przybycia. Wszyscy mężczyźni tutaj żywili to przekonanie, że ożenek z panną Szurmańską jest wprost niemożliwy, nie tyle z powodu jej staropanieństwa, ile potwornej brzydoty. «O jej rękę — powiadano — mógłby się starać chyba taki tylko, co jest w dyabelnych tarapatach i chce w jakibądź sposób nieco grosza do rąk chwycić; ale i ten lepiej zrobi, gdy kraść pójdzie, lub się powiesi.» «Żeń się z Cesią!» — powtarzano przysłowiowo, jeśli chciano przedstawić, że czyjeś położenie jest bez wyjścia i wymaga zdobycia się na nadzwyczajny heroizm. Odpowiada temu: «Zjedz dyabła i napij się wody!»

Adam rozkwaterował się w Przepiórowie, wsi, należącej do panny Cecylii, która tam stale zamieszkiwała wraz ze swą ciotką, podeszłą już staruszką i także starą panną. Składając wizytę w Ożlejowicach, dokładał wszelkich usiłowań, ażeby sobie zjednać panią Chmurzyńską, która też zaraz po jego odjeździe zawołała z zapałem:

— Ależ to brylant, jak dzieci kocham, brylant! Niema żadnego porównania między nim a Piotrem. Teraz dopiero pojmuję, że takiemu rozumnemu, taktownemu człowiekowi mogła się Cesia rzeczywiście spodobać; bo tylko taki zdolny ją ocenić! Jakiż on obyty, gładki, uprzejmy, wykształcony, pod każdym względem dobrze!

Tylko k[illegible] dobał Izi, to już tem sa-
o tem [illegible]cznie podobać i jej mężowi.
[illegible]ważnie się zamyślił pan Antoni,
co [illegible]począć, aby tych braci, zapewne o jakąś drobnostkę zwaśnionych, pogodzić. Bez chrzcin nawet urządziłby u siebie zjazd, sprosiłby różnych godnych sąsiadów; ale cóż, kiedy Piotr nie przyjedzie; «przecież go i zapraszać do domu nie wypada, byłoby niedelikatnie... Czy się tam o rękę Cesi starał, czy nie starał — wszystko jedno; ale wyniknęły stąd przykre niesnaski, naraził się Izi.»

Chmurzyński łamał sobie głowę i tak i owak, miętosił w palcach długie wąsy, nareszcie wpadł, jak mu się zdawało, na wyborny pomysł: «Trzeba urządzić — myślał w duszy — czysto męskie zebranie w lesie, inaczej mówiąc, wyprawić któregoś dnia wielkie polowanie, na którem mniej będzie zależało na ilości zabitej zwierzyny, a więcej na przeprowadzeniu owej braterskiej zgody. Godziłem przecież już takich, którzy przez kilka lat śmiertelną nienawiścią pałali ku sobie, a braci rodzonych miałbym nie pojednać — ja, tak blizki ich powinowaty? Kpem nie Chmurzyńskim byłbym! Żeby mi się tylko udało wyciągnąć Piotra z domu!» Gdy sobie już pan Antoni taki ogólny plan ułożył, wykończał go potem w szczegółach bardzo starannie i z góry obmyślił całe to polowanie.

Niebawem też zjawił się w domu pana Piotra i jął go błagać, zaklinać na wszystkie świętości,

aby mu nie odmówił tej łaski i przybył do lasu na polowanie. Kłuszyński się zawziął, odmawiał. Wówczas pan Antoni klęknął przed nim i tak błagał:

— Zrób to dla mnie, Piotrusiu, odwiedź moją knieję! Mówiłeś mi kiedyś, że z prawej lufy swojej dubeltówki nigdy nie strzelasz, dopóki do strzału nie będziesz miał zwierza, godnego tej kuli... Właśnie będzie pojedynek, bestya jak wół, potwór!

Piotr pomyślał, że Antoni w poczuciu swej delikatności umyślnie wyprawia tę leśną zabawę, aby okazać przyjacielowi miłość, a nie narażać go na spotkanie z kobietami. Takiemu zaproszeniu nie godzi się odmawiać; więc uległ nareszcie.

W dniu wyznaczonym ostatni z zaproszonych stawił się w lesie starszy Kłuszyński; myśliwi byli już na stanowiskach i oczekiwali rezultatu naganki. Chmurzyński, jak gdyby przewidywał to spóźnienie, zręcznie, w okamgnieniu i w cichości postawił pana Piotra na stanowisku, poszepnąwszy: «o zakład idę, że za kwadrans będziesz strzelał...» I odszedł.

Jakoż niebawem posłyszano zawzięte ujadanie wypuszczonych kundli—gwałt, rejwach straszliwy. Wśród tej wrzawy nagle rozległ się jeden, drugi przeraźliwy skowyt, świadczący, że kły dzika są w robocie... Ujadanie psów zwolniało, a ziemia zatętniła i na małą polankę wypadł z gąszczu olbrzymi pojedynek, który w szalonych susach rwał prosto na linię strzelców, a za nim pędziły

kundle. Jednocześnie huknęły trzy strzały i zwierz jak ścięty padł na miejscu, a drgającego śmiertelnie olbrzyma w tej chwili opadła rozjuszona psiarnia. Starszy Kłuszyński stał pod drzewem blady jak wapno, a w ręku trzymał kurzącą się jeszcze dymem dubeltówkę. Gdy się do niego zbliżył Chmurzyński i rzucił zapytujące spojrzenie, pan Piotr w milczeniu ukazał mu palcem wystrzeloną lufę.

W tej chwili atoli zrobił się jakiś ponury zamęt—i myśliwi, zapomniawszy o pojedynku, tłoczyli się na stanowisko, odległe o jakie sto pięćdziesiąt kroków od Piotra. Podbiegł tam i pan Antoni, oczom którego przedstawił się przerażający widok: zbroczony krwią, leżał na ziemi ciepły jeszcze trup Adama Kłuszyńskiego. «Wypadek, czy samobójstwo?» — zapytywano na wszystkie strony, a nikt nie dawał odpowiedzi.

Rzecz dziwna — gdy przybył nazajutrz lekarz i dopełniał z urzędu pośmiertnych oględzin, wydobył z piersi nieboszczyka kulę, na której odczytano wyryty napis: «20 października 1852 roku.» Data odnosiła się do czasu przed dziewiętnastu laty. Nikt jednak nie wiedział, że to była data śmierci pani Róży z Zawierzbia. Czy kula, znaleziona w piersiach Adama, nie była tą samą kulą, co przeszyła serce Róży? Tego nie wiemy. Wypadki takie zapisują się jako tajemnicze w aktach parafii świętego Huberta.

W dwa lata potem umarł Piotr Kłuszyński i cały swój majątek zapisał na cele wychowania synów pana Antoniego Chmurzyńskiego, zastrzegając atoli dostatnie utrzymanie do śmierci dla Jaśka Muchy, bardzo już starego.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
Maciek Fuła	5
Znajdka	33
Głód i sumienie	75
Wróble	121
Żel	173
Pan referent	233
W parafii świętego Huberta	275

KSIĘGARNIA
A. G. DUBOWSKIEGO
w Warszawie, Chmielna 30,

poleca następujące dzieła, własnym nakładem wydane lub w większej ilości nabyte:

	Rb.	k.
Aldona. **Pieśni kobiety.** Poezye	—	40
Arwor. **365 obiadów** (Historya o kilku osobach i jednej książce)	—	20
Augustynowicz Jan. **Ksiądz Prot.** Historya ludzka. Powieść, nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim «Głosu.»	1	20
Atlas historyi naturalnej (Zoologia, Botanika i Mineralogia) w 180-ciu obrazkach na 28-miu tablicach, z tekstem Feliksa Wermińskiego. W oprawie kartonowej	—	60
Z kolorowanemi rycinami	1	20
Bęczkowska-Grot Wanda. **Kędy droga?** Powieść współczesna	1	60
Bardzka Natalia. **Książę Jerzy.** Powieść historyczna z końca XVII w.	1	—
Blanc Martial. **Król kości słoniowej.** Przygody myśliwskie w kraju Zulusów i Hotentotów. Z 9 drzeworytami. Przekład z francuskiego P. Gr. W kartonie	—	80
W oprawie w płótno angielskie	1	20
Choiński-Jeske Teodor. **Na schyłku wieku.** Studyum	1	50
„ **Rozkład w życiu i literaturze.** Studyum	1	35
Dygasiński Adolf. **Nędzarze życia**	—	40
Fürst L. d-r. **Z życia kobiety.** Hygiena okresu dojrzałości kobiecej w stanie normalnym i chorobowym. Przetłómaczył H. T. Z 2-ma rysunkami	—	40
Grajnert Józef. **Kij żebraczy.** Powiastka, odznaczona zaszczytnie na konkursie «Gazety Świątecznej.»	—	15
Grzymałowski Władysław. **Dzieje Polski** w krótkim zarysie dla użytku młodzieży	—	30
W oprawie kartonowej	—	40
Hajota. **On i my.** Nowelle	1	—
Junosza Klemens. **Przy kominku.** Obrazki i opowiadania	1	20
„ **Suma na Kocimbrodzie.** Powieść	—	80
„ **Za mgłą.** Powieść	1	20
Kadler Ludwik d-r. **O środkach ochronnych od chorób wenerycznych.** Przystępnie dla ogółu napisał... Wydanie drugie, poprawione i dopełnione	—	25
Karwicki-Dunin Józef. **Ze starego autoramentu.** Typy i obrazki wołyńskie. Serya I i II, każda po	1	20
Kozłowski Stanisław. **Turniej.** Dramat w 5-ciu aktach	—	75
Królowa. Romans historyczny z czasów Napoleona I. Z portretami: Napoleona I, Désirée i Bernadotte'a	1	—
Lange A. **Poezye.** Część I	1	50
Laskowski Kazimierz. **Chłopska dola.** Z notatek hreczkosieja	—	40
„ **Dygnitarze wioskowi**	—	20
„ **Kosztowni dobrodzieje.** Sylwetki z bruku	—	20
„ **Zrośli z ziemią.** Opowieść	1	20
„ **Zydzi przy pracy.** Notatki wieśniaka	—	90

Łopuszańska Marya. **Obrońcy bogów.** Powieść na tle dawnych legend. Dla młodzieży . . . . . — 80
W oprawie kartonowej . . . . . 1 —

Masłowicz Fr. ks. **Różaniec z obrazkami.** Wydanie piąte . . — 25

Masłowicz Fr. ks. **Szkaplerz** Najświętszej Maryi Panny z góry Karmelu. Z illustracyami . . . . . — 25

Milkuszyc Marya. **Kwiaty i ciernie życia.** Nowelle . . . . . 1 —

Milkuszyc Marya. **Przemysłowcy.** Powieść 1 20

Nowiński Józefat. **Świekra** i inne nowelle . . . . . — 60

Or-Ot (Artur Oppman). **Powinszowania** wierszem i prozą do użytku dzieci i młodzieży, oraz **toasty i wiersze okolicznościowe** dla osób dorosłych . . . . . — 40
W kartonowej oprawie. . . . . — 50

Przyborowski Walery. **Dzieje Polski,** opracowane dla młodzieży. Wydanie drugie, poprawione i znacznie rozszerzone, **z Mapą Polski z r. 1772.** Rb. 1. W kartonowej oprawie 1 20
W ozdobnej oprawie w płótno angielskie 1 50

Przyborowski Walery. **Rycerz Mora.** Powieść historyczna z czasów pierwszego najazdu szwedzkiego 1 20

Przyborowski Walery (Z. L. Sulima). **Sokół królewski,** powieść historyczna z czasów Zygmunta Augusta. 1 50

Przyborowski Walery. **Z przeszłości Warszawy.** Szkice historyczne. 1 20

Ramestan (Niemierowski Kazimierz). **Palec Boży.** Powieść . . — 75

Ruland Wilhelm. **Legendy nadreńskie.** Dzieło uwieńczone przez Akademię. Tłóm. z francuskiego Marya Milkuszyc . . . . — 30

Rumowska Helena (Koralina). **Na strunach serca.** Powieści i nowelle . . . . . 1 —

Sobol J. de. **Wakacye Pawełka.** Przekład z francuskiego. Z 52 rysunkami w tekście. W ozdob. karton. oprawie . . . . — 60
W oprawie w płótno angielskie . . . . . 1 —

Stadnicka Lucyna hr. **Dla moich dziewczynek** Kilka powiastek z 8-ma rycinami L. Ilinicza. W ozdobnej kart. oprawie . . — 90
W oprawie w płótno angielskie 1 30

Stańko. **W złocie.** Powieść . . . . . 1 —

Szymkiewicz Kajetan ks. **Kazania** adwentowe, wielkopostne i nauki majowe 1 50

Szymkiewicz Kajetan ks. **Miejsce wiecznego spoczynku Błogosławionego Wincentego Kadłubka.** Z licznemi illustracyami . 1 —

Szymkiewicz K. ks. Patronowie kościoła paraf. w Kroczycach. **Św. Marya Magdalena i Św. Jacek.** (Żywoty i nabożeństwo do tych Świętych). Z 2-ma obrazkami . . . . . — 40

Umiński Władysław. **Na falach Atlantyku.** Przygody rozbitków pośród oceanu. Z licznemi illustr. L. Bębnowskiego. W kart. opr. rb. 1. W ozd. płóciennej oprawie 1 50

Uruski Seweryn hr. **Gospodarstwo łąkowe.** . . . . . — 60

Zgliński Daniel. **Humor w „Panu Tadeuszu."** Szkic estetyczny. Wydanie drugie, powiększone. . . . . — 20

Z pod włoskiego nieba. Nowelle. Z włoskiego przełożył Wieńczysław Łoś . . . . . — 75

204/1115.80
80.-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
141935